WACŁAW SIEROSZEWSKI

NA DALEKI WSCHÓD

SPÓŁKA NAKŁ. »KSIĄŻKA«

·B·M·

NA DALEKI WSCHÓD

KARTKI Z PODRÓŻY

TEGOŻ AUTORA:

12 LAT W KRAJU JAKUTÓW, nakł. Fr. Karpińskiego. Warszawa (skład główny E. Wende i Ska), r. 1900. Cena rb. 3.—.
POWRÓT, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, r. 1904. Cena rb. 1.—.
KOREA (z 28 rysunkami i mapą), nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, r. 1905. Cena rb. 1.80.
UCIECZKA, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, wydanie drugie, r. 1905. Cena rb. 2.—.
NA KRESACH LASÓW, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, wydanie trzecie, r. 1905. Cena rb. 1.—.
W MATNI. — JESIENIĄ. — SKRADZIONY CHŁOPAK. — CHAJŁACH. — W OFIERZE BOGOM, nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, wydanie trzecie, r. 1907. Cena rb. 1.—.
OL-SONI-KISAŃ. — SCLAVUS SALTANS. — PRZEPOWIEDNIA WERNYHORY, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, r. 1907. Cena rb. 1.50.
DNO NĘDZY (Brzask. Puszcza Białowieska. Grecka szczelina). Spółka nakładowa „Książka". Kraków, wydanie trzecie, r. 1909. Cena rb. 1.20.
ZAMORSKI DJABEŁ, z 54 rysunkami Henryka Minkiewicza. W oprawie. Spółka nakładowa „Książka". Kraków, r. 1909. Cena rb. 1.80.
ZE ŚWIATA (Wśród lodów. Polowanie na reny. Polowanie na wieloryby. Bokser. Kulisi. Latorośle). Opowiadania, z 53 rycinami, w ozdobnej oprawie. Spółka nakładowa „Książka". Kraków, r. 1910. Cena 2 ruble.
MAŁŻEŃSTWO. — BYĆ ALBO NIE BYĆ. — TUŁACZE. Spółka nakładowa „Książka". Kraków, wydanie drugie, r. 1910. Cena rb. 1.80
Z FALI NA FALĘ. (Japonja w zarysie. Harakiri księcia Asano Naganori. O-Sici. Pojednanie. Widmo Sakurskie. Ingwa. Jak liść jesienny...). Spółka nakładowa „Książka". Kraków, wydanie trzec r. 1911. Cena rb. 2.—.
BAJKI (Przygoda tygrysa. — W ruinach. — Inwalidzi. — Dary wiatru północnego). Z 50 rycinami Jana Małachowskiego. W ozdobnej oprawie z winietą Jana Rembowskiego. Spółka nakładowa „Książka". Kraków, r. 1911. Cena rb. 2.40.
RISZTAU. — PUSTELNIA W GÓRACH. — CZUKCZE. Wydanie drugie. Spółka nakładowa „Książka". Kraków, r. 1911. Cena rb. 1.50.
BAJKA O ŻELAZNYM WILKU. Z 14 rycinami Jana Rembowskiego. W ozdobnej oprawie. Cena rb. 4.—.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

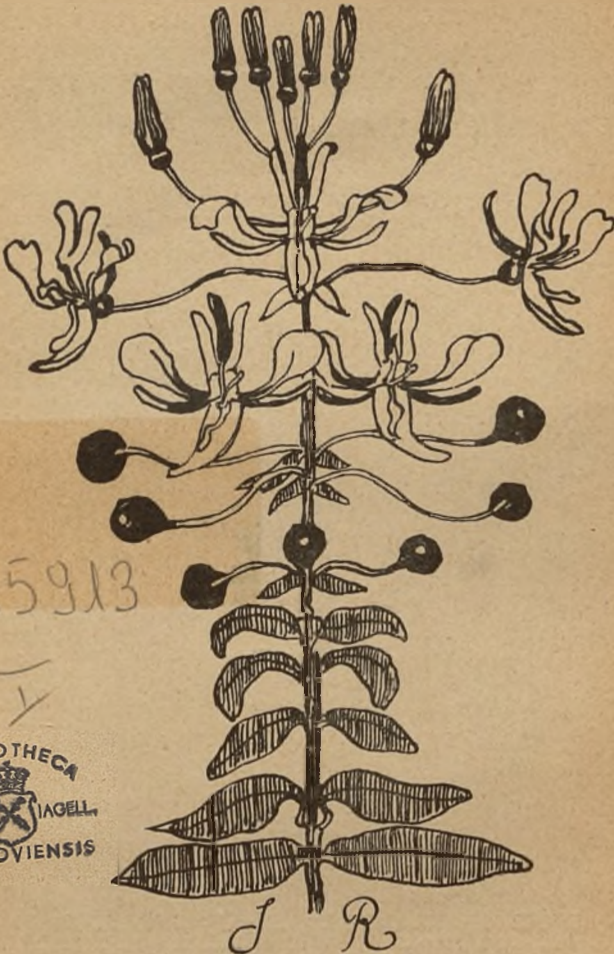
NA DALEKI WSCHÓD

KARTKI Z PODRÓŻY

WYDANIE DRUGIE
Z DODATKIEM DWUCH ROZDZIAŁÓW

„KSIĄŻKA"

SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA", KRAKÓW
SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA, G. CENTNERSZWER I S-KA; LWÓW, H. ALTENBERG; NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMPORTING Co.



CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE — 11-11.

NA PROGU.

Przez drzwi otwarte widzę daleko przed sobą sino-żółtą dal oceanu, łączącą się z nieba błękitem. Bliżej na brzegu kołyszą się ciemne zarysy wysmukłych cudzoziemskich drzew. Fale szemrzą łagodnie, rzucając na żółte piachy czuby perłowych pian. Ciepłe powiewy niosą zapach przygrzanych słońcem porostów.

O dusze, utrudzone w deptakach codziennego życia, jakże chętnie zabrałbym was z sobą!...

Pomknęlibyśmy w przesłonecznione przestworza, podawszy wichrom pierś, zmiętą w ciasnocie...

Rozpostarlibyśmy zmartwiałe w bezczynności skrzydła na całą ich długość...

Dopóty czerpalibyśmy w zwiędłe płuca ożywcze etery z innych wolnych sfer, aż znowu poczulibyśmy w każdym swym tętnie radość bytu i żądzę czynu...

Nie myśląc o jutrze, wypoczywalibyśmy na statkach, ślizgających się bez troski po kryształowych odmętach...

Brnęlibyśmy po piachach gorących, zrzuciwszy twarde miejskie obuwie...

Zajrzelibyśmy do puszcz, do dzikich ostępów, gdzie kryją się dziwaczne twory, gdzie kwitną nieznane kwiaty...

Wśród ludów obcych, w świątyniach cudzych nauczylibyśmy się szanować siebie samych i zobaczylibyśmy, że krew i łzy wszędzie mają ten sam blask i kolor...

Błądzilibyśmy wśród ruin, wśród pałaców i lepianek, uzbrojeni jedynie w życzliwość i współczucie, aż syci wrażeń, usłyszelibyśmy znowu ten cichy, wielogłosy jęk, którego echo zabraliśmy z sobą, zamknięte w sercu, jak kropla rosy w kielichu powoju...

Naówczas wrócilibyśmy lepsi i silniejsi, aby znowu podstawić wygojone barki pod ciężar istnienia, co musi być wciąż wtaczanym do góry, gdyż inaczej zgniótłby wszystkich, okaleczył istoty droższe nam nad życie...

O dusze utrudzone! Odchodzę z myślą o was i z myślą o was będę całą potęgą zmysłów chłonął wrażenia świata, aby z czasem opowiedzieć wam cicho, com widział...

ZAMIAST WSTĘPU.

— Proszę o bilet miejsca w pośpiesznym pociągu syberyjskim.

— Czy pan zamawiał?

— Telegrafowałem dwa dni temu.

Blada, niedokrwista kasjerka długo i ospale przewraca w stosie papierów.

— Depesza gdzieś się zapodziała. Ach, jest!... Przepraszam. Którą klasą pan jedzie?

Podaję bilet wolnego przejazdu, wydany mi na całą drogę przez główny Zarząd dróg i komunikacji.

— Za tym biletem... pan pociągiem syberyjskim... nie może jechać! — cedzi kasjerka.

— Jakto?! Pani nie spostrzegła pewnie, że jest zaopatrzony stemplem, dającym prawo przejazdu i pośpiesznemi i kurjerskiemi pociągami.

— Owszem, spostrzegłam. Lecz to nie to... otrzymaliśmy okólnik... co do ekspresu.

— A więc chodzą do Syberji inne jeszcze pośpieszne pociągi?

Kasjerka trzęsie głową.

— Cóż zatym znaczy ta sprzeczność?... Co to za okólnik i gdzie się o nim dowiedzieć można?... Przypuszczam, że go pani źle tłómaczy. Mam prawo

tłómaczyć go na swoją korzyść. Gdybym był wiedział o nim, prosiłbym o przyłożenie i waszej, syberyjskiej pieczątki. Sądzę, że zarząd nie odmówiłby mi. Zależy mi wielce na pośpiechu... Muszę jechać tym pociągiem.

— Niech pan weźmie drugi bilet... za pieniądze.

— Wolne żarty. Nie mam zamiaru. Wysyła mię Instytucja naukowa rządowa i z tego jedynie powodu korzystam z wolnego przejazdu...

— W takim razie... niech się pan zwróci do naczelnika stacji... lub naczelnika ruchu. Bez ich pozwolenia nie wydam panu biletu na miejsce i nie ostempluję kuponu na przejazd. Mamy wyraźną instrukcję!

Naczelnika stacji niema i niewiadomo gdzie się podział. Zamiast go szukać, biorę dorożkę i każę wieźć się do Zarządu kolei Moskiewsko-Kurskiej.

Mroźna, nasycona lodowemi igłami wichura dmie prosto w oczy. Złoto-czerwono-zielono-błękitno-szare miasto blado majaczy wśród kłębów zamieci. Zimno mię na wylot przejmuje, gdyż nie wziąłem futra, pewny, iż z wygodą podróżować będę cały czas w ciepłym pociągu. Wchodzę od frontu do ogromnego koszarowego budynku, stojącego pogardliwie bokiem do głównej ulicy. Wewnątrz roi się tłum urzędników. Setki futer, płaszczów, paltotów wiszą na szaragach. Z przedsionka w głąb po szerokich, wygodnych schodach prowadzi drzwi kilkoro. Puszczają mnie przez „te mniejsze“. Naczelnika ruchu niema. Powinien przyjechać... za godzinę. Czekam dwie godziny w poczekalni, pełnej znużo-

nych i zdenerwowanych interesantów; naczelnika wciąż niema. Mam tylko pięć godzin czasu, a muszę być jeszcze w Muzeum antropologicznym, gdzie zostawiłem przyrządy.

Wreszcie woźny wzywa mię. Wchodzę do eleganckiego gabinetu. Gruby jegomość za zielonym stołem łaskawie kiwa mi głową.

Wyłuszczam mu swoją sprawę.

— To nie moja rzecz. Niech pan się uda do naczelnika zarządu.

Naczelnika niema, przyjmuje mnie jego pomocnik.

— Nic na to poradzić nie mogę. Istotnie, odebraliśmy niedawno okólnik...

— Ale cóż winna publiczność, że nic o nim nie wie? Nie ogłoszono go... W przepisach kolejowych go niema.

W odpowiedzi odbieram ruch ramion.

— Przypuszczam, że zły bilet dostałem przez omyłkę. Bardzo się śpieszę. Sekretarz ministra komunikacji upewnił mię, że za tym biletem mogę jechać i kurjerskiemi pociągami.

— Oni tam... w Petersburgu zawsze... Już mamy drugi taki wypadek.

— Doprawdy, to omyłka. Nie przypuszczam, aby władze, tak ze mną uprzejme, chciały mi stawiać niespodziewane przeszkody. Niech mi pan w tej mojej przygodzie pomoże.

— Przedstawię sprawę naczelnikowi zarządu, lecz nie wiem... — brzmiała niechętna odpowiedź.

Przestrzenie w Moskwie ogromne. Na szczęście

dorożkarze mają dobre konie. Wracam po załatwieniu interesów przemarzły do kości, ale pełen otuchy. Naczelnik przyjmuje mię, jednak już nie w gabinecie, lecz na korytarzu. Zły znak! Ogląda uważnie mój skromny ubiór podróżny.

— Więc to pana wysyła Akademja umiejętności?

— Tak.

— Do Japonji?

— Do Japonji.

Broda łaskawie porusza się zlekka.

— Nic dla pana uczynić nie możemy.

— Wszak nie proszę o łaskę; chodzi jedynie o poprawienie omyłki.

— To wcale nie omyłka. Petersburg tak zawsze... Postanawia, nie spytawszy się nikogo o nic, a później... mamy kłopoty... Gotowi są wyzuć Moskwę ze wszystkiego...

Historyczna niechęć Moskwy do Petersburga, wmieszana do mojej błahej sprawy, rozweseliła mię trochę.

— Widzę, że dla pana to jedynie zabawne wydarzenie, tymczasem ja spóźnię się wszędzie i poplączę cały plan podróży.

— Niech pan telegrafuje na swój koszt do ministra komunikacji.

— Ale w każdym razie tym pociągiem już nie pojadę?...

— O nie! zaczeka pan trzy dni.

Krótki rachunek przekonywa mię, że nawet

w razie powodzenia stracę czas i pieniądze. Postanawiam wyjechać najbliższym pociągiem, odsunąć się jak najrychlej i jak najdalej...

Odchodząc, dziękuję za życzliwość.

Przyjmują szczyptę mej ironji za dobrą monetę.

ZAGRZEBANI W ŚNIEGU.

Znalazłem się sam nietylko w przedziale, ale i w całym wagonie. Zdaje się, że pierwszą klasą nikt tu nie jeździ. Konduktor obejrzał bilet i gdzieś się podział. Pociąg monotonnie zadudnił po przemarzłych podkładach i szynach. Brzęczały szyby, zgrzytały kiedy niekiedy hamulce, podzwaniały łańcuchy, pociąg gwizdał, stawał, znowu ruszał, jęczały dzwonki, migały światła stacyjne... ale wszystko to były dźwięki zewnętrzne, nie naruszające zupełnie osamotnienia mojego wagonu. Czuję się, niby w szklanej trumnie, w rzęsiście oświetlonym, wydłużonym pudle, wleczonym przez „żelaznego smoka".

Chodzę po wązkim korytarzyku, zaglądam do pustych przedziałów, gdzie błyszczą martwo lustra i złocone bronzy, wodzę wzrokiem po pustych siatkach, po firankach trzęsących się od ruchu pociągu. Jest coś tajemniczego we wszystkim, co jest związane z podróżą, tym symbolem życia, gdyż nawet ci, którzy siedzą na miejscu, wciąż przecież dokądś dążą i szukają czegoś i nigdy nie są pewni jutra.

Ile złoconej nędzy, występku, rozpaczy, ile tęczowych marzeń i nadziei, ile ambicji, wyrachowania, lub bolesnej na wszystko obojętności przewiozły te wygodne chwilowe więzienia?...

Ogarnął mię letarg podróżniczy, a następnie senność. Wołam na posługacza, aby mi przygotował posłanie, lecz ani znaleźć go, ani dowołać się nie mogę. Wówczas przypominam sobie rady przyjaciół: „Wystrzegaj się jeździć samotnie w przedziale pierwszej klasy". Nadomiar przypominam sobie, że istotnie czytałem niedawno w gazetach o bandzie kolejowych opryszków, operujących gdzieś w tych miejscowościach. Rad nierad otwieram kuferek i wyjmuję rewolwer, a klamkę drzwi przywiązuję mocno do jakiegoś haczyka. Słyszałem później w nocy, jak się ktoś dobijał; pewnie konduktor albo kontroler, ale nie otworzyłem. Trudno: uprzejmość moja nie mogła przezwyciężyć wstrętu do zimnej podłogi.

Sznurek okazał się dobrym wynalazkiem, zwykłe zamknięcie na klameczkę wcale nie zabezpiecza. W moich oczach jakiś jegomość, chcąc się dostać do zamkniętego przedziału, wyjął z kieszeni zwykłe, płaskie szczypce i zamek otworzył. W nowych syberyjskich wagonach są już wszędzie łańcuszki, i chociaż rzezimieszkowie przecinają je z łatwością, ale bądź co bądź jest to przeszkoda... W starych wagonach śpiący pasażer jest zupełnie na łasce służby kolejowej i złodziei... Wciąż na linjach wschodnich i syberyjskich słychać skargi na kradzieże. Zdarzają się nawet morderstwa.

Ale samotność ma w podróży wiele też uroku. Zamiast więc szukać uciążliwego towarzystwa, nauczyłem się barykadować drzwi. Używałem do tego stolika, który doskonale mieścił się we framudze i naciskał na klamkę.

Obudziłem się nazajutrz o wschodzie słońca. Wokoło rozścielała się bezkresna, zaśnieżona równina. Tu i owdzie, niby blade obłoczki, szarzały gaje i smugi brzeźniaku; nad niemi, na zachodzie, wisiał na szafirowym niebie blady sierp młodego księżyca. Pociąg, ciężko dysząc, leciał ku słońcu, które, wielkie i czerwone, to wychylało się, to nikło w kłębach różowego dymu lokomotywy. Biegliśmy pod wiatr, więc dym owijał nas wciąż niby welon. I dzień następny i noc pociąg leciał przez zaśnieżone stepy. W dali majaczyły tu i owdzie wioski szare, nizkie, przytulone do ziemi, jak stada zziębłych kuropatw. Liczne wiatraki świadczyły o żyzności ziemi, lecz... pomimo wiatru skrzydła ich tkwiły nieruchomo w błękitach. Może nie miały co mleć w tym roku, a może wiatr był dla nich za silny.

Istotnie wiatr, w miarę posuwania się pociągu na wschód, wzmagał się, nabierał cech wichury.

W Samarze, za radą gienerała, który umieścił się w tym samym przedziale, a który znał dobrze te okolice, zrobiłem zapas żywności.

— Może się panu uda szczęśliwie... przeskoczyć przez nasz Złatoust, ale... zawsze lepiej mieć coś z sobą!

Na stacji dużo gadano o wypadku, który zdarzył się niedawno (28 lutego) na Uralskiej przełęczy. Pociąg spadł z nasypu i według sprawozdań gazet było 50 rannych i kilku zabitych.

Droga między Syzraniem a Złatoustem uważana jest za najgorszą i najniebezpieczniejszą w całej Rosji. Ciągle zdarzają się rozmaite wypadki.

Podróżni przygotowywali się do przebycia tej części drogi, jak do jakiej wojennej wyprawy.

Miałem już w wagonie współtowarzyszów. Wprawdzie gienerał wysiadł w Samarze, ale natomiast damski przedział zajęła jakaś dystyngowana Angielka.

We dnie wiatr przycichł i pędziliśmy wesoło wśród słonecznych, kryształowych błękitów, podziwiając zaspy śniegu, namiecione przez niedawną zawieję. Tydzień temu wstrzymała ona na dwa dni w tym miejscu cały ruch pociągów. Zupełny bezruch powietrza budził w nas nadzieję, że się nam uda przemknąć szczęśliwie przez fatalne miejsce. Mróz skrzył się smugami brylantów na pooranych przez wichurę śniegach. Zbielałe od sadzi drzewa stały spokojnie w swym muślinowym ubiorze. Lecz palacz z naszego wagonu, spytany o pogodę, pokręcił głową:

— Kto ją odgadnie... pogodę?... Ona przebiegła... czasem się jeno przyczai...

Z pewnym niepokojem spoglądałem na skamieniałe stepy, i chwilami wydawało mi się, że rysy ich drgają.

Jeszcze nie drgały naówczas, ale pod wieczór lekkie podmuchy zaczęły mieść śnieg pod koła. Grajcarki białej kurzawy wzlatywały z czubów wydm, lecz opadały natychmiast leniwo. Step budził się. Wiatr się zmienił, gonił teraz za nami i jak gdyby igrał: chwytał dym lokomotywy, kotłował go po polach, zwiewał w bok lub obrzucał nas tumanami iskrzącej się w słońcu kurzawy.

Zorza wieczorna zagasła w purpurowych chmurach.

Nazajutrz obudził mię niezwykły bieg naszego pociągu. Szarpał, trząsł się i stukał kołami, jak gdyby miał szczerą chęć wykoleić się wkrótce. Wiatr gwizdał zuchwale i rzucał coraz gęstsze obłoki śniegu na uciekające wagony. Na jednej ze stacji dodano nam drugą lokomotywę. Niewiele to pomogło: pociąg utykał coraz widoczniej. Nareszcie wstrząsnął się, stanął i zaczął przeraźliwie gwizdać. Wyjrzałem z wagonu: okolica tonęła w mlecznej, ryczącej wichurze. Pociąg szarpnął jeszcze kilka razy, poczym znieruchomiał na długo. Wewnątrz i zewnątrz niego rozległy się trwożne głosy, w kłębach śnieżycy zaczerniały cienie ludzi. Ubrałem się i ruszyłem na wywiady. Zaniepokojona Angielka wyglądała przez okno.

Wichura w mgnieniu oka przejęła mój jesienny paltot, zaczęła ziębić mnie i szczypać. Zaciekawiony, brnąłem jednak przez zaspy ku przedniej lokomotywie. Tam ruszała się gromadka ludzi. Byli to robotnicy kolejowi.

Mało jednak pracowali; oparci na łopatach lub zasłaniając się niemi, jak wachlarzami, od wiatru, utyskiwali na zimno, wichurę i... drogowego technika. Urzędnik ze znaczkiem na czapce coś głośno rozkazywał, ale nie bardzo go słuchano. Wiatr chwytał rozkazy i unosił w stronę przeciwną: trudno było go przekrzyczeć, a łatwo nań spędzić, że się nie słyszało. Lokomotywa co czas jakiś gwizdała, z tyłu odpowiadała jej towarzyszka, poczym maszyna

zaczynała ciężko oddychać, jak człowiek skupiający siły, jej tłok, korby i koła ruszały się z początku wolno, poczym coraz szybciej i szybciej.

Daremne wysiłki: jej tułów wielki, zakopcony, zaśnieżony, nie posuwał się na krok, wiatr tymczasem potężniał, mrok zapadał, choć w istocie był przecie poranek. Leciał on nie z nieba, jak zwykle, lecz z ziemi i był jakiś mętno-biały, martwy, przerażający. Nieduża z początku zaspa przed lokomotywą wkrótce sięgnęła jej do osi. Robotnicy, choć wzięli się szczerze do łopat, nie zdążali odrzucać śniegu. Wiatr chwytał go i ciskał napowrót. A była go w powietrzu taka obfitość, że najbliższe przedmioty przeświecały przezeń słabo, jak przez mleczne szkło.

Naczelnik pociągu kazał podzielić pociąg na kilka części, w nadziei, że mu się uda go przeprowadzić przez zaspę częściowo, po kilka wagonów.

Z wielkim mozołem przeciągnięto wagon pocztowy, następne próby poszły jeszcze oporniej. Wagony zasypane były aż po stopnie. Rozwiała się nadzieja odkopania ich, można je było jedynie przeciągnąć przez zaspy. Lokomotywy jęczały od wysiłku, lecz praca okazała się nad ich siły. Mroźny wiatr zwiewał ciepło i osłabiał je, lecący zewsząd śnieg zalepiał otwory, wypełniał szpary i przeloty, topniał, chłodził kocioł i spływał na dół, gdzie znowu zamarzał, tworząc duże sople lodowe, rosnące jak stalaktyty i stalagmity między ziemią a członkami stalowych olbrzymów. Wkrótce gęsta i mocna sieć nici lodowych łączyła maszynę z ziemią. Trzeba ją

było wciąż obijać i niszczyć, a ona wciąż powstawała na nowo. Kłęby dymu, pary, chrapliwe świsty, przejmujące chrapanie maszyny, brzęk szarpanych łańcuchów, łoskot uderzanych buforów, sprawiały wrażenie strasznej agonji wlepionego w śniegi pociągu. Ponad tym wszystkim unosiło się wściekłe wycie rozwydrzonej zamieci. Do tumanów lecącego z dołu śniegu dołączyły się obłoki padającego z góry. Świat cały znikł w białej chmurze i długi nasz pociąg ginął w nim, jak mała kruszyna.

Przejmujące zimno zmusiło mię schronić się do wagonu. O tak! była to zamieć, nie ustępująca bynajmniej „purgom" oceanu Lodowatego! Wśród podróżnych wszczął się popłoch. Służba kolejowa traciła głowę. Jeszcze raz z wielkim wysiłkiem spróbowano przewlec jeden wagon z podróżnemi, lecz po kilku stajaniach wagon wykoleił się i zamknął ostatecznie drogę.

Wtedy odczepiono tylną lokomotywę i posłano ją napowrót na stację po pomoc.

— Czy aby dojdzie? — szeptali konduktorowie.

Zbliżał się wieczór.

W pociągu zawrzało. Głodni podróżni poczęli się burzyć.

— Naczelnik!... Gdzie naczelnik pociągu?!—wołali, snując się po wagonach.

— Uciekł na lokomotywie na stację!

— Ależ nie! Siedzi w służbowym wagonie i zapija herbatę!

— Pójdźmy do niego. Nic w ustach nie miałem od rana.

— Co to będzie, gdy zabraknie opału? Zmarźniemy!

Gdy procesja wzburzonych podróżników wtłoczyła się do służbowego wagonu, naczelnik pociągu, młody inżynjer, bardzo się zmieszał.

— Cóżem ja winien? — tłómaczył się.

— Co nas to obchodzi! Chcemy jeść i nie chcemy zmarznąć. Dlaczego było mało ludzi na drodze? Dlaczego ich dotychczas niema? Pan chciał rzucić nas i uciec... Pan zapija herbatę, kiedy nasze żony i dzieci... nie mogą doprosić się łyka wody gorącej...

— Posłałem na stację po pociąg ratunkowy?

— Czy pan zaręczy, że dojedzie?

Inżynjer ruszył ramionami.

— Tego nikt nie wie i przewidzieć nie może. Kazałem przygotować wody gorącej, lecz niech panowie oszczędzają opału, gdyż mało go mamy.

— A co? a co? Zmarzniemy! zamrożą nas żywcem! Co ci kolejarze sobie myślą?!

Inżynjer w milczeniu wycierał pot z czoła.

— I w podobny sposób krzywdzą ludzi, którzy zapłacili swoje pieniądze! — srożył się cięty trochę jegomość w lisim futrze.

— Panowie, niechby nas wszystkich przeprowadzili do jednego wagonu dla zaoszczędzenia opału— proponował inny w bobrowej czapce.

— Zwarjowałeś pan? cały pociąg do jednego wagonu?

— Więc do dwuch.

— A kobiety?... Przecież spać trzeba.

— Będzie cieplej.

— Pociąg ratunkowy przywiezie żywność i opał— znów spróbował uspokoić wzburzonych inżynjer.

— Nie zawracaj pan głowy! żaden pociąg w taką zamieć nie dojdzie!...

Na chwilę głosy ucichły, jak gdyby dla wysłuchania odpowiedzi burzy. A burza wyła, huczała, gwizdała, przewalała potoki śniegu ponad wagonami, przewiewała je między kołami, zatykając coraz szczelniej wolne otwory i przedziały. Oddech jej lodowy sięgał nawet głębi wagonów i kołysał blade płomienie świec i lamp.

— W każdym razie proszę... drzewa i świec oszczędzać...

— Panie, jadę z żoną i nie myślę siedzieć w ciemnościach. Kupiłem trzy bilety, aby mieć oddzielny przedział. Teraz słyszę o jakimś projekcie pomieszania wszystkich klas — gadał gruby jegomość w lisim futrze.

— Pan myśli, że to żarty. My tu panu przyślemy nasze kobiety. Niech pan z niemi pogada!— groził inny.

Inżynjer, który napozór popadł w zupełne odrętwienie, nagle ożył.

— Wszystko będzie! Niech się panowie uspokoją! Każę zapalić wszystkie lampy. A jeżeli nie starczy opału, to rozbierzemy budkę najbliższego dróżnika.

Mężowie odeszli ułagodzeni. Jeden z nich tylko huczał dalej, niby bąk, puszczony w ruch zbyt silną ręką.

— Co panowie im wierzycie! Szelmy, łotry, wyzyskiwacze... Umyślnie wsadzili nas w zaspę... Dla nich to żniwo... gratka! Kto policzy koszta odkopania? Kolej zapłaci, ile podadzą, a podadzą, co im się żywnie podoba! Ilu ludzi pracuje na linji? Może 300, a może 30?... Kto ich porachuje? Ile im zapłacono? Może dano im po pół rubla, a może i po dwa?... Znam ja te zaspy dobrze, sam byłem kolejarzem... Każda taka zamieć, to złota żyła... Głupi chyba nie pociągnie... A że nam źle, co ich to obchodzi?... Co ich obchodzi! Rekiny, mówię panom... Ale ja nie dam się skrzywdzić!...

Ten rezolutnie przeniósł się z trzeciej klasy do pierwszej i został moim sąsiadem. Nie miałem czasu jednak słuchać jego gadania, gdyż musiałem śpieszyć na pomoc sąsiadce. Wyglądała na bardzo strapioną. Nic nie jadła i nie żądała nawet wody gorącej na herbatę. Ofiarowałem jej do rozporządzenia moją, zaopatrzoną jako tako w Samarze śpiżarnię, i wkrótce piliśmy wesoło wcale niezłą herbatę z wody śniegowej, na małym stoliczku, nawet nakrytym serwetą.

Właśnie opowiadała mi o niepokoju, jaki wywołać musiało w rodzinie jej opóźnienie, gdy rozległ się łoskot i wagon potoczył się, jak pijany. Imbryki z wodą gorącą spadły na siedzenie, pudełko z biszkoptami na ziemię, Angielkę odrzuciło w jeden kąt, a mnie w drugi. Uderzenie powtórzyło się jeszcze kilka razy, ale było już słabsze, poczym rozległ się wielki gwar, który górował nawet nad rykiem zamieci. Angielka już przyszła do siebie: nie potrze-

bowałem jej ratować. Skoczyłem więc do swego przedziału, skąd rozległ się wielki trzask w czasie wstrząśnienia; obawiałem się o żelazne pudło z przyrządami i apteczką. Były tam prócz tego naboje, eter oraz inne wybuchające i łatwo zapalne substancje.

Widok, jaki ujrzałem, przeraził mię: pudło leżało na ziemi, dnem do góry. Spadając, wywaliło drzwi i gdybym był wówczas w przedziale, niechybnieby mię zabiło, ważyło bowiem przeszło sto kilo. Ale wewnątrz pudła panowała pocieszająca cisza. Nic nie syczało, nie swędziło. Ostrożnie postawiłem je wiekiem do góry i otworzyłem. Dzięki szczelnemu upakowaniu, nawet szkiełko żadne nie pękło.

Odetchnąłem i pobiegłem dowiedzieć się, co znaczył hałas. Okazało się, że przyszła lokomotywa, którą posyłano na stację. Przerzynając się przez zaspy, nie umiarkowała biegu, wpadła na nas, połamała pierwszy na drodze wagon i wyrzuciła go z szyn. Zostaliśmy więc zakorkowani z dwuch stron przez wykolejone wagony. Zamieć śpiewała nad nami hymn zwycięski. Zaspy u niektórych wagonów sięgały platformy.

Zapadała noc. Mleczny, ruchomy, lodowy wir mętniał wokoło i czerniał. Czarne zarysy pociągu zlały się z ciemnością. Rząd oświetlonych okien wydawał się zadusznemi lampkami, palącemi się na opuszczonym grobowcu. Przybyła lokomotywa ciężko wydychała nagromadzoną parę. Krwawa łuna naftowych pochodni biła od połamanego pociągu daleko na smugi lecących chyżo, jakby ścigających kogoś

płateczków śniegu, na figury ludzi, kupiących się tam...

Krzyczeli i klęli.

Byli to robotnicy. Zbuntowali się i wypowiedzieli posłuszeństwo.

— Każdemu życie miłe! Nie będziemy dziś robili... Ciemno!... Zmarzliśmy... Nie pójdziemy!... — wołali.

— Odkopcie choć lokomotywę, żeby wróciła na stację.

— Nie! Niechaj stoi!... Każdemu miłe życie...

— Nie zapłacę wam za dziś ani grosza!

— Zawsze nas okpiwacie! Obiecujecie rubla, a dajecie pół... Po śmierci niepotrzebne nam pieniądze. Chodźcie, chłopcy, niech maszyna stoi... Dosyć z nas nadrwili...

— Zaraz bierzcie się do lokomotywy. Inaczej nie puszczę was do wagonu i zmarzniecie w polu!— wołał inżynjer, siląc się przekrzyczeć i wiatr i ludzi.

— Ho, ho! Sam... chody... Wagon łamaj! — odpowiedzieli mu robotnicy z porywami burzy.

Byli to przeważnie Tatarzy, Baszkirzy, Czeremisi. Wywijali łopatami, wydawali gardłowe dźwięki; ciemne, kanciaste ich twarze groźnie migały w krwawo zabarwionej pochodniami zamieci.

Wichura tak szalała, że nie mogłem doczekać się końca tej sceny; odzież moja zamieniła się w ciężki, nabity śniegiem pancerz, śnieg dostawał się już do żywego ciała. Schowałem się czymprędzej do wagonu, dowiedziałem się jednak, że robotnicy postawili na swoim i nie odkopali lokomotywy. Dopiero

nazajutrz rano posłano ją po żywność i opał. Wróciła po kilku godzinach, razem z pociągiem ratunkowym. Zaspy u naszego pociągu miejscami sięgały już okien. Długi, czarny, nieruchomy, wyglądał on w bladych kłębach zamieci, jak smok zawiany w stepie. Dokoła, niby stada kawek, uwijały się tłumy robotników.

Pasażerowie, po źle spędzonej nocy, wylegli orzeźwić się świeżym powietrzem. Zamieć szalała po dawnemu, lecz zdawało się, że ruch, który zawrzał dokoła, osłabił jej potęgę. Gromady chłopów w zlodowaciałych kożuchach, w futrzanych, nabitych śniegiem czapach, z osędziałemi brodami i wąsami, istne wcielenie synów zimy, bodały łopatami i drągami góry ubitych wiatrami zasp.

Saneczki, zaprzężone w nieduże, kosmate koniki, odwoziły na stronę rozbite grudy. W szańcach zamieci tworzyły się duże wyłomy, lecz wiatr nie ustępował i z wężowym świstem wściekle dął w te właśnie szczeliny. Ludzie ryli wytrwale nory w śnieżnej kurzawie, uwijali się pod kołami pociągu, wśród zlodowaciałych hamulców, oskrobując osie, koła i łańcuchy.

Po kilkunastu godzinach takiej pracy, zaspy zostały przebite; odkopany pociąg, pod ochroną wciąż poruszających się łopat, stał w głębokim przekopie, jak w tunelu. Ale dwie lokomotywy jeszcze nie mogły go stamtąd wydobyć. Dopiero gdy przybył drugi ratunkowy pociąg, pociągnięto nas z jego pomocą napowrót na stację.

Podróżni, pełni radości, rzucili się do bufetu po

żywność, gdyż ta odrobina, jakiej dostarczały ratunkowe pociągi, nie mogła nas zadowolić, i głód dawał się już we znaki. Zwłaszcza cierpiała klasa trzecia, ale klasa trzecia składała się z ludzi, którzy przyzwyczajeni byli cierpieć i milczeć. Jak dotychczas, protestował jedynie „stan trzeci“, klasa druga. Klasa pierwsza, składająca się z Angielki i ze mnie, siedziała cicho, gdyż prócz filozofji posiadała jeszcze spory zapas sucharów, chleba, biszkoptów oraz innych przywilejów. Ale po przybyciu na stację nawet pierwsza klasa szemrać zaczęła w imię ludzkości.

Na stacji nic nie przygotowano dla podróżnych, ani łyżki strawy gorącej. Wydawano jedynie, z miną wielce łaskawą, za kwitkami, po kawałku czerstwego chleba, kiełbasy starej i cuchnącej i równie starego sera. Herbatę i cukier sprzedawano za grubą gotówkę, choć, jak się okazało, według przepisów kolejowych, każdy podróżny miał prawo w trzeciej klasie na rubla strawnego, w drugiej klasie na dwa, a w pierwszej na trzy ruble dziennie. Nikt z nas jednak o tym prawie nie wiedział, i każdy płacił chętnie, byle coś dostać.

Urzędnicy kolejowi uciekali od podróżnych, jak od morowej zarazy, i kryli się gdzieś po dziurach, że znaleźć ich było bardzo trudno. Nagabywani twierdzili, że to nie ich rzecz, że oni są „od ruchu“, wreszcie od kół, wagonów, biletów, i odsyłali głodnych do kogoś, kogo właśnie nie było.

Angielce, która energicznie na nich napadła, po-

dano kotlet... Ja zaś wolałem na ustroniu przyglądać się spokojnie naturalnemu biegowi rzeczy.

Niebezpieczeństwo już nie groziło nikomu, a obronę „praw człowieka“ wziął na siebie „stan trzeci“. Błądziłem wśród gromady wilgotnych, zziębłych cyklopów, którzy nas przed chwilą wyrwali z uścisków burzy. Gęsto wypełniali salę stacyjną, a para ich oddechów, zapach machorki, przzałych kożuchów, niezmienianych kilka dni onucz, czynił pobyt wśród nich dość przykrym. Znowu burzyli się. Żądali wódki, żądali większej liczby pustych wagonów, aby mogli się tam ogrzać, osuszyć i wyspać. Dano im wódki, lecz o wagony wynikł zatarg.

Druga klasa tymczasem wpisywała „protest“ do księgi zażaleń. Był to manifest bezwarunkowo godny końca XVIII-go stulecia. Dobrze, że choć z błahego powodu ludzie mogą czasem powtórzyć wielkie wyrazy! Podpisałem go chętnie, ale przed podpisem musiałem pokazać swój bilet kolejowy. Na tej małej, zasypanej śniegiem stacyjce wywołał on wrażenie nieoczekiwane. Żandarm, zwracając go, salutował mię z wielką paradą, a autorowie protestu nie taili swego zadowolenia. Słyszałem, jak szeptali: „Podróżnik, wysyłany przez Akademję do Japonji w niewiadomym celu“.

— Biedaczysko! Zabiją go napewno, gdyż na wiosnę, ani chybił, wojna z Japończykami... Zbyt wiele już sobie pozwalają Japosie!...

— Kto wie jeszcze, czy dojedzie? Chunchuzi w Mandżurji również nie żartują! Niedawno był taki wypadek...

Dalszy ciąg był istotnie okropny, ale na szczęście... fantastyczny. Oddawano mi honory, jak skazanemu na śmierć. Zresztą było dość wesoło.

Angielka, zjadłszy kotlet, bardzo się pokrzepiła. Okazała się miłą, ukształconą, dobrze wychowaną osobą. Godzinami gawędziliśmy o Tołstoju, Nietzschem, o współczesnych prądach społecznych i literackich. Była zagorzałą patryjotką, choć urodziła się i wychowała w Rosji. Dziwna rzecz: ci Anglicy umieją w szlachetny sposób kochać i cenić swoją ojczyznę. Zdaje mi się, że pochodzi to z właściwego zrozumienia przez nich wogóle narodowości, jako czynnika niezbędnego do życia ludzkości. Zauważyłem, że oni szanują jedynie tych, którzy mają... ojczyznę. Jednocześnie wśród Anglików znalazłem największy procent „patryjotów“ bez szowinizmu.

Nazajutrz sporządzono nareszcie sprowadzoną aż z Samary maszynę do rozrzucania zasp i mimo szalejącą dalej burzę ruszyliśmy naprzód.

„Gramofon“ — tak robotnicy przezywali „zaspówkę“ („zaspową“ maszynę) — szedł przed nami, popychany przez oddzielną lokomotywę. Byliśmy zczepieni z nią łańcuchami, ale mieliśmy dwie osobne lokomotywy. Posuwaliśmy się bardzo wolno, a jednak, gdyśmy wcięli się w pierwszą zaspę, uderzenie było tak gwałtowne, iż w pierwszej chwili pomyślałem o... początku końca. Moja towarzyszka zbladła, jak śmierć... Przykre uderzenia powtórzyły się i powtarzały wciąż od tej chwili co kilka sążni. Maszyna wrzynała się w zaspę, zatrzymywała, lokomotywa dawała kontrparę, pociąg był odrzucany na

długość łańcuchów, a stalowe skrzydła wiatraka, puszczone w ruch, kruszyły i rozrzucały zaspę.

Robotnicy skrzętnie pomagali, kopiąc przed maszyną wązkie przejście, które ona rozszerzała z łatwością.

Przedarłszy się przez jedną zaporę, ruszaliśmy wciąż wolno i ostrożnie do następnej. Znów uderzenie, nagłe szarpnięcie w tył, pochylenie się, trzask, drżenie wagonów, co połączone z nadzwyczaj przykrym targaniem pociągu, czepiającego stopniami o boki wązkich przekopów, czyniło przejście przez zaspy ogromnie nieprzyjemnym. Za każdym sygnałowym gwizdnięciem twarze podróżnych nabierały wyrazu ludzi, oczekujących na wyrwanie zęba. Rzeczy zlatywały z półek, podłoga kołysała się, ściany wagonów, bufory i haki jęczały. Nikt nie był pewny, czy nie pękną i czy straszne szydła pękniętych wiązań i rozszczepionych belek nie wysuną się nagle z ciemności, godząc w piersi skupionych trwożnie ludzi. Angielka, pomimo odwagi, bladła za każdym razem, jak płótno, i zamykała oczy. Nie mogłem jej pocieszyć, gdyż obecnie było to dla nas cierpienie nieuniknione... próbowałem dowieść, że właściwie żadne nie grozi niebezpieczeństwo, lecz... bez skutku.

Dzień cały jechaliśmy trzy mile, dzielące nieszczęsne stacje. Na wieczór obiecywano nam bufet i gorącą strawę, lecz mocnośmy się zawiedli. Wprawdzie dostaliśmy na stacji trochę mięsa, ale zimnego i... po bardzo wysokich cenach. Protest klasy drugiej nie pomógł. Sprytni kolejarze odrazu zgadli, że

żaden z podróżnych nie zna zakresu swych praw, i bardzo zręcznie z tego korzystali; na trzecią klasę krzyczeli z góry, na drugą nie zważali, a mojej Angielce, gdy upomniała się o obiecaną zupę, grzecznie oświadczyli, że intendent pośle natychmiast do sąsiedniego miasteczka po wszystko, czego zażądają podróżni.

Uspokoiła się i poprosiła o kilka jajek. Intendent ukłonił się bardzo elegancko. Były to jednak drwiny. Nikt nic nie dostał, i do miasteczka wcale nie posyłano, choć komunikacja z nim istniała, gdyż wielu podróżnych pojechało tam na noc. Widocznie intendent poprzestał na zapisaniu naszych życzeń na podanym kolei rachunku, a o spełnieniu ich zapomniał w wesołym gronie towarzyszów. Zajęli przedział obok mojej sąsiadki i tak hałasowali, że musiałem im zwrócić uwagę. Ale ponieważ nazajutrz droga poszła nam gładko, zasp więcej nie było i pociąg leciał chyżo po wyzłoconych słońcem, malowniczych stokach Uralu, więc z łatwością zapomnieliśmy o drobnych niegodziwościach ludzkich i nawet... o wrażeniach ciał, przeciąganych przez lodową drutownicę.

WIELKI GOŚCINIEC SYBERYJSKI.

„Z Wierchoturja do Tiumenia 45 mil... Gdyśmy przedtym słyszeli o Syberji, inaczej o niej sądziliśmy, gdyż rozumieliśmy, że to kraj pusty i bardzo mało mieszkańców mający, lecz gdy tam przyjechaliśmy, zobaczyliśmy wielką wszystkiego obfitość, i widzieliśmy wsie dość piękne i gęste, jechaliśmy słobodami dosyć bogatemi, i niedługo jadąc, przy pogodnej chwili do Tiumenia miasta przybyliśmy. Miasto Tiumeń daleko większe i wspanialsze, niż Wierchoturja, niemniej w handle wszelkie i kupców sławniejsze, a co się tycze żywności, daleko większy dostatek znajdowaliśmy. Ryb i mięsa niełatwowierna taniość, kiedy karasiów kopę po kopiejce jednej, to jest po groszy polskich dwa płaciliśmy, mięso także funt po równej cenie i taniej dostać było można, a co należy do leguminy i nabiałów, te nadzwyczajną taniością kupowaliśmy. Baran kosztował 20 groszy“ *).

Tak przedstawiała się Syberja podróżnikom polskim w końcu XVIII stulecia. Taką znałem z opo-

*) „Pamięć dzieł polskich, Podróż y niepomyślny sukces Polaków“ przez urodzonego Karola Lubicz-Chojeckiego. Warszawa, roku 1789, str. 69.

wiadań ojców, taką poznałem sam, gdy przed ćwierć wiekiem przeszedłem ją, przeważnie piechotą, od końca do końca. Mało zaludniona, ale zamożna, dzika, ale gościnna, pełna rozmachu i żywiołowej ufności w siebie i żywiołowego zamiłowania niezależności. Komu w Rosji było źle, kogo uciskali ludzie lub własne wady, uciekał za Ural, szukał „Białych wód“, syberyjskiego, chłopskiego raju, gdzie ziemi wbród. Skoro Zachodnia Syberja przestała być takim rajem, koloniści dążyli dalej na Wschód, gdzie z łatwością znajdowali nietknięte jeszcze ludzką nogą ostępy. W takich gniazdach leśnych rodziły się nieraz i wychowywały pokolenia ludzi, którzy nie znali innej władzy prócz własnej wioskowej, oraz innych przedmiotów prócz własnych wyrobów. Publicysta syberyjski, Jadrincew, przytacza w swej zajmującej książce: „Syberja jako kolonja“, kilka przykładów odkrycia w połowie ubiegłego stulecia przez władze rosyjskie wsi dużych, bogatych, pięknie zabudowanych, posiadających sklepy, cerkiew i szkołę, a zupełnie nieznanych rządowi. Za moich czasów naczelnik okręgu Wierchojańskiego odkrył w ujściach Leny taką wieś jakucko-rosyjską, nieznaną nikomu.

Długi czas nie było w Syberji żadnych dróg prócz spławnych rzek. Rzekami dostawali się do jej głębi śmiali myśliwcy, szukając drogich lisów i soboli; śladem myśliwców, prowadzeni i wspomagani przez nich, przyszli zdobywcy Kozacy, przybyli urzędnicy i poborcy podatków, pobudowano miasta i ostrogi (zameczki). Ale wszystko to trzymało się

rzek, pozostawiając ogromne międzyrzecza nietkniętemi. Ładowne statki z pobranym jasakiem, z futrami, z kością lub towarami, prochem, mąką i ludźmi, spławiano lub holowano rzekami. Szły więc one Turą do m. Tiumenia, stamtąd Tobołem mimo Tobolska do Obi, dalej Obią i jej dopływem Ketą do Jeniseju. Z Kety do Kasu (dopł. Jeniseja) przewłóczono statki przez nizki, błotnisty, kilkuwiorstowy „włok“ *).

Z Jeniseju Angarą szły statki aż do Bajkału. Podróż trwała lata całe. Carski poseł, Spotharjusz, w XVII stuleciu zużył na przebycie jej dwa lata przeszło i w krótkim swym sprawozdaniu mówi o niej miejscami ze zgrozą... Szczególnie dały mu się we znaki „porogi angarskie“, przez które holowano statki z wielkim mozołem i niebezpieczeństwem.

W XVIII stuleciu droga już cokolwiek zmieniła kierunek, wyprostowała się trochę. Przerąbano szlaki w ogromnych lasach, o których wyżej wspomniany Lubicz-Chojecki powiada, że „żaden z własnych tamtejszych mieszkańców końca onych nie widział, gdyż chcąc one lustrować, alboby z głodu umarł, albo też, zbłądziwszy w nich, nazadby wyjść nie potrafił“.

Powstały nowe punkty administracyjne i handlowe: Tomsk, Krasnojarsk, Irkuck, które zaczęły

---

*) Obecnie przekopano tam z wielkim trudem i nakładem kanał, lecz kolej Syberyjska zabiła go; zarzucony, zamula się z każdym rokiem, coraz bardziej zwęża, umiera. Powiadają, że już przestał być spławnym.

rywalizować ze wszechmocnym dotychczas Tobolskiem. Ale ludzie i towary wciąż jeszcze odbywali podróż przeważnie wodą i latem. Dopiero w początkach XIX stulecia wykończono trakt lądowy, Wielki gościniec syberyjski, którego budowę zaczęto od Wschodu, tak, że część jego, najbliżej będąca Europy, była ukończona najpóźniej.

Potężna, szeroka wstęga tego gościńca legła malowniczym wężem przez stepy, góry, doliny, przerznęła lasy i bagna, wdarła się na posępne „uwały", pokreśliła zygzakiem strome wiszary, obrzeżyła jeziora i topiele. Wzdłuż tego szlaku powstały liczne sioła furmańskie, zamożne, ludne, butne, handlowe i... rozbójnicze. Pięknie zabudowane, ciągnęły się niekiedy po parę wiorst wzdłuż drogi, miały niekiedy na każdym końcu cerkiew i dzieliły się na dwie parafje. Czasami cała wieś, albo jeden z takich końców był tatarski i miał meczet, jak n. p. w Syberji Zachodniej. Oba wyznania żyły zwykle z sobą w dobrej zgodzie. Właściwie takie sioła były to małe miasteczka rolnicze. Rój folwarków, tak zwanych „zaimek", otaczał każde. W lecie znaczna część ludności odchodziła na „zaimki" dla uprawy roli i zbioru plonów. Zato w zimie na gościńcu wrzało życie w całej pełni. Na ulicach wieczorami rozbrzmiewały pieśni, i chłopcy z dziewczętami, wziąwszy się za ręce, tworzyli taneczne korowody. Tu zawiązywały się stadła małżeńskie, powstawały miłostki, składały się słoneczne, chmurne lub złośliwe pieśni i powieści. Nieraz chłopak, zrujnowawszy się na podarunki dla nieprzystępnej dziewczyny, zmawiał się z towarzy-

szami, zaprzęgał trójkę koni do nizkich, mocnych sani i wyjeżdżał w noc ciemną i zamiecistą na gościniec, gdzie długim, nieprzerwanym szeregiem, miarowym krokiem szły ładowne, kupieckie podwody. W upatrzonym miejscu sanki z mołojcami spadały, jak wicher, na karawanę: paki z jedwabiem, drogiemi kamieniami, suknem lub herbatą bywały w mgnieniu oka odcięte, porwane i uniesione przez rącze, szalejące w biegu konie. Ale syberyjscy furmani, którzy sami nieraz w młodości urządzali podobne wyprawy, doskonale znali obyczaje zbójeckie, niebezpieczne uwały i wsie rozbójnicze, strzegli się napastników i mężnie bronili towarów... Stąd to w miejscach, gdzie „swawolono“, stały gęsto krzyże na mogiłach pomordowanych ludzi.

Podobne smętne krzyże przydrożne zdarzały się często również koło miast, gdzie gnieździły się odmienne organizacje rozbójnicze, towarzystwa łotrzyków, polujących na bogatych kupców, na przejezdnych, wiozących pieniądze. Strzegł się więc kupiec syberyjski, krył ze swemi interesami, z posiadaniem lub odbiorem gotówki, gdyż nigdy nie wiedział, czy go nie śledzą drapieżne, jastrzębie oczy. Podróżni starali się jeździć gromadkami, gdyż nawet przejazd pocztą nie zawsze bywał bezpieczny, tak zwani zaś „przyjaciele“, czyli „wolna poczta“, chociaż wybornie zorganizowana i znacznie tańsza, żadnej nie dawała gwarancji, i wiele zbrodni leży na jej sumieniu. Zresztą zuchwali zbóje na nikogo nie zwracali uwagi. W roku 1894 na stacji Kemiltej, pod samą wsią, pięciu opryszków, według wszelkich prawideł

sztuki wojennej, wykopało formalną „transzeję“ i przez tydzień czatowało na pocztę, która miała wieźć z Irkucka pieniądze. Cała wieś wiedziała o zasadzce, ale nikt nie śmiał tych syberyjskich „chunchuzów“ wypłoszyć, lękając się zemsty.

Zbóje zabili wówczas pocztyljona, woźnicę, dwa konie, zabrali 30.000 rubli i znikli. W podobny sposób zrabowano rok przedtym za Bajkałem 10 pudów złota, należącego do kompanji Nimańskiej. A ilu zginęło rozmaitemi czasy przejezdnych, kobiet, dzieci... tego nie zliczyć! W niektórych jarach i ostępach widziałem do dziesiątka krzyżów.

Aby choć trochę ukrócić swawolę „zrzynaczy herbaty“ *), musiał gienerał-gubernator Sinielnikow wsie całe wysiedlać. Widziałem wsie takie zrujnowane, nawpół puste, drzwi i okna domów zabite deskami. Ale to mało pomagało.

Namiętności ludzkie oraz tłumy przysyłanych z Rosji rokrocznie kryminalistów z łatwością wiły gniazda zbójeckie w innych miejscach, gdzie znowu wyrastały mogiły i krzyże. Głośnym był swego czasu bajeczny proces kupca A., burmistrza miasta Czyty, światowca i hulajduszy, przyjaciela wyższej administracji, który zabijał pocztyljonów, obdzierał pocztę i rabował przejezdnych długo i bezkarnie, gdyż miał konia okutego odwrotnie i wciąż mylił pogoń. Słynnym był również proces zbójów irkuckich, którzy o zmroku wyjeżdżali na ulice i łapali ludzi na stryczki. Kobiety uwozili za miasto, gwałcili i wrzu-

*) Miejscowa nazwa rabusiów na gościńcach.

cali w śnieg odarte, mężczyznom zabierali futra, pieniądze, zegarki... Nawet policja konna nie mogła sobie z opryszkami dać rady, gdyż rącze konie zawsze unosiły ich w porę. Wyśledzono ich nareszcie i przywódców ukarano śmiercią.

O ich śmierci i czynach długo w więzieniach śpiewano piosenki. Straszne „sanki" znikły na jakiś czas z Irkucka, ale zjawiły się w... Tomsku.

Kryminaliści, zesłani z Rosji, stawali się przywódcami i nauczycielami we wszystkich takich organizacjach zbrodniczych. Trzymali się oni zawsze gościńca, gnieździli we wsiach i miastach przeróżnych.

Rozumie się, że Wielkim gościńcem z Zachodu przyszły do Syberji nietylko zbrodnie. Przywędrowały do niej stamtąd i myśli szlachetne, i serca gorące, i dusze dumne, i wzniosłe, dostojne marzenia. Zamieszkały Syberję setki tysięcy Polaków, zsyłanych już z czasów Kościuszki a nawet wcześniej za panowania Stanisława Leszczyńskiego z niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej. Przywieźli oni do nowej ojczyzny wiedzę, kulturę, oświecone obyczaje, dużo rzemiosł i ogromnie wpłynęli na podniesienie kultury miejscowej. Pallas w 1770 r. w swych podróżach po Syberji często wspomina Polaków; mówi o „polskim brzegu Jeniseja", uprawnym przez wygnańców polskich na wiele lat wcześniej przed wkluczeniem do krajów rolniczych nawet bardziej południowych części jenisejskiego wodozbioru. Socha sybirska, przystosowana do orania gruntów tamtejszych, według Pallasa, polskiego jest pochodzenia. Nasiona wielu roślin uprawnych, ziemiopłodów,

włoszczyzny przywiezione zostały przez polskich zesłańców politycznych i przez nich zaaklimatyzowane. Pszczelnictwo wzięło początek wśród zesłanego oficerstwa polskiego, wcielonego do orenburskiego kozactwa. Wiele bardzo dróg wybudowanych zostało przez inżynjerów i robotników polskich, między innemi słynna „Około—bajkalska", upamiętniona powstaniem wygnańców 1863 roku i jego surowym uśmierzeniem.

W Tomsku, Tobolsku oraz całym szeregu innych miast sybirskich widać na cmentarzach lasy wysokich polskich krzyżów... Ślady rodaków znajdowałem niespodziewanie na najodleglejszych krańcach ziemi, nad brzegami Oceanu Lodowatego, gdzie nazwa „bielak" (Polak) oznaczała jednocześnie majstra, uczonego, człowieka, co wszystko „może i umie"...

— Polak jesteś, a leczyć nie umiesz! — wymawiał mi ślepy starzec w ujściach Jany, gdym mu odmówił porady lekarskiej, tłómacząc się niewiedzą.

— Jesteś pewnie chciwy i lękasz się, że ci nie zapłacę?... Co?!...

Polacy nadali kulturze syberyjskiej pewne, często drobne, niedające się uchwycić cechy, dosadnie różniące ją od wielkoruskiej. Zapewne, że wpłynęły na to i inne czynniki etniczne, dopływające szerokim korytem przymusowej oraz wolnej immigracji, że zmodyfikowały je bardzo odmienne sybirskie warunki gospodarcze i gieograficzne, nareszcie polityczna myśl rosyjska, wyrzucana systematycznie do Syberji od czasów „Dekabrystów" niemało zostawiła śladów — słowem: współdziałanie tych czynników

pomimo przewagi elementów wielkoruskich wytworzyły typ „sybiraka“, zgoła odmienny i samoistny.

„Sybirak“ — nie jest przedewszystkim imperjalistą. On nawet niedość jasno odczuwa swą przynależność do Rosji. Przyjezdnych z Rosji europejskiej, tak zwanych „ludzi rosyjskich“ (rossiejskich) uważa za cudzoziemców, traktuje trochę z góry i niechętnie.

— „Warnak“, „włóczęga“, „łapciarz“ — wymyśla przybyszom w chwili gniewu.

— „Żółtobruch - czełdon!“ — odgryza się ten wzgardliwie.

Sybirska inteligiencja podśmiewa się z przyjezdnych z Rosji urzędników:

— „Nawozna inteligiencja!“ — mówią szyderczo.

Syberyjski chłop nieświadomie, a inteligiencja zupełnie świadomie przeniknięta jest duchem decentralistycznym — „obłastnym“, jak tutaj mówią.

Ten ruch ma swoją historję i swoich męczenników, a zaczął się w czasach słynnego spisku wygnańców polskich z 30-go roku pod przywództwem bs. Sierocińskiego, dr. Szokalskiego i Wysockiego, który miał na celu oderwać Syberję od Rosji, a w którym wzięli udział i rodowici sybiracy.

Znane są nazwiska sybirskich uczonych, publicystów i działaczy, jak Jadrincew, Potanin, Szerapow i t. d., którzy w młodości swej byli sądzeni i surowo ukarani za separatystyczne dążenia.

Kolej żelazna związała Syberję z metropolją materjalnie, ale nie wzmocniła na razie więzów moral-

nych. Przeciwnie, podkreśliła przeciwieństwa społeczne, ekonomiczne oraz polityczne.

Patryjoci syberyjscy opierali się gorąco budowie kolei sybirskiej.

— Pragniemy zachować nasz kraj dla siebie samych, dla przyszłego naszego rozwoju!

Kolej żelazna sprowadzi jedynie rozmaitych drapieżników i wyzyskiwaczy!...

— Kolej żelazna powinna powstać jako wyraz samoistnych potrzeb miejscowych, aby im służyć. Obecnie nie odczuwamy jej potrzeby. Nie lękajcie się, skoro potrzeba taka się zrodzi — zbudujemy ją sami!... — mówili mi rozmaici syberyjscy działacze o wiele wcześniej przed powstaniem obecnej kolei żelaznej!

Kolej Syberyjska z gruntu zmieniła obyczaje drogowe, lecz jednocześnie podcięła ona i wiele innych ciekawych i niezawsze złych starych urządzeń, drogich miejscowej ludności.

Chłop syberyjski nienawidzi kolei; nazywa ją pogardliwie „karą kobyłą“ (karka).

— Co nam z niej? Jeno ryczy, dzieci i bydło straszy! — mówią niechętnie, gdy ich ktoś zapyta.

Istotnie, kolej Syberyjska dotychczas nic nie dała syberyjskiemu chłopu, a wniosła ogromny zamęt w jego życie.

Większość ludności, jak powiedziałem powyżej, zamieszkiwała pas przydrożny i trudniła się furmaństwem, którego wpływ sięgał znacznie głębiej i dalej, niż zwykle przypuszczają.

Gospodarstwo chłopskie było oparte przedewszystkim na hodowli i utrzymaniu koni, na produkowaniu przedmiotów, spożywanych na najbliższym rynku miejscowym, we własnej wsi. Tam różaniec przesuwających się nieustannie taborów kupieckich potrzebował przedewszystkim owsa i siana, następnie bydła na rzeź, drobiu, jaj, słoniny, jagieł i t. d. Na tym niedużym rynku łatwo się było gospodarzowi orjentować, podtrzymywać zawsze ceny, odpowiadające cenie produkcji, oraz produkować jedynie ilość niezbędną bez straty czasu i sił na nadmiar. Rynek nigdy prawie nie był przepełniony. Konkurencja działała słabo. Chłop bał się jedynie klęsk żywiołowych: gradu, suszy, pożaru, przymrozków letnich; z dumą mówił, że „nie zna innego pana prócz Boga i stanowego prystawa".

Gdy potrzebne były chłopu pieniądze, czy to w zimie z powodu jakiej biedy, czy to w lecie przed omłotem zboża, czy na podatki, zaprzęgał konia, brał bat do ręki i udawał się z „zaimki" do swej stolicy, do swego przydrożnego sioła, gdzie miał dom i całe obejście; tam czekał cierpliwie taborów kupieckich i wypadku. Na gościńcu syberyjskim, przy wielkiej mnogości przewozu i ruchu, wypadki były rzeczą zwykłą: to koń padł, to wóz się złamał, to woźnica zachorował. O zarobek nie było trudno.

— A co ci woźnice zjadali mięsa, jaj, drobiu, słoniny — nie do uwierzenia! Ile potrzebowali kaszy, mąki, kartofli, kapusty! Zawsze było zamało. Baby nasze nie mogły nadążyć sadzić. Konie też

miały wartość, dobrego zawsze można było sprzedać, a i złego brali. I baran w cenie był i świnia...— opowiadają chłopi o tych legiendowych już czasach.

I tak było w istocie.

Kolej wszystko zmieniła odrazu.

Zarobki przy budowie kolei i na kolei, słabo związane z miejscowym rolnictwem, nieznane i nietrwałe, wymagają przedewszystkim ciągłego pobytu na linji, potrzebują robotnika ruchliwego, łatwo przerzucającego się z miejsca na miejsce, przechodzącego bez trudu od zajęcia do zajęcia... słowem: proletarjusza, albo specjalisty, nie rolnika. Rynki zbytu i giełdy cen uciekły w nieznaną dal, często na drugi koniec świata. Ich wahania się, spadki i wzloty zaczęły działać, jak jakieś nadprzyrodzone, niezrozumiałe siły. Chłop zgłupiał, zwątpił o sobie i w wielu wypadkach stracił ochotę do pracy.

Wzrósł wioskowy pesymizm i wzrosło pijaństwo.

— Czy tak, czy owak, nie ujdę biedy, więc się choć za swe kilka groszy pocieszę!

— Chodzimy teraz w ciemnościach i nie wiemy, co z nami będzie. Może będzie lepiej, a może będzie i gorzej. Teraz jest źle, bardzo źle, i niewiadomo jak biedzie zaradzić!

Nadomiar, jednocześnie z koleją zwaliły się na syberyjskiego chłopa dwie ważne reformy: ustawa rolna (pomiar i podział gruntów), oraz nowe sądownictwo. Obie one wymagają od niego wielkiego naprężenia umysłu i znacznych środków pieniężnych. Tymczasem zarobki znikły, a niepewna przyszłość mąci spokój i ducha.

Podział gruntów między gminami i ograniczenie działków gospodarskich do 15 dziesięcin odrazu zabiły dawny sposób uprawy roli. Właściwie jej nie uprawiano, lecz poprostu porzucano wyjałowione grunta i przenoszono pola na inne dziewicze lub wypoczęte ugory. Uznanie lasów syberyjskich, z wyjątkiem niewielkich, przyległych gminom działków, za własność rządową i wprowadzenie straży leśnej uniemożliwiło karczowanie nowin i gospodarstwo „podsieczne“ *). W braku ziemi zaczęto rozorywać łąki i zmniejszać hodowlę bydła. Chłop syberyjski doskonale rozumie korzyści starannej i systematycznej uprawy roli, ale nie jest to dlań bynajmniej rzecz łatwa.

Europejskie sposoby umierzwiania roli nie odpowiadają klimatowi i glebie syberyjskiej i, stosowane tutaj, nie dają pożądanych rezultatów, a niekiedy nawet dają złe. Długa i ostra zima, gorące, suche lato, krótka wiosna, podczas której woda śniegowa spływa w ciągu dni kilku, słabo zwilżając powierzchnię głęboko przemarzłej ziemi — wszystko to sprawia, że procesy chemiczne w glebie syberyjskiej są zupełnie inne, niż w europejskiej. Nie są one jeszcze wcale zbadane; wiadomo jedynie, że czarnoziem syberyjski różni się od czarnoziemu Rosji Środko-

*) Polegało ono na wycinaniu lasu i spalaniu go na miejscu. Ziemia, ogrzana i użyźniona w ten sposób, dawała setne plony. W miejscowościach wilgotnych, lesistych, zboże na małych, śródleśnych polach nie dojrzewa bez takiego poprzedniego ogrzania i osuszenia roli. A na to, aby to słońce zrobiło, trzeba długo czekać.

wej, Polski i Ukrainy, że siła jego rodzajna łatwiej się wyczerpuje i wolniej wraca. Musi więc chłop syberyjski przeprowadzić cały szereg kosztownych i zawiłych badań, nim nauczy się odżywiać swoją karmicielkę. Wiedzy on ma mało, pieniędzy coraz mniej i coraz mniej czasu. Ma natomiast trzy wielkie zalety, które mu ułatwią zwycięstwo: niespożytą energję, umysł trzeźwy i wielką miłość niezależności.

Pytanie jednak: czy mu starczy środków?

Budżet włościański, osłabiony przez kolej i znaczne koszta pomiarów gruntowych, ostatecznie poderwały obecnie wydatki na reformę sądową, bezwarunkowo potrzebną i pożyteczną, oraz na naczelników włościańskich. Nie będę się wdawał w ich krytykę, gdyż rzeczy to powszechnie znane. Dla charakterystyki stanu ekonomicznego wsi syberyjskiej dodać jednak muszę, że ostatniemi czasy wyłoniła się jedna jeszcze potrzeba, a mianowicie: przeniesienie i przebudowanie wielu dawnych siół.

Zdawałoby się, że w państwach z administracją silnie scentralizowaną wszelkie przedsiębiorstwa i reformy przeprowadzane są z uwzględnieniem najróżnorodniejszych czynników i interesów społecznych.

Okazuje się jednak, że wcale tak nie jest. Z powodów niewiadomych np. kolej Syberyjska ominęła większość wsi traktowych. Wydaje się, że pociąg biegnie przez pustynię. Jedyne prawie sadyby są to nowe, trocinami i farbą jeszcze pachnące osady kolejowe. Rzadko gdzieś w dali mignie stare sioło syberyjskie z cerkwiami i szeregiem dużych, dostatnich zabudowań.

Do tych sielskich stolic zjeżdżały niegdyś na sezon zimowy żądne życia i wrażeń rodziny gospodarskie, rozrzucone przez całe lato po głuchych „zaimkach“. Życie płynęło wesoło, hulaszczo, nagradzano sobie letnie niewywczasy i trudy. „Zaimki“ były to z początku proste, zwykłe szałasy, budy lub małe chałupeczki bez okien i pieca, gdzie pracownicy rolni kryli się jedynie na noc lub w słotę. Stały one nieraz bardzo daleko od wioski, o dwie, a nawet trzy mile, wśród łąk lub na gruntach uprawnych, i były porzucane bez wielkiej straty. Niekiedy okazało się, że warunki rolnicze tej miejscowości sprzyjają stalszej osadzie; wtedy budowano mieszkania większe i lepsze, stawiano szopy i chlewy. Ale wszystko miało zawsze charakter tymczasowy i było zastosowane do pory letniej.

Budynki miały cienkie ściany, obory były małe i duszne. Zimowy pobyt na „zaimce“ narażał na wiele niewygód, a nawet niebezpieczeństw ze względu na włóczęgów i złodziei, szukających w nich zwykle przytułku. Cennych rzeczy, sprzętów i pieniędzy nikt na „zaimkach“ nie trzymał; zresztą były one tam zupełnie niepotrzebne.

Obecnie, gdy gościniec syberyjski obumarł i sioła przydrożne utraciły swój dawniejszy charakter: giełd pracy i rynków handlowych, znikł powód do pobytu w nich.

Rolnictwo wystąpiło jako jedyna podstawa bytu, zażądało szczególnej pieczy i wysiłków. Konieczność nieustannego dozoru pól, potrzeba gromadzenia nawozu w pobliżu nich, oszczędności na czasie i pracy,

zmusiły rolników do przedłużania pobytu na „zaimkach“, a nawet w wielu razach do zupełnego tam przeniesienia się.

Miało to jednak pewne niedogodności: miejsca wybierane na „zaimki“ były zazwyczaj dla stałej siedziby nieodpowiednie. Brakowało miejsca do pojenia bydła, to znów wiatry i zadymki bardzo dokuczały; wreszcie budowle były tak liche, że niepodobieństwem było stale w nich mieszkać. Trzeba więc było budować dom nowy, i wybór miejsca stawał się bardzo ważną kwestją. Warunki kulturalne i klimatyczne Syberji wymagają ludnych wsi.

— Często takie śniegi padają, że jak mur odcinają nas od świata. Jedynie wielka wieś zdoła drogę w takich śniegach wyjeździć.

Mosty i promy na licznych rzeczkach, groble na błotach, bezpieczeństwo osobiste, szkoła, administracja gminna, potrzeby kościelne i rodzinne, wskutek słabego zaludnienia wymagają skupienia się rodzin. Trzeba więc dla nowych sadyb szukać miejsc obszernych, z dobrym wygonem, z obfitą i smaczną wodą, na południowych stokach, gdzie udawałyby się ogrody, a jednocześnie miejsc niedaleko położonych od ornych pól i sianożęci. Wyznaczenie każdej gminie przez pomiary rządowe określonych granic, oraz podział ziem gminnych między oddzielnych gospodarzy, bardzo utrudniły ostatniemi czasy wyszukanie dogodnego dla wszystkich miejsca.

Ale koniec końców, względy gospodarcze przeważają i z wielkim nakładem czasu, pieniędzy i trudu powstają zwolna nowe ogniska nowego ży-

cia, do których stopniowo przepełzają mieszkańcy dawnych, rojnych siół.

W dawnych siołach coraz więcej zobaczyć można domów niezamieszkanych, z zabitemi drzwiami, z wyłupionemi oknami, pustych, smutnych, umierających...

A obok umiera piękna niegdyś, szeroka i zwiedzana droga. Przedstawia ona już tylko wązką, wiejską drożynę, zawianą i wyboistą, i jedynie słupki przydrożne, bielone miejscami kamienie, ładne mosty, oraz potężne na spadzistościach zwroty i zygzaki, skopane przyczółki gór mówią o dawnym znaczeniu i wspaniałości tej drogi.

Na uboczu, daleko od niej, powstają nowe wioseczki, sąsiedzi łączą się w małe wysiołki, przecinają w tajdze drogi, kopią studnie, budują domy. Nie zawsze jednak odrazu trafiają na dobre miejsce; często wioska, świeżo powstała, bywa porzucana lub rozwija się cherlawo, nie mogąc wzrość do rozmiarów, dla trwałego istnienia niezbędnych.

— A wszystko dlaczego: przez kolej! — mówi z goryczą chłop syberyjski.

Ale życie nie stoi na miejscu i, choć stopy jego kroczą po ludzkich istotach, wciąż idzie naprzód. Wszystko, co powstaje, rodzi się w bólach i utrwala przez dobrowolne lub wymuszone poświęcenie. Kolej Syberyjską zbudował i utrzymuje nie kto inny, tylko ten sam chłop, który z gniewem i bolesnym zdumieniem spogląda obecnie na przelatującego żelaznego smoka, gdyż jego koła naciskają przedewszystkim na jego serce... na jego uczuciowe nałogi!...

Tak było i będzie po wsze wieki!

DROGA ŻELAZNA.

„Wtedy koń powiedział do palipiecka: wejdź w moje prawe ucho! A gdy palipiecek wszedł, to znalazł się w pięknym pałacu, gdzie jasno było jak we dnie, gdzie na stołach stały pełne misy i dzbany, gdzie cudnie grała muzyka. Palipiecek umył się, ubrał i zamienił w ślicznego królewicza. Koń tymczasem sadził przez góry, doły, bory i stepy“...

Bajkę taką słyszałem w dzieciństwie. Rzeczywistość, którą widziałem, nie ustępuje jej wcale. Lustra, bronzy, mahonie, kryształowe naczynia, zwierciadlane szyby, dywany, kotary; wygodne, wyściełane fotele i kanapy, przed niemi gustownie rzeźbione stoliki. Właściwie nie wagony, lecz małe, przenośne saloniki na kołach. Pjanino, nuty i książki, sale gimnastyczne, wytworne łazienki... Seledynowe, elektryczne światło. Na zawołanie wyszukane potrawy i napoje, możność porozumiewania się za pomocą telegrafu z całym światem. Obiecują nawet telefon, i można będzie, nie wychodząc z wagonu, rozmawiać nietylko ze stacją, ale i z poblizkiemi miastami. Żelazny koń będzie tymczasem leciał, przebijał, niby błyszcząca igła, śnieżną kurzawę zamieci, obłoki skupione na szczytach górskich łańcuchów, nieprzejrzane, stepowe przestworza, i roz-

palone słońcem skalne wąwozy, i ciemne tunele... Palipiecek, zamieniony w ślicznego królewicza, zapatrzony w jaką wędrowną królewnę, zaledwie będzie wiedział o tym.

Świat cały, wspaniały, cudny świat będzie migał przed nim niewyraźnie, rozbity na tysiące kawałków wielkiej wagonowej szyby. Zyska na tym powierzchowność palipiecka, ale on sam stanie się trochę mniej... rozgarniętym, niż wówczas, gdy własnemi siłami musiał zwyciężać te przestrzenie, wiszary i wodne roztocze. Ha, może zato spryt swój w inną stronę skieruje, może zajrzy do ciemnych, zaniedbanych zaułków własnej duszy?!

Szczególnie wspaniale przedstawiły mi się wagony ekspresu kolei Mandżurskiej. Wprawdzie, gdym jechał niemi, były w drodze dopiero po raz drugi, ale wykwint ich urządzenia, wygoda i czystość były bez zarzutu, olśniewały poprostu. Dobrze, bardzo dobrze!

Kolej taka, skracająca ogromnie, bo aż we dwójnasób, drogę dla handlu ze Wschodem, stała się niezbędnie potrzebną przemysłowej i pieniężnej Europie, względy polityczne kazały Rosji przeprowadzić ją ze szczególnym pośpiechem. Ponieważ jednak będzie międzynarodową, przyniesie państwu zyski, których niepodobna na pieniądze obliczać. Przedewszystkim rozluźni wiele starych i uciążliwych więzów. Już obecnie mówią o zniesieniu niektórych formalności paszportowych i celnych, o lepszej organizacji policji i obsługi kolejowej, ku większej wygodzie i bezpieczeństwu zagranicznych, a co

za tym idzie i miejscowych przejezdnych. Następnie w pasie swego wpływu kolej ogromnie podniesie poziom kultury, zwiększy stopę zarobkową, nauczy krajowców pracować sumiennie, szybko i dokładnie, przyzwyczai ich do pewnych wygód i do szanowania samych siebie.

Dość porównać ekspres ze zwykłemi pociągami miejscowemi, aby zrozumieć, jaka dzieli je przepaść i jak wiele jest do zrobienia w sferze obyczajów.

Zwykłe pociągi przedewszystkim wciąż się spóźniają; stoją na stacji tak długo, jak się podoba zawiadowcy, nadkonduktorowi, wreszcie... maszyniście. Potym dopędzają stracony czas, stąd wypadki są na porządku dziennym. Wagony brudne, stacje jeszcze gorsze; bufety, zwłaszcza syberyjskie, przystosowane przedewszystkim do przyzwyczajeń podróżnych; wszędzie: „wypić i przekąsić"; jedzenia porządnego dostać niepodobna; obiady zimne; wstrętne, cuchnące i... drogie. Ceny w cenniku kolejowym są zbyt wygórowane, nieodpowiednie do gatunku podawanych potraw. Nadomiar służba bufetowa zawsze dolicza. Nie zdarzyło mi się w ciągu całej drogi, aby lokaj nie omylił się na moją niekorzyść. Pod koniec takie stałe potwierdzanie mojej obserwacji sprawiało mi nawet pewną satysfakcję.

Muszę jednak z tego uogólnienia wyłączyć posługaczów Chińczyków w Mandżurji, którzy nigdy nie doliczyli mi ani grosza.

Wszystkiego trzeba samemu dopilnować, we wszystko wejrzeć, poczynając od rzeczy, a kończąc na... wodzie gorącej. Na każdej stacji, naprzykład,

jest budyneczek z napisem: „Woda gorąca bezpłatnie“. Bardzo pięknie! Kazałem sobie przynieść tej wody gorącej, ale... na herbatę użyć jej nie mogłem. Powtórzyłem doświadczenie kilka razy i zawsze, zamiast wody, przynoszono mi jakiś bury, cuchnący płyn. Wreszcie postanowiłem sam obejrzeć ową „wodę gorącą — bezpłatną“. W ciemnym, zakopconym, podobnym do starej wiejskiej łaźni budyneczku ujrzałem brudnego posługacza za drewnianą barjerką; stał koło wmurowanego w piec kotła, nakrytego zbitą z desek pokrywą i rozlewał żądającym porcje „wody gorącej“.

— Co robisz, człowieku? Przecież to błoto! Pewnie nigdy tego kotła nie myjecie?

Posługacz odwrócił się groźnie i pewnieby mię zwymyślał, ale powstrzymało go... moje przyzwoite ubranie.

— Com ja winien?... Ona sama robi się taka od gotowania!

Stanąłem bezradny wobec takiego fatalizmu i poszedłem kupić wody do bufetu. Za imbryczek wody brano nieraz tyle, co za osłodzoną herbatę, a niekiedy wprost odmawiano.

— Nie jesteśmy obowiązani! — kłamali w oczy.

Trzeba więc było zwracać się do naczelnika stacji, gdyż pokazany cennik nie robił żadnego wrażenia.

Na jednej ze stacji oddałem na bagaż parę kufrów z cennemi okazami etnograficznemi i dostałem pokwitowanie, ale obeznany już z obyczajami kolejowemi, poszedłem po pierwszym dzwonku do wagonu bagażowego sprawdzić, czy moje rzeczy tam się znajdują.

Wszedłem bez ceremonji do wnętrza i przekonałem się, że ich tam niema. Bagażowy nic o nich nie wiedział. Biegnę tedy na stację i dowiaduję się, że niema ich kto do pociągu zanieść, gdyż tragarzy wezwano do innej roboty. Nająłem natychmiast Chińczyków i w ten tylko sposób uratowałem moje kufry. Zostałyby, jak wiele innych.

W tych warunkach przejazd koleją Syberyjską, zwłaszcza z rodziną i rzeczami, przedstawia przewlekłą katuszę. Droga zwykłym pociągiem z Moskwy do Irkucka trwa najmniej dni 14. Ekspresem przebywa się tę przestrzeń w dni 9, a cała droga do Portu Artura trwa dni 20-cia. Z Warszawy przesiadać się trzeba trzy razy: w Moskwie, w Irkucku, na st. Mandżurja. W tej ostatniej komora celna i rewizja paszportów.

Ale i w ekspresie, pomimo wybornych wagonów, niema się dotychczas tych wygód i tego bezpieczeństwa, co w pośpiesznych pociągach europejskich. Przedewszystkim służba jest o wiele gorsza. Lokaje, pozornie układni i ogładzeni, są często bardzo podejrzanemi osobistościami. Skarżyli mi się pasażerowie, że giną drobne, cenne przedmioty: cygarniczki, munsztuki, parasole, laski z wartościowym okuciem, a przeważnie broń. Wszystko to, niby zarzucone lub zapomniane, znajduje się niekiedy, jeśli pasażer zrobi awanturę, ale częściej zostaje w ręku złodziejów*).

---

*) Doświadczyłem tego i na sobie, gdyż lokaj w irkuckim ekspresie ukradł mi rewolwer, wskutek czego byłem w przy-

Bufet przedstawia nieraz wiele do życzenia, gdyż zarząd nie postarał się jeszcze o dostawców na ważniejszych stacjach, lecz bierze z sobą zapasy na całą drogę. Stąd rozmaite braki i... nie zawsze właściwy zapach potraw.

Najwięcej jednak dokuczają podróżni, którzy obchodzą się czasem po barbarzyńsku i z sąsiadami i z wagonami: rzucają niedopałki papierosów na ziemię, plują na dywany, niekiedy i na głowy śpiących poniżej towarzyszów, w umywalniach zaprowadzają swoje porządki, w wagonach rozpierają się, zabierając więcej miejsca, niż im się należy, i hałasują na korytarzu wtedy właśnie, kiedy śpią wszyscy.

Naogół biorąc, podróż ekspresem jest bez porównania wygodniejsza i bezpieczniejsza od podróży zwykłym pociągiem, choćby nawet w osobnym przedziale pierwszej klasy; zato jest trzy razy droższa.

Zabajkalska droga dotychczas nieskończona, a linja mandżurska wykańcza się pośpiesznie. W wielu jednak miejscach niema jeszcze stacji, bufety są bardzo rzadkie, tak, że jadąc zwykłym pociągiem, który nie ma wagonu jadalnego, trzeba wziąć z sobą: wędliny, ser, owoce, nie mówiąc już o imbryku, herbacie, cukrze, sucharach, które wszędzie w Syberji są niezbędne.

Dlatego to w Mandżurji podróżni wiozą z sobą moc tłomoków i w wagonach jest ciasno.

---

krym położeniu: bezbronny w dzikiej i rozhukanej Mandżurji; broni nigdzie tam kupić nie mogłem.

Do syberyjskich rabusiów i złodziei przybywają osławieni chińscy „chunchuzi“. Siadają oni pono do pociągów jako zwykli podróżni, w drodze rzucają się na towarzyszów podróży, rabują ich, poczym w biegu wyskakują z pociągu*). Ponieważ zdarzyło się kilka takich wypadków, więc w ostatnim wagonie każdego pociągu jedzie konwój z kilku żołnierzy, uzbrojonych w karabiny. W ekspresie niema straży, on nie lęka się napaści, szybko przelatuje niebezpieczne miejsca (między Charbinem a Mukdenem) i nie wiezie wcale Chińczyków. Chunchuz nie dostanie się do niego pod żadnym pozorem, chyba jako... palacz, gdyż widziałem palaczów Chińczyków, lecz palacz zarabia wcale dobrze i nie potrzebuje być chunchuzem.

Na całej linji, aż do Portu Artura, widziałem straż kolejową, rozstawioną wzdłuż drogi. Niewiele jej coprawda (na 30 wiorst 6 ludzi, co 5 wiorst pikieta), lecz zupełnie dosyć dla utrzymania porządku. Pociągi osobowe chodzą raz na dobę tam i napowrót, wszystkiego więc dwa razy. Mosty i ważniejsze stacje strzeżone są przez większe cokolwiek oddziały. Niedaleko od stacji stoją zwykle nieduże, często murem otoczone koszary.

Jeden z oficerów tej straży kolejowej (zwanej, nie wiem dlaczego, pograniczną) skarżył się bardzo

---

*) Nie jest to ich oryginalny wynalazek: wyprzedzili ich pod tym względem kaukascy Abrecy, być może nawet, że byli ich mistrzami, gdyż w wielu bandach chunchuskich wodzami są rosyjscy zbiegli zbrodniarze, oraz Czerkiesi.

na swe położenie, na bezsilność wojska, na brak pancernych pociągów, komunikacji i t. d. Ale przekonałem się, że wszystkim w Mandżurji wcale nieźle się dzieje, a pancerne pociągi daremnieby tu rdzewiały. Był jeden, jedyny wypadek wymordowania posterunku, i stało się to głównie dlatego, że oddział nie wystawił pikiet.

Ruch towarowy do tej pory słaby, służy przedewszystkim potrzebom samej kolei, ale zanosi się na to, że z czasem będzie ogromny. Dotychczas kolej nie przyjmuje prywatnych ładunków. Zupełnie gotową będzie nie wcześniej pewnie, niż w 1905 r. Tunel chingański przebito właśnie w czasie mego przejazdu.

Twierdzą, że na zbudowanie i obrobienie przyczółków tunelowych potrzeba co najmniej półtora roku. Zresztą wjazd i zjazd po stokach Chinganu nie nastręcza wielkich trudności, nie jest przykry i nie trwa długo; pociąg kilkakrotnie wekslują, w dole pod nasypem widać linję następną, przyczym otwiera się widok śliczny na rojącą się od ludzi, gęsto zabudowaną dolinę. Wszędzie dyszą maszyny, wiercące w głębi górę, ludzie taczkami, wozami, wagonami wożą ziemię, kują skały, budują mosty i szkielety jakichś wielkich, drewnianych rusztowań.

Droga przez Bajkał w zimie na sankach jest przykra, lecz linja Nadbajkalska jest na ukończeniu, i prawdopodobnie w roku bieżącym puszczą po niej bezpośrednie pociągi. Jest to najpiękniejsza część drogi Syberyjskiej, piękniejsza i od Uralu i od Chinganu, i nawet od Laoduńskiego półwyspu, gdzie

z obu stron linji miga wciąż błękitne morze. Pociąg biegnie z początku samym brzegiem jeziora, i fale jego biją miejscami w nasyp. Bajkał należy do najpiękniejszych może jezior na świecie. Znam go dobrze, gdyż mieszkałem nad nim dość długo. Łączy on przestwór morza z lekkością i dźwięcznością fali wód słodkich. Ma nieporównane świetlne efekty. To brzegi jego nikną, zamieniając się w cieniuchną, ciemną nitkę, to znów wyrastają niepomiernie, jak mgliste obrazy czarnoksięskiej latarni. Wody jego mają kolor perłowy, który czasami przechodzi w czarny lub błękitny. Dokoła piętrzą się i często stromo spadają do wody kopcowate, lesiste góry.

Modrzew, sosna, cedr, świerk, olcha, brzezina, topola układają śliczne, pełne najrozmaitszych odcieni wzory w szmaragdowym pokrowcu lasów. Lasy te mają bogate podszycia z leszczyny, z dzikich, czarnych porzeczek, z maliny i innych krzewów o liściach najrozmaitszej barwy i kształtu. W lesie nadbajkalskim o wiele weselej, niż w tajdze syberyjskiej. Są i tu dzikie, czarne ostępy, zarosłe ogromnemi drzewami, i śliczne polanki z jaskrawemi kwiatami, i gaje gęstych krzewów liściastych. Widywałem nawet usiane maroszką „jagielowe“ tundry, kiedy obok kwitną róże, biały powój, fijołki, aromatyczny irys syberyjski i „soranka“, pomarańczowy, podarty na strzępy tulipan syberyjski. W zielonej trawie miga, jak płomień, kwiat, przezywany „gorącym“ (żarkoj) — istny granat Północy, wcielenie gwałtownej, żywiołowej miłości.

Piękny kwiat, który tryska wprost z łodygi, nie lubi towarzyszów, jakby czując, że samotnie w wilgotnej, soczystej murawie potężniej nęci i czaruje oczy swą nieporównaną barwą, przesiąkłą słońcem i ogniem.

Wiosną, gdy na stokach nadbajkalskich zakwitnie liljowo różaniec syberyjski i łuna liljowa pada na wody, świeżo oswobodzone od lodów, gdy ze skał toczą się w dół skwapliwie liczne, spienione wodospady, gdy zielona mgła młodego listowia zawisa wśród konarów, a przez nią przegląda wszędzie błękitna toń jeziora, tak tu czarująco, że godzinami siedzieć można w leśnym zaciszu, przyglądając się zabawom dzikich kaczek lub naradom gromadnie żyjących czarnych bakłanów.

Nad brzegami jeziora rojno: niedźwiedzie licznie je odwiedzają, szukając trupów fok zabitych w czasie zimy, a obecnie wyrzucanych przez fale; przychodzi koza i jeleń szlachetny; dzik z zamarzłych, jeszcze pokrytych śniegiem górskich ostępów śpieszy na wilgotne wybrzeża, czubate „udody“ gęsto latają wśród drzew, zjawiają się cietrzewie, głuszce... Polowanie nad Bajkałem poprostu bajeczne!

Ale, bądź co bądź, najpiękniejszym jest samo jezioro, szczególniej w te dnie ciche, gdy las w przesianym słońcem ciepłym powietrzu stoi bez ruchu, gdy zamiera na chwilę w rozkosznym omdleniu oczekiwania, a jedynie jezioro sine, śliczne, tknięte daleką burzą, ryczy, pieni się i ciska na nadbrzeżne kamienie. Falując bez wiatru, wydaje się jakąś żywą,

potężną istotą, która czuje i myśli, jak my i jak my, kocha i cierpi!

Podróżnik, jadący koleją, nie dojrzy tych wszystkich piękności Bajkału: lasy wzdłuż linji wyrąbane, wypalone, przerzedzone, zwierza i ptactwa niema, widać tylko jezioro w jego wiecznej, niepokalanej piękności. I to wszakże wystarcza, aby otrzymać wrażenia niezwykłe, nadprzyrodzone, zwłaszcza, gdy z dalekich horyzontów, wywołany szczególną grą światła, wypłynie skalisty Olchon, niby ptak Gandharwa, który skrzydłami sięga wschodu i zachodu. On unosi się nad wodami, oddzielony od nich szlakiem srebrnych mgieł; na wiszarach jego złudnego obrazu, drżącego zlekka, widać wyraźnie każdą rysę, szczelinę, żyłeczkę, krawędź, nawet drzewa i krzewy, chociaż 100 wiorst wodnej równiny oddziela go od widza...

Lecz oto na słońce napłynęła chmurka, lub lekki powiew wiatru zmącił kryształową zasłonę i wyspa znika, jak widziadło.

Nie mogę się oderwać od tych wspomnień ślicznych!

Dalej kolej wije się brzegiem malowniczej Ingody. Za Czytą wybiega na stepy. I tak wciąż zmienia panoramę, jakby nie chcąc ani chwili nudzić podróżnika.

Północno-zachodnie stoki Chinganu są o wiele brzydsze od południowo-wschodnich. Z przełęczy Chingańskiej otwiera się piękny widok na dolinę Buchaty, gdzie już południowa zaczyna się roślinność: dąb, klon, ilma, buk... Coraz gęściej trafiają

się wioski; pola uprawne zlewają się w jednolite łany. Znikają lasy i niema już ich nigdzie, aż do samego morza. Podróżnik, jadący południowo-zachodnią odnogą kolei Mandżurskiej, nie zobaczy ich aż w Japonji. Na wschodniej odnodze, wiodącej do Władywostoku, przeciwnie: kolej nie opuszcza lasów; ta odnoga jest o wiele dziksza i bardziej malownicza, ale zdaje się, że główny tłum podróżników będzie dążył linją zachodnią.

Rozdwojenie linji następuje w Charbinie, leżącym nad Sungari. Nowo powstałe to miasto będzie w przyszłości ogromnym mieściskiem; roi się od ludzi, rośnie w oczach, buduje, urządza. Ma złą opinję wśród podróżników dla swej drożyzny i rzezimieszków, którzy „swawolą“ niegorzej od chunchuzów.

— Panie, dawniej to był raj dla wszelkiego rodzaju włóczęgów i wyrzutków społeczeństwa. Kiedy chciano tu zrobić jaki taki porządek i kazano wyjeżdżać osobistościom, nie posiadającym paszportu i wogóle nie chcącym się wylegitymować, ruszyło się dwie trzecie ludności. Trzeba więc było ich zostawić, gdyż miasto wyludniłoby się zupełnie. Zawsze jest z nich pewien pożytek: nie wciąż kradną i rozbijają nie wszyscy! — mówił mi jeden z dawnych mieszkańców Charbinu.

Takich miast kolejowych, powstających wzdłuż linji, jest dużo. Wszystkie do siebie podobne, jednakowo zabudowane, brudne, brzydkie, koszarowe. Wyjątek stanowią: Port-Artur i Dalnij.

Są to miasta - rywale, mające namiętnych stron-

ników i przeciwników wśród sfer wyższych i niższych. Nawet zewnętrznie przedstawiają one zupełne przeciwieństwo.

Dalnij jest to czyste, dobrze urządzone miasteczko z szerokiemi ulicami, ze stylowemi pałacykami, umiejętnie rozmieszczonemi, z oświetleniem elektrycznym, telefonami i wszelkiemi dogodnościami współczesnej miejscowości. Niema natomiast naturalnego portu, wielka zatoka otwiera się wprost w morze, i dla ochrony statków od fal sztucznie sypana jest obecnie tama z ogromnych głazów. Zato posiada pyszną przystań, po której pociągi będą dochodziły do samych statków, tak, że przesiadanie się z wagonów do kajut odbywać się będzie z wielką łatwością i wygodą. Ekspres obecnie idzie wprost do Dalnija, a stamtąd ekspresowe parowce odchodzą tego samego dnia do Szanghaju i Nagasaki.

Pomimo jednak tych wszystkich dogodności Dalnij robi wrażenie pustki; w pałacykach nikt nie mieszka, po ulicach mało kto chodzi, sklepów prawie niema, niema ludności. Przeciwnicy zwą go miastem „nietyle Dalekim, co Zbytecznym“.

„Kosztuje 28 miljonów, będzie kosztować jeszcze drugie tyle, a mimo to zwiędnie, nie zakwitłszy, gdyż sztucznie stworzyć miasta nie można!“

Port Artur, przeciwnie, jest miastem brudnym, nieurządzonym, rozrzuconym, ale wre życiem. Tłum wielojęzyczny i różnobarwny przewija się, jak tysiącgłowy wąż, po ulicach. We wspaniałym, naturalnym porcie stoi moc statków, sklepów pełno, dymią kominy fabryk, tętnią machiny, grzmią miny

wysadzające skały dla zrobienia miejsca nowym ulicom i placom. Miasto wygląda jak budujące się mrowisko. Ogromnie bogate, zakreślone na wielką skalę. Tu obmyślają się i dojrzewają plany polityczne, tu szybko rosną fortuny, tu napływają awanturnicy i awanturnice całego świata, aby utoczyć krwi ze złotego cielca.

Nie zostałem ani Arturzystą, ani Dalnistą, ale nie mogę wstrzymać się od pewnej uwagi: Port Artur gnębi obecnie swym życiem i bogactwem Dalnij, lecz życie to związane jest wyłącznie z armją. Jest to życie wojennego portu, wojskowe i polityczne.

Czy handel europejski, dla którego przecież zbudowano całą kolej Syberyjską, zechce pogodzić się z rządem wojskowym, czy też będzie wołał mniej może dogodny, lecz cywilny i spokojny port Dalnija? Niewiadomo! A on to, bezwarunkowo on, ten potok europejskiej wiedzy, przyzwyczajeń i pieniędzy, będzie decydował o przyszłości obu miast, i to zakwitnie, do którego on się zwróci. Świat przestał być już obozem, stał się przeważnie warsztatem.

MANDŻURJA.

Kraj piękny, obszerny, urozmaicony, na północy i zachodzie słabo sfalowany, stepowy, trawiasty, ku południowi górzysty, na wschodzie lesisty, spiętrzony wysokiemi szczytami, pocięty wąwozami i spławnemi rzekami; kraj bogaty, żyzny, w znacznej części gęsto zaludniony i doskonale uprawny; kraj obfitujący w złoto, żelazo, miedź, glinkę porcelanową, w węgiel, w drzewo przedniego gatunku, jak: dąb, buk, klon, cedr, modrzew, sosnę, w drzewa owocowe i drzewa morwowe; kraj pełny zwierzyny: kóz, jeleni, danieli, antylop-cerenów, dzikich osłów (kułanów), lisów, wilków, dzików, niedźwiedzi, tygrysów; kraj zdawna ukochany przez ptactwo wodne, ojczyzna bażantów i siwych gołębi, ojczyzna berkutów i sokołów; kraj zamieszkany przez ludność potulną, wielokrotnie zawojowywaną i przyzwyczajoną do zaborów — Mandżurja przedstawia bardzo ponętny kąsek dla zdobywcy.

Dwa razy zawojowały ją Chiny; był czas, że znaczna część jej należała do Korei; w XIII wieku panowali w niej Mongołowie; wreszcie w XVII stuleciu utworzyło się z plemion mandżurskich rdzenne, tubylcze państwo, które z kolei zawojowało Chiny i dało początek obecnie panującej dynastji mandżurskiej.

Nurchaci, książę plemienia Niuczej, był pierwszym z tej dynastji władcą. Północną stolicę miał w Hirynie, a południową w Mukdenie, gdzie w skarbcu cesarskim dotychczas zachowują, jako relikwje, jego odzież, pieczęć, i gdzie stoi jego złocony tron.

Byłem może ostatnim Europejczykiem, który te rzeczy widział. Małoletni syn Nurchaciego został po jego śmierci ogłoszony przez wuja zdobywcę za „Szu-an-di“, t. j. chińskiego bogdochana. Oto początek dynastji mandżurskiej.

Ale wszystko to są jedynie zmieniające się nazwy i tytuły. Mandżurja zawsze była i jest kolonją chińską, zamieszkaną gdzieniegdzie przez nieliczne i rozsypane plemiona koczownicze, pasterskie, rybołówcze i myśliwskie. Chińczycy pochłonęli je, przerobili, na wszystkim wycisnęli swe twórcze piętno. Chińskie ręce uprawiły ziemię, chińscy pjonjerowie wytknęli drogi, chińscy budowniczowie pobudowali miasta i fortece; nawet Hiryn i Mukden istniały jako miasta chińskie na wiele wieków wcześniej, niż Mandżurowie namyślili się utworzyć samodzielne państwo, nauczyli się rządzić i panować od Chińczyków; i ów przepiękny tron i odzież Nurchaciego są doskonałemi wzorami sztuki starochińskiej, pałac mukdeński chińskiej jest architektury, bibljoteka pełna chińskiej mądrości, przetłómaczonej jedynie na język mandżurski. Obecnie i język ten znika i Mandżurów nie zostanie ani śladu. Lud chiński, największy ze zdobywców świata, lejąc wyłącznie własną krew, uczynił to, czego nie mógł uczynić ani Aleksander Macedoński, ani Atylli i Tamerlana

pułki. Mandżurów niema i innych ludów, zdobytych przez Chiny drogą pokojowego zaboru, też już niema.

Ta trocha Mandżurów, która nie zlała się z niemi, zachowała koczownicze obyczaje, nie różni się prawie od sąsiadów Mongołów; ci zaś, którzy mieszkają we wsiach i miastach, trudnią się handlem, rolnictwem, służą w wojsku czy administracji, przejęli obyczaje i odzież od Chińczyków. Wprawne jeno oko dostrzeże różnicę w typie, w postawie i w twarzy. Mandżurowie mają zwięzłą, smuklejszą figurę, suche, garbate nosy, drapieżne, zawiędłe twarze, oczy mają węższe, skośniejsze.

Chińczycy są mięsistsi od nich, często roślejsi, lecz mniej zgrabni, twarze mają owalne, oczy dość duże i wcale nie skośne, o łagodnym, smutnym spojrzeniu.

Mandżurowie koczownicy zamieszkują przeważnie północno-zachodnią, przyległą Mongolji, część Mandżurji. Są to Daurowie, Soloni, Menegrzy i Oroczoni. Koczują oni zmieszani z Mongołami i Burjatami. Jedynie Oroczoni, górale, słynni z odwagi i obyczajów zbójeckich, trzymają się na uboczu w swych jarach.

Miasteczko Chajlar jest ogniskiem handlowym i administracyjnym mandżurskich koczowników. Tu mieszka „ambań“ (gubernator), tu były dawniej świątynie, ściągające pobożnych, i tu odbywały się kilka razy do roku wielkie jarmarki z igrzyskami i gonitwami. Otoczony glinianą ścianą kwadrat chińskiego miasteczka i rezydencja gubernatora okrążone były naówczas wiankiem jurt wojłokowych, których

zbierało się pono do 10.000 i z których znaczna część pozostawała tu rok cały. Nie zastałem już jurt, odpędzono koczowników; obie świątynie, które były za miastem, u wrót północnych i południowych, obdarto i zburzono w czasie wojny; nawet piękne i ciekawe freski na ścianach zniszczono; bożków metalowych i drewnianych zabrano, a glinianych potłuczono; pozłota, barwna laka, rzeźba i majolika pootłukiwana wszędzie, gdzie tylko mogły dosięgnąć ręce ludzkie. Wojna!

Burzliwe jej dźwięki brzmiały jeszcze w powietrzu, gdym tu zawitał. Wypędzony z miasta ambań chajlarski mieszkał w poblizkiej wsi daurskiej. Wogóle stosunki były przykre, naprężone. Po kilku dniach pobytu spostrzegłem z łatwością, że ta mała, nawpół zburzona mieścina była węzłem politycznych, daleko sięgających intryg. Chińczycy podejrzliwie śledzili Rosjan i Mongołów, Mongołowie donosili na Chińczyków, Daurowie przyglądali się wszystkiemu z pozornym spokojem, nie okazując, na którą przechylają się stronę.

Ni stąd, ni zowąd zjawiały się zatrważające wieści; to mówiono, że ambaniowi z Pekinu przysłano chorągiew wojenną, to znowu, że Tuan z 80.000 żołnierzy ruszy z wiosną z południa ku Amurowi, aby odciąć odwrót armji rosyjskiej. Pokazywano mi nawet obozowisko Daurów i Solonów, składające się wyłącznie z kobiet i dzieci, które pono uciekły z przypuszczalnej drogi Tuana aż do Dalaj-Noru. Gdzie się podzieli ich mężowie i bracia, nikt nie wiedział, i one same jakoby opowiedzieć nie umiały.

W pewnych odstępach czasu zjawiały się dziwne karawany z odległych krańców Mongolji, gościły kilka dni lub kilka tygodni i znikały bez śladu. Podczas jednej z wycieczek w stepy, trafiliśmy na kilku przyjezdnych Czipczi - bargutów, przybyłych aż od granic Tybetu, a przed samym moim wyjazdem włóczyła się po ulicach Chajlaru, prowadząc ze sobą kosmate wielbłądy, banda Chałchasców, jednego z najpotężniejszych plemion mongolskich. Mówili, że przybyli mąkę kupować, ale oficer, który tę wiadomość powtórzył, uśmiechał się ironicznie.

Rzecz wiadoma, że Mongołowie nienawidzą Chińczyków i oddawna marzą o utworzeniu samodzielnego państwa pod protektoratem Rosji. Duchowieństwo (lamowie), cieszące się wielkim wśród tego ludu wpływem, podtrzymuje te dążenia w nadziei, że im się uda stworzyć rząd teokratyczny, coś w rodzaju drugiego Tybetu z Urgińskim Chutuchtą na czele. Ostatnia wojna wznowiła te dążenia. Waleczna konnica mongolska opuściła pułki chińskie w chwili decydującej; część ich uciekła podobno w pierwszej bitwie, reszta wróciła do domów z gór Chingańskich, tłómacząc odstępstwo obowiązkiem służenia bogdochanowi wyłącznie w granicach swej ojczyzny.

Raz po raz przez stepy z namiotu do namiotu przepływają jakieś prądy, jeźdźcy na rączych konikach rozwożą jakieś wieści, w ułusach odbywają się tajemnicze narady. Chińczycy nie śmieją im obecnie przeszkadzać otwarcie, śledzą więc tylko pilnie, a na-

stępnie... zjawiają się ni stąd, ni zowąd w okolice... chunchuzi, i kilku Mongołów traci życie!

Okolice Chajlaru uchodzą za niebezpieczne; w wycieczkach w stepy towarzyszył mi zawsze liczny konwój, ale wydały mi się te obawy trochę przesadzonemi i jakby umyślnie robionemi dla przybyłego z Europy podróżnika. Widziałem jadących bezpiecznie w stepie kozaków Zabajkalskich, którzy przybyli aż z Curuchtaju; widziałem tabory z towarami bez straży, idące nocą przez pustynie pod opieką kilku ledwie furmanów. Spotkałem nareszcie w chacie Daura jakiegoś Osetyńca, który samowtór z Chińczykiem wybierał się na długo w stepy, zdaje się... kopać złoto.

Wogóle w Mandżurji zbyt lubią straszyć siebie i innych.

W czasie pobytu mojego w Chajlarze miał miejsce następujący wypadek. Był wieczór cichy, zimny, księżycowy. Siedziałem przy zastawionym herbatą stole u znajomego oficera polaka. Gawędziliśmy o Chinach, Mandżurji, niedawnej wojnie, w której mój gospodarz brał udział. Wtym rozległ się strzał, potym nastała chwila martwej ciszy, nowy strzał i zagrały trąbki. Mój, zasłuchany w te dźwięki, gospodarz przybladł cokolwiek, zerwał się, przypasał szablę i wyskoczył za drzwi. Ja za nim. Na rogu jakiegoś budynku w wązkiej uliczce dostrzegliśmy odrazu ciemną, rozciągniętą na ziemi postać. Z głębi miasteczka biegł ku niej pośpiesznie patrol żołnierzy, ale my dopadliśmy doń wcześniej.

Był to żołnierz, miał oczy zamknięte, twarz nie-

ruchomą, a z pod piersi wypływał mu wąziutki, czarny strumyczek krwi i wił się wśród kamyków i ulicznego pyłu. Najmniejszy szczegół widać było wyraźnie w powodzi miesięcznego blasku. Oficer przykląkł obok rannego.

— Psiakrew!... Z mojej roty!... Co się stało?

Ranny nie odpowiadał. Jednocześnie zadudniły po ulicach kopyta koni, dostrzegłem postacie jeźdźców z bronią gotową do strzału, wyjeżdżających kupkami za nizkie, rozwalone mury, na srebrzący się daleko step. Łańcuch piechoty rozwijał się i okalał miasteczko. Rannego położono na nosze i zabrano do lazaretu. Ulicami przeciągały w różnych kierunkach zwarte, podniecone oddziały. Na małym placyku pułkownik, stojąc w kupie oficerów, wydawał głosem stanowczym rozkazy. Kazano nam się tu zatrzymać. Wkrótce dowiedziałem się, iż szyldwach został przestrzelony, że zrobiono na niego zamach... Zarządzono surową rewizję w najbliższych budynkach; wzbroniono wychodzić nietylko z miasteczka, ale nawet z mieszkań... Przetrząśnięto domy od piwnic do strychów. Przeszukano małe ciupki i obszerne, duszne baraki, pełne chińskich robotników, przekupniów, rzemieślników... Uderzyła mię w czasie tej rewizji dziwna okoliczność: zupełny brak młodych kobiet — były albo stare, niemożliwie brudne i brzydkie, albo kapłanki miłości wojskowej, rosyjsko-cygańskiego pochodzenia.

— Gdzież są żony i córki tych tysięcy ludzi?...

Oficer uśmiechnął się znacząco i machnął ręką.

— Nie upilnują... więc wywieźli, nicponie!

Wystraszonych ludzi budzono, wywlekano z pod kołder, przeszukiwano i pytano o rozmaite niezrozumiałe dla nich rzeczy. Nic podejrzanego nie znaleziono, lecz kilku mimo to zaaresztowano...

Gdym nazajutrz pytał się znajomych oficerów o dalszy ciąg sprawy, odpowiedziano mi z rozbrajającą szczerością:

— Widzi pan, zdaje się, że hultaj sam do siebie strzelił. Znudziła się nicponiowi służba!... To się zdarza! Kiedy go się docucono, zląkł się, twierdzi, że na niego napadnięto, że strzelał w obronie... Rana i położenie broni mówią co innego, lecz... pułkownik nie życzy sobie samobójstwa... To rzuca cień na cały pułk... w dodatku jest to zaraźliwe i może się zacząć powszechna strzelanina... Jużeśmy to mieli... Podtrzymujemy więc legiendę napadu... wśród wojska...

— Więc odpowiedzialność spadnie na ludność?!

— Ha, cóż robić!... Zapewne, że któryś z nich padnie ofiarą... Mamy takich tu kilku podejrzanych ptaszków, którzy w każdej chwili coś podobnego zrobić mogą... Ale i dla nich to wyjdzie na dobre... Zginie jeden, czy dwuch, zato ocaleją dziesiątki... Rozumny humanitaryzm każe tak postąpić!... Wojna okropna rzecz!... Gdyby wobec legiendy napadu puścić całą rzecz płazem, zaczętoby istotnie na nas niezwłocznie napadać... Musielibyśmy, koniec końców, urządzić rzeź!... Tak, najwyżej jeden, dwuch... Zresztą oni bardzo obojętnie traktują te rzeczy, zadziwiająco obojętnie!... Wyprawa na tamten świat nie więcej ich wzrusza, niż podróż za rogatki mias-

teczka!... Dziwny lud!... Zupełne barany... Nawet mordy mają baranie!...

Głowy tu wciąż lecą, lecą codzień nieledwie, lecz dla ścinania ich używani są obecnie już chińscy oprawcy. Sądy chińskie nie żartują i nikomu nie uchodzi płazem oglądanie oblicza sędziego, szczególnie teraz, gdy wywierają na nie nacisk... paragrafy wojskowe...

Dziwna rzecz: gdy zamykam oczy i pragnę w jednym obrazie uogólnić wrażenia mandżurskie, nikną stepy chajlarskie i ciche, srebrne, miesięczne w nich noce, nikną lesiste, posępne, lecz wspaniałe zbocza Chinganu; nikną fijoletowe góry Bochaty, skąpane w gorącej, słonecznej mgle; nikną wioski, drzemiące wśród ślicznie zoranych pól, w cieniu gajów ilmowych; nikną miasta gwarne, rojne, bogate z rogatemi basztami, ze świątyniami, pełnemi strasznych bóstw, z błękitnym, pracowitym na ulicach tłumem, z koronką barwnych, złoconych szyldów... wszystko niknie, a widzę natomiast rozkrzyżowanego, klęczącego człowieka na łańcuchu, a potym, wśród piasczystych wydm za miastem, w kłębach kurzawy, widzę mały plac z kałużą krwi, widzę kata, odchodzącego z pachołkami, a na uboczu małą, podłużną kupkę świeżo poruszonej ziemi...

Okrąg Chajlarski i gieograficznie, i klimatycznie, i etnograficznie należy całkowicie do Mongolji. Przedstawia płaskowyżynę, wzniesioną przeszło 1010

stóp nad poziom morza; klimat wskutek tego, pomimo południowego położenia, ma surowy. Mrozy w zimie dochodzą do —30° R., a przejmujące wiatry powiększają ich działanie. Dnia 18 marca widziałem tam nietkniętą jeszcze oponę śniegu; jeziora i rzeczki przebywaliśmy po mocnym, twardym lodzie. Ale w końcu marca zaczyna się wiosna i przebiega w szalonym syberyjskim tempie: w kwietniu już sieją, w końcu maja, panują upały, w czerwcu termometr wskazuje +26° do +28° R. w cieniu, a na słońcu sięga +36° R.

— Wszystko zrzuciłbyś z siebie, a nie można, gdyż jedynie dobra, barania bermyca chroni od słonecznego porażenia — opowiadał mi jeden z dawniejszych chajlarskich gości.

Do najgorętszych miesięcy należy lipiec. Termometr rzadko wtedy spada poniżej +16° R. w cieniu, a między godziną 11-tą a 3-cią popołudniu Europejczyk powinien strzec się słońca, jak wroga. Mongołowie jednak chodzą, nieraz nawet śpią na spiekocie z gołą głową. Widziałem ich również, jak z gołą głową chodzili i stali na mrozie i wietrze. W połowie lipca gorąco się zmniejsza. Jesień zaczyna się wcześnie. We wrześniu już liście więdną i opadają, trawy żółkną. W południe bywa do +30° R. na słońcu, ale w nocy zdarzają się przymrozki. Wszyscy zgodnie twierdzą, że jest to najpiękniejsza pora nietylko w okręgu Chajlarskim, ale i w całej Mandżurji.

Płaskie, trawiaste doliny chajlarskie, pożółkłe w czasie skwarów letnich, po kilku deszczach ulew-

nych znowu zaczynają zielenieć; wszędzie tryska moc kwiatów, kamieniste koryta wązkich rzeczułek napełniają się szumiącemi potokami wody. Ptactwo i zwierzyna wychodzą z ukrycia, w wysokich trawach wędrują bażanty, kuropatwy, skaczą zające; w błotnych szuwarach gospodarzą kaczki i gęsi. Gdy mi o tym opowiadano, z łatwością wyobrażałem sobie przebieg tutejszych pór roku i życia, gdyż widziałem to wielokrotnie w stepach syberyjskich i zabajkalskich. Kraje te są bliźniaczo do siebie podobne. Jedynie ku zachodowi, ku jezioru Dalaj-Nor, pustynia przybiera odmienny charakter, zjawiają się obszary jałowych, słonych sapowisk, smugi lotnych piachów bezwodnych i nagich szczerków. Jest to przedsionek Gobi.

Ludność gnieździ się przeważnie na brzegach słodkich jezior, oraz niewysychających rzek i rzeczułek. Zwykle niedaleko od gaju czerwonej wikliny lub szuwarów wysokich trzcin, służących również na opał, czernieje kilka kopulastych, wojłokowych namiotów, przed niemi stoją „arby“ na dwuch wysokich kołach, z podniesionemi do góry hołoblami, zawsze ogarnięte, podwiązane, gotowe do drogi, gdyż lada chwila Bóg wie co może stać się w stepie, a człowiek przezorny wciąż powinien być gotów do dalekiej i bezpowrotnej podróży...

Opodal włóczą się samopas tabuny koni, rogate bydło dąży za niemi, wreszcie w pobliżu pasą się stada nieprzeliczone czarnych owiec z białemi głowami. Strzegą ich konni jeźdźcy z długiemi batami i wielkie, szare psy, złe i kudłate jak wilki.

W lecie wszystkim się dzieje niezgorzej. Paszy i wody wbród, mleka dużo; nietylko jest co jeść, ale można wypędzić cokolwiek „araki“ dla rozproszenia dokuczliwego smutku. Choć Mongoł sam nigdy nie zabija sztuki większego bydlęcia i zadowala się co najwyżej co czas jakiś baranem, ale Bóg, troskliwy o swe dzieci, raz wraz zsyła jakiś wypadek na krowę lub konia, że trzeba go dorznąć i zjeść. Opowiadali mi kolejarze, że Mongołowie formalny bunt podnieśli, gdy przejechane przez pociąg krowy chciano zakopać w ziemi...

— To nasze szczęście!... Bóg chciał, żebyśmy zjedli mięsa na święto, a wy chcecie, żeby zgniło, dowodziły nam te stwory bydlęce!... — powtarzał ze śmiechem ober-konduktor.

— Pocóżeście im sprzeciwiali się?...

— Jakto: poco?... Czyż wolno jeść padlinę?... Prawo zabrania!... Kolej zapłaciła im za krowy... one już nie ich a nasze... My się rozporządzić możemy... Oh, jak mi dokuczyły, jak bardzo dokuczyły mi te „bunty“ na Dalekim Wschodzie! Wszystkie mniej więcej w tym rodzaju!

Lamaistom religja zabrania przelewu krwi; są okresy, w których, nawet w obronie własnego życia, nie wolno im przekroczyć tego zakazu.

— Można go wtedy obrać ze wszystkiego, a on palcem nie ruszy!... — dowodził mi konduktor.

Szamanistów zakaz taki nie obowiązuje, ale mimo to przestrzegają go; wyjątek stanowią jedynie owce i barany, które i lamaiści i szamaniści rzną i jedzą przy lada okazji; dość przybycia bardziej poważnego

gościa do ułusu, aby nóż był w robocie. Podziwiałem zręczność rzeźniczą koczowników: kropla krwi z owcy nie przepadnie, włosek jeden nie zginie... W mgnieniu oka zwierzę jest odarte ze skóry, pocięte na ćwierci i już gotuje się w kotle, powieszonym na drążkach, lub postawionym na wielkim, żelaznym trójnogu. Ten sam kocieł służy do gotowania herbaty, budy (prosa), mleka i, zdaje się, że nigdy nie bywa płukany. Brud Jakutów jest wysokim stopniem czystości w porównaniu z brudem mongolskich koczowników. Przyzwyczajeni do oszczędzania wody, nie myją się i nie kąpią nigdy, nawet na brzegach rzek. Brud łuszczy się nieraz i opada kawałami z twarzy i szyi; wtedy przez te okienka dziwaczne widać śniadą, zdrową, rumianą płeć kobiet mongolskich, wcale niebrzydkich, lecz zwykle umalowanych przez kurz i pot na kolor starego sagana.

Wogóle koczownicy tutejsi, czy to Mongołowie, Daurzy, Soloni lub Burjaci, wyglądają najlepiej na koniu i... zdaleka. Jeżdżą wybornie: pochyleni naprzód, siedząc na samych prawie łopatkach, zdają się wyprzedzać swych rączych wierzchowców, unosić ich i podniecać. Rozwiewająca się długopoła odzież, a u kobiet wstęgi barwne przy czapkach, zwiększają ich podobieństwo do lecących ptaków lub stada centaurów, gdyż głowa konia znika z odległości w ogólnym zarysie jeźdźca. Jeżdżą zwykle kłusa i konie ich, nawet po bezdrożu, w zimie po śniegu, mogą przebyć bez wytchnienia wiorst trzydzieści i więcej.

Mongołowie i koczownicy mandżurscy sympatyczne sprawiają wrażenie: śmiali, prości, weseli,

usłużni bez lokajstwa, szczerzy bez przesady, mogą się w obcowaniu podobać mimo brudu i nizkiego poziomu potrzeb. Kobiety ich nie robią wrażenia niewolnic, nie pierzchają przed przyjezdnym mężczyzną, nie kryją się; zasiadają w namiotach w kole mężczyzn i śmiało biorą udział w rozmowie. Pyszne są dzieci, pucołowate, tłuste okazy rodzicielskiej miłości, rezolutnie mieszające się do wszelkich spraw domowych oraz publicznych i zawczasu gromadzące skarby swej oddzielnej własności. Mają one, nie odrósłszy jeszcze od ziemi, krowy, konie i owce, które rodzice uważają za ich własność, co zresztą nie przeszkadza głowie rodziny sprzedać lub zarznąć bydlęcia w razie potrzeby.

Jeden z takich małych posiadaczy z dumą pokazywał mi swój worek; były tam lalki, kostki, kawałki szkła, elementarz mandżurski i kilka błyszczących drobnostek. Prosiłem go, aby mi ustąpił kilka laleczek i dawałem wzamian kilka drobiazgów, ale nie zgodził się, pomimo nakazu rodziców; zresztą moje podarunki zabrał i ogromnie posmutniał, kiedy kazano je zwrócić. Wogóle koczownicy nic mi sprzedać nie chcieli.

— Oni uważają cię za czarownika, za „kułaka“ (boksera - sekciarza), który jak weźmie co od człowieka, to razem zabiera i duszę, który z konia papierowego może zrobić żywego, a z żywego może zrobić umarłego. Chałat bierze — dusza bierze... Do domu pójdziesz — dusza za tobą pójdzie!... Taka jesteś!... „Mungał“ są dzicy! — tłómaczył mi kupiec Chińczyk z Chajlaru.

Zresztą i u podmiejskich, osiadłych Daurów też nic kupić nie mogłem, ale tu działały prawdopodobnie inne przyczyny. Skoro tylko przyjeżdżałem do wioski, zjawiał się niezwłocznie sołtys miejscowy, wypytywał mię poco przybyłem i już więcej nie opuszczał.

W obejściu jego ze mną grzecznym, uprzedzającym, przebijała ukryta trwoga i niepokój. Doskonale je zrozumiałem, gdy jadąc dalej przez step, widziałem przy drodze sterczące kominy czarnych, zburzonych, opalonych fanz.

— Na fanzę pan spogląda? Takich fanz tutaj setki. Nie zostało żywej duszy na całej drodze, po której przeszło wojsko... Wszystko zniszczone ogniem i mieczem... Nie można inaczej! Albo my, albo oni!... Niema na wojnie wyboru!... Choć on płacze i w prochu się u twych nóg tarza, a darujesz mu, zwolnisz, on ci zaraz w grzbiet strzeli. Tak!... Cóż robić!... Wojna rzecz niewesoła! Stąd nawet bażanty się wyniosły, wykoczowały. Z Chajlaru cała ludność uciekła... Porzucili sklepy, mieszkania, sprzęt wszelki... Co tego bogactwa, srebra, kosztowności, ubiorów bogatych leżało wprost na ulicach... Nikt nawet nie brał. Piechurowi ciężko nosić — porzucili w drodze, co przedtym wzięli; jedynie jazda coś nie coś skorzystała... — opowiadali mi uczestnicy wyprawy.

Słyszałem i gorsze rzeczy.

Pewien lekarz wojskowy w czasie bitwy znalazł na pobojowisku rannych chińczyków, opatrzył ich naprędce i urządził w poblizkiej chatce. Byli to spo-

kojni wieśniacy, wypadkiem ogarnięci walką: starzec, stara jego żona i młoda chinka z niemowlęciem.

— Płakali, ręce wyciągali do mnie, błagając o pomoc, prosząc, żebym ich nie opuszczał. Na nieszczęście musiałem udać się gdzieindziej, wezwano mię do rannych. Przed odejściem naznaczyłem krzyżem drzwi chaty. Nic nie pomogło. Drzwi znalazłem wybite, starców pomordowanych, młodą chinkę zgwałconą i przekłutą bagnetem wraz z niemowlęciem... Przerażenie i wstręt ogarnęły mię przez chwilę ku tym moim „białym“ umierającym od ran braciom, których miałem obowiązek ratować!... — opowiadał mi ze wzruszeniem ów lekarz wojskowy.

Daurzy, zamieszkali w pobliżu miast i stanowiący nawpół osiadłą ludność, trudnią się rolnictwem, hodowlą koni i handlem. Do namiotów przenoszą się tylko na lato. Zimę spędzają na folwarkach, w tak zwanych „fanzach“. Fanza stoi zawsze w głębi dziedzińca, po którego bokach mieszczą się szopy, składy, chlewy i śpichlerze. Frontem jest zwrócona do wrót i przedstawia zwykły, czworokątny, podłużny dom murowany lub obmazany gliną, nakryty daurskim dachem płaskim, lub chińskim rogatym z rurowatej ciemnej dachówki. Po obu rogach domu wznoszą się stożkowate kominy dymników, odprowadzające dym z pieców, płonących wewnątrz domów. Kominy stoją zupełnie osobno i są połączone z domem jedynie kanałami, rzecz wielce praktyczna, gdyż zmniejsza niebezpieczeństwo pożarów, oraz czyni wysokość komina niezależną od wysokości domu. Z podwórza wchodzi się przez

niewielkie drzwi do dużej, ciemnej sieni. Tuż u wejścia mieszczą się po obu stronach ogniska, na których gotują strawę i grzeją wodę. Kanał ogniowy idzie dołem od jednego ogniska do męskiej połowy domu pod pryczę, zwaną „kanem“, na której zwykle siedzą goście i pan domu; kanał ogniowy drugiego ogniska (na lewo od wejścia, jeśli się zwrócić twarzą do drzwi) przechodzi do żeńskiej połowy domu, gdzie ogrzewa taką samą pryczę — kan. W sionce stoją naczynia, sprzęty mniej kosztowne, w dalszych jej kątach są małe śpiżarki i schówki na bydlęta, dobytek, oraz komora dla służby.

Drabina prowadzi na strych, gdzie leżą konopie, pęki traw, maty oraz inne przedmioty i zapasy większej objętości. W sionce stoją olbrzymie kadzie gliniane na wodę, na olej; wiszą na kołkach siodła, uprzęż, łuki i strzały.

Domy zamożniejszych Daurów różnią się jedynie rozmiarami; rozkład zostaje ten sam. Ale widziałem fanzy, składające się z jednej izby, które nie miały żeńskiej połowy. Żona, córki i dzieci zajmowały jedynie na lewo od wejścia osobny kan, nawet nie zakryty zasłoną i oddzielony od męskiego kanu tylko niewielką drewnianą przegrodą.

Pośrodku izby stoi zawsze fajerka, u ubogich gliniana, u bogatych bronzowa i pięknie rzeźbiona. Za naszym przybyciem napełniono ją przedewszystkim nowym żarem z cieniuchnych gałązek ilmowych lub wierzbowych, płonących jak słoma bez swędu i dymu, lecz mało dających ciepła. W mrozy, w fanzach daurskich panuje przykre zimno. Co do czy-

stości, przyznać muszę, że nie jest czysto, ale przytoczę słowa rosyjskiego włościanina, który bywał w Chinach i Mandżurji:

— „Znacznie czyściej, niż u nas. W chacie Daurzy i Chińczycy nigdy nie trzymają bydła; nie palą, więc niema dymu; nie plują na podłogę, zamiatają ją codzień przynajmniej raz, a często i więcej razy, i codzień wietrzą. Pościel zrana wynoszą na dwór. Mają więc wskutek tego w chatach o wiele czyściejsze i lepsze powietrze, niż nasz chłop... Zapach tylko inny, gdyż inną jedzą strawę: oni ubóstwiają czosnek i różne zioła. Stąd inny zapach..."

W domu naczynia, meble, obrazy, ozdoby, wszystko chińskie. I ubiór mieszkańcy miasta oraz podmiejscy noszą chiński... lecz mają Daurzy inną kołyskę, i kobiety daurskie nie kaleczą swych nóg bandażem. Ulubioną barwą daurską jest dla mężczyzn barwa szara, a dla kobiet fijoletowa lub niebieska w czerwone, różowe, żółte i białe wzory; lubią oni, jak i Chińczycy, haft gładki na brzegu odzieży, ale nie mają własnych, oryginalnych wzorów. Zatracili je dawno.

Gdyśmy wchodzili do fanzy, podawano nam niezwłocznie filiżanki świeżo zaparzonej herbaty, przykryte spodkami. Pić ją należy przez szparkę między obu naczyniami, dla uniknięcia pływających w niej listków. Podawano nam również słodycze i cukier, chiński cukier trzcinowy, brudny i niesłodki.

W jednym domu trafiłem na śniadanie i spróbowałem budy (prosa): obrzydliwa, gorzka kasza, którą jedzą bez soli i żadnej okrasy. Jest to główny

pokarm ubogich tubylców, zwłaszcza w północnej Mandżurji.

Okręg Chajlarski wraz z całą Mongolją służy obecnie za główny magazyn zapasowy bydła, koni i owiec, nietylko dla południowej Mandżurji i Chin, lecz i dla przyległych części Syberji. Tutaj to zakupują Chińczycy hurty opasowych wołów, które utuczone następnie na Południu, przy gorzelniach, odpadkami i sieczką, są z wielkim zyskiem sprzedawane w miastach chińskich i rosyjskich.

— Wszystkich nas utrzymuje przy życiu mąka, mięso i włoszczyzna chińska — mówił mi kupiec z Chabarowska. — Gdy w czasie wojny tego zbrakło, cierpieliśmy głód. Nawet za duże pieniądze nic nie można było dostać. Dla wojska też z Chin bierzemy.

Jest to jeden z powodów, przytaczanych przez stronników zupełnej aneksji Mandżurji.

— Będąc w Rosji, również sądziłem, że zabór ten nie jest dla nas potrzebny, że nietylko południową Mandżurję, ale i prowincję Che-lu-niańską (Cycykarską) powinniśmy niezwłocznie zwrócić Chinom. Ale na miejscu przekonałem się, że wcale to nie jest rzeczą ani prostą, ani łatwą. Nad Amurem niema po naszej stronie ani łąk, ani pól zdatnych do uprawy, jedynie las i skały. Uprawne grunta znajdują się wyłącznie na chińskim brzegu (prawym), i dotychczas kozacy i ludność nadrzeczna korzystała za zgodą Chińczyków z ich gruntów, po części darmo, po części za małe wynagrodzenie. Powstały nawet wioski rosyjsko-chińskie w granicach Chin. Stada, bydło, konie kozackie pasły się u Chińczy-

ków. Trwało to do wojny ku zobopólnej wygodzie. Lecz obecnie zmieniło się położenie. Rząd chiński zabronił wydzierżawiania gruntów, nałożył cło na bydło, i natychmiast ceny mięsa w Błagowieszczeńsku podskoczyły do 25 kop. za funt. Chińczycy śpieszą się z kolonizowaniem pobrzeża Amuru. Obecnie my się temu opieramy, zmusiliśmy ich znieść cło od bydła i zboża, lecz z wycofaniem naszych wojsk tłumy Chińczyków zaleją natychmiast pogranicze. Wystarcza, aby Chiny zamknęły granicę dla wywozu, a ludność nasza i nasze wojska znajdą się w ciężkim położeniu. Tymczasem dolina Amuru pochłonęła dużo naszych sił i kapitałów. Jest tam znaczny procent ludności rosyjskiej, są bogate kopalnie złota, są miasta, fabryki, parowce... wreszcie przyzwyczailiśmy się uważać tę ziemię za naszą... Niełatwo rozwiązać tę kwestję, gdyż każda rzecz ma swoją konsekwencję. Ma ją również i zabór... ten pierwszy, początkowy zabór... Obecnie nie mamy wyboru. Albo musimy wyrzec się kolei, portów i straconych na nie pieniędzy, ustąpić z nad Amuru, z kraju Usuryjskiego, zerwać z polityką kolonizacyjną, albo zatrzymać Mandżurję... Cała rzecz w tym: jak tu zrobić?

Powyżej przytoczone zdanie jednego z wyższych urzędników rosyjskich jest zdaniem większości tutejszej administracji. Różnica istnieje tylko co do... sposobów. W Mandżurji, o ile mogłem zauważyć, ścierają się dwa wrogie sobie prądy: cywilny i wojskowy.

Wojskowi chcą zupełnego i formalnego wcielenia Mandżurji w granice państwa.

— Zbyt wiele ona nas kosztowała krwi i trudów! — powiadają.

Cywilni pragną jedynie zachować ją w sferze wpływów.

— To przedewszystkim taniej kosztuje. W kraju tak obszernym i ludnym jak Mandżurja trudno bardzo zorganizować własną policję i administrację oraz utrzymać porządek. Zresztą co nam po tym? Znacznie dogodniej, gdy to robią sami Chińczycy. Przedewszystkim powinniśmy się starać rozwinąć tu nasz przemysł i handel... Mamy już kolej, mamy własne miasta, w nich należy utrzymać garnizony, zaprowadzić wzorowe urządzenia, wzorową policję. Gdy życie tam będzie upływało spokojnie i wygodnie, Chińczycy będą się garnęli do nas, wpływ nasz wzrośnie i nastąpi zabór trwały, naturalny, duchowy... Wojska trzeba wyprowadzić, aby życie mogło powrócić do zwykłego biegu!...

Zdaje się, że ta partja miała przewagę; zgodnie z traktatem, wojska (w czasie mego przyjazdu) opuszczały południową Mandżurję. Na jednej ze stacji spotkałem 10-ty pułk, który wyszedł z miasta Kaojań, gdzie stał 3 lata.

— Chociaż to Chiny, a wyznaję ze wstydem, że czułam się jak w domu!... Miałam całe gospodarstwo: kury, kaczki, indyki!... Wszystko musiałam rzucić, sprzedać za półdarmo. Znowu będzie trzeba starać się o to, gdy wrócimy do Rosji. Cóż robić! Pensję również zmniejszą, gdyż nastał pokój.

A tutaj, to chociaż była wojna, czułam się niezgorzej i nawet pewniej się czułam, niż tam. Tam — rozboje!... — skarżyła mi się żona odjeżdżającego oficera.

Oficerowie również nie ukrywali niezadowolenia; cieszyli się jedynie szeregowcy.

— Kontenci jesteście, że wracacie? — spytałem ich.

— Oh, panie, strasznie cieszymy się!...

— Cóż to?... Tak źle tu było?

— Rozumie się, że źle!... Służba ciężka, za byle co odpowiedzialność wielka!... Zaraz — sądy! Oberwaliśmy się do ostatka, wydali na jedzenie co było, stęsknili strasznie!...

Istotnie mówiono mi, że konieczność ukrócenia rozhukanych w czasie wojny namiętności zmusiła władze wojskowe do stosowania srogich kar w wielu wypadkach... Lała się więc krew... Czyż nie wszystko jedno czyja?... Przecież najgorszy łotr miał matkę, która zrodziła go w bólach, wychowała w troskach!

W stepach Chajlarskich i na Chinganie panowała jeszcze zima, mróz dokuczał i zdarzały się nawet zawieje, lecz skoro tylko pociąg nasz zbiegł zygzakami w dolinę Buchaty, owionęła nas wiosna. Im dalej uciekaliśmy od kopcowatych, półkolem na północy spiętrzonych gór, tym robiło się cieplej. Płatki śniegu bielały ledwie gdzieniegdzie na uboczach; środkiem doliny wartko płynęła rzeczułka; krzewy przydrożne świeciły nabrzmiałemi pączkami; wesołe

twarze robotników chińskich zdawały się wciąż mówić sobie i innym, że zimy już niema, że ubyła jedna troska i bieda.

Skały, miejscami bardzo malownicze, w ukośnych promieniach poranku rozchodziły się coraz szerzej, łagodniały, błękitniały, dolina rozszerzała się, zjawiały się na niej zarośla i gaje szarej jak srebro ilmy, czarnych dębów i czerwonawej jak złoto olszyny. Na górach tu i owdzie zieleniały sosny, a na mokradłach strzelały z mgieł bezlistnych jeszcze krzewów ciemne wieżyce kosmatych świerków. Dołem przelewała się woda, błyskając na słońcu; kaczki kąpały się w bajorach czarnosrebrnych, obrzeżonych kędziorami brunatnych, przeszłorocznych traw, niby starodawna laka, żywcem wzięta z chińskiej szkatułki. Już trafiały się pola uprawne, wioski szare, płaskie, zbudowane z kamieni, a wśród nich zawsze prawie jeden, dwa lub cały szereg osmolonych rumowisk, czarnych szkieletów pogorzelisk, wstrętnych jak wyrzut sumienia.

Ale ludzie zapomnieli o cierpieniach. Dzieci bawiły się na zwaliskach, kobiety prały bieliznę w potokach wiosennej wody, unosząc jeno na chwilę oczy od pracy, aby spojrzeć na przebiegający pociąg. W błękitnych dalach pól widać było błękitnych chińskich oraczów. Chłodna, sinawa barwa dalekich gór zwolna stawała się gorącą, liljowo-różową, fijoletową. Słońce piekło. Tłum na stacjach i w pociągu nagle się zmienił. Europejczycy gdzieś znikli; z okien, zwłaszcza trzeciej klasy, wyglądały wyłącznie żółte twarze Chińczyków w czarnych,

okrągłych czapkach z kolorowemi gałkami. Chińscy przekupnie roznosili owoce, gotowane jaja, smażoną rybę, pieczony drób, jakieś słodycze, ciastka i pierożki, których dziwaczną nazwę dźwięcznym wykrzykiwali głosem.

— O, to jeszcze nie Chiny. Zobaczy pan dalej. Tu pusto! — rzekł mi jeden z tamtejszych bywalców, widząc, że raz wraz wychylam się z wagonu z aparatem fotograficznym w ręku.

Istotnie, wiosek i pól czarnych było niewiele. Przeważały obszerne, stepowe łąki, porosłe wysoką i grubą trawą, którą właśnie palono.

— Gdyby jej nie spalić, nie pozwoliłaby się nowej trawie od dołu przebić, step pozostałby czarnym! — objaśniał mię ten sam towarzysz podróży.

Czerwony wąż ognia biegł z hukiem i trzaskiem często tuż obok kolejowego nasypu i, trafiwszy na bujniejszą kupę paliwa, na zarośla lub szuwary, buchał nagle wysoko skłębionym płomiennym wytryskiem, uwieńczonym rudą grzywą dymu.

Chwilami zdawało się, że zjadliwe języki płomieni dosięgną pociągu i wpiją się weń, lecz pociąg biegł szybciej od ognia, mijał go, przecinał, wpadał w nowe pierścienie pożogi i biegł spokojnie po rozległych, opalonych i dymiących jeszcze obszarach.

Pożary te są tu rzeczą zwykłą, nikt się ich nie lęka, a zaskoczony przez nie w drodze podróżnik wypala poprostu dokoła siebie pewną przestrzeń, zapala przed sobą trawę i czeka, aż lawiny płomieni wpadną na się i zduszą się wzajem.

Pociąg nasz opóźniał się i dopiero wieczorem

wysiadłem na stacji Cycykar, aby stamtąd ruszyć do miasta Cycykaru, odległego o 20 wiorst.

Odradzano mi stanowczo podróżować po Mandżurji w nocy, zresztą nie znalazłem na stacji nic, coby mi taką podróż umożliwiało: ani wozu, ani konia, ani nawet tragarzy. Musiałem nocować, lecz i nocować nie było gdzie. Stację Cycykar, jak większość stacji kolei Mandżurskiej, dopiero budowano. Nie miała dworca, nie miała pokoju dla podróżnych; kancelarja naczelnika i telegraf mieściły się w jakiejś brudnej budzie, bufet w ciemnej, nędznej lepiance. Krążyły wprawdzie pogłoski, że istnieje gdzieś jakiś zajazd, ale bardzo sprzecznie mówiono o tym, a nikt nie umiał go wskazać. Byłem więc zmuszony udać się do komendanta stacji. Ludzie mrukliwi, gburowaci, jak większość przyjezdnych w Mandżurji, niechętnie, półgębkiem dawali mi objaśnienia. Pobrnąłem więc na chybił trafił, w rozpaczliwie ciemną noc, ku rozrzuconym i słabo migającym w oddali światełkom. Wpadłem do jakiegoś dołu, następnie psy mię napastowały zażarcie, aż wreszcie trafiłem na dwie rosłe figury, śpiewające pijanym głosem hulaszczą piosenkę.

— Gdzie tu mieszka komendant?

— He?! a co?

— Gdzie mieszka komendant stacji? — pytam.

— A ktoś ty taki?

— A co ci do tego? Wiesz, czy nie wiesz, gdzie mieszka komendant?

Figura zbliża się i tuż przy mojej twarzy zaciąga papierosem; słaby blask oświetla mię na chwilę.

Widocznie lustracja wypadła na moją korzyść, gdyż figura mówi już łagodniejszym tonem:

— Gdzie ma mieszkać? Tu mieszka! — pokazuje budynek, czerniejący niedaleko na wzgórku.

Za chwilę znalazłem się w jasno oświetlonym, schludnym pokoiku, za stołem zastawionym przyborami herbacianemi, z szumiącym samowarem na boku.

Przegawędziliśmy wesoło cały wieczór; gadaliśmy nawet o Warszawie.

Przenocowałem w etapie wojskowym wraz z przejezdnym kozackim oficerem, a nazajutrz komendant dał mi wierzchowca i dwuch przewodników kozaków.

— Niech pan nie żartuje! Gdyby pan sam pojechał, mogłoby się z panem co zdarzyć. Zresztą nie trafiłby pan. Radzę panu również wziąć moją burkę, bo będzie zimno — radził komendant.

Istotnie przejmujący, gwałtowny wiatr poprostu z konia spychał.

— A to myśmy wczoraj pana spotkali! — rzekł jeden z moich towarzyszów, poprawiając mi strzemię.

Głos wydał mi się znany, a obrzękła twarz i duży, czerwony nos, przekonały mnie ostatecznie.

— Wesołoście się wczoraj bawili?!

Kozak uśmiechnął się pod wąsem.

— Nudno! Na śmierć nudno. Sam piach. Nawet upić się trudno. A jak się upijesz, to nic niema do roboty, jeno spać... Wertep!

Choć wiatr dął nam w twarz i wzdymał moją burkę kaukaską, jak olbrzymi żagiel, rącze konie rwały się naprzód i całą drogę lecieliśmy kłusem, a miejscami nawet galopem. Okolica była posępna,

piaszczysta, naga. Zaledwie tu i owdzie czerniały na widnokręgu kępy drzew, koło szarych, płaskich wiosek. W połowie drogi przecięliśmy taką wioskę. Były to znane mi już fanzy, otoczone murami zbitej gliny. Na podwórzach i ulicach pracowali wieśniacy, wożąc i przerzucając z kupy na kupę komposty. Komposty, przygotowane widocznie w czasie zimy, były porządnie złożone w wielkie, pryzmatyczne wały. Wogóle na ulicach i na podwórkach było o wiele porządniej, niż w zagrodach naszych chłopów i słynne chińskie niechlujstwo zmalało trochę w moich oczach. Nie pachną oni, to prawda, bo bieda wogóle nie pachnie, ale... do wszystkiego można się przyzwyczaić.

W tej wiosce była piękna, buddyjska świątynia, którą chciałem obejrzeć. Nie znalazłszy żywego ducha na podwórzu i słysząc gwar głosów dziecinnych w bocznym skrzydle, zajrzałem tam. Była to szkoła wioskowa. Dwudziestu kilku bębnów darło się w niebogłosy, wykrzykując lekcje. Naprzeciw wejścia, na tapczanie, za nizkim pulpitem siedział nauczyciel. Kilku dorosłych, poważnych jegomościów, siedząc koło drzwi na tej samej ogólnej pryczy (ławie), co dzieci, czytało książki. Dzieci, spostrzegłszy mię, natychmiast przestały krzyczeć, wskazały mnie nauczycielowi i, porzuciwszy książki, otoczyły mię. Bez cienia zaambarasowania każde z nich witało mnie najpierw nizkim „koteu“, poczym bez żadnej już ceremonji oglądały mnie na wszystkie strony i dotykały odzieży. Nauczyciel, który niezwłocznie podszedł, próbował je odpędzić, lecz niebardzo go słuchały. Gdym zaś zajrzał do ich kajetów i, podniósłszy duży

palec, powiedział „hao“, radość, a w parze z nią wrzawa nie miały granic. Chciały mnie gromadą oprowadzać po świątyni, lecz nauczyciel stanowczo się już temu sprzeciwił. Dzieci zostały w szkole, choć długo jeszcze po moim wyjściu wysuwały głowy przez drzwi i wołały: „hao!“

Świątynia była zwykłą buddyjską świątynią, zdaje się, jedyną zamiejską, która ocalała w pasie pochodu wojsk. Laka zachowała się jeszcze dość dobrze, ale była grubej i brzydkiej roboty. Widziałem potym o wiele ładniejsze. Nauczyciel puścił mię nawet do ołtarza, ale prosił, abym za kilka groszy kupił świeczek (pałeczki z rdzenia sitowianego) i spalił je. Dałem mu kilka groszy na świeczki i kilka dla niego. Zapalił świeczki, wstawił je w bronzową wazę, pełną popiołu, i podziękował głębokim ukłonem.

Zawierucha nabrała tymczasem takiej siły, że w tych kłębach siekącego, ostrego piachu, tamujących oddech, ślepiących oczy, przeciskających się pod odzież, miałem przedsmak wichury niedalekiej Gobi. Mimo to, w miarę zbliżania się do miasta, droga zaczęła się zaludniać. Z niewidzialnych wiosek, z za wzgórków, z jarów, śpieszyły po krętych dróżynach oddzielne postacie pieszych, jeźdźców, tragarzy i zlewały się w jeden, coraz liczniejszy potok ludzi. Jedni szli ku miastu, inni wracali, wioząc towary na dwukołowych wozach, zaprzężonych cugiem we trzy lub cztery muły. Zaprząg chiński jest tego rodzaju, że każde zwierzę jest przywiązane samodzielnie do tego samego punktu na tylcu woza. Tworzy to przy większym zaprzęgu całą sieć sznu-

rów, ale jest ekonomiczne dla sił pociągowych. Środkowe zwierzę w hołoblach; przyprzężek zwykle dwie a trzecia i czwarta na przedzie w cugu. Furman z długim batem siedzi na hołoblach, tuż przy ogonie pierwszego muła. Ładowanie wozu wymaga umiejętności, aby równowaga była zachowana. Pod hołoblami wiszą podpórki na wypadek, gdyby zwierzę upadło. Z tyłu pod wozem wisi glinfana maźnica ze smarami. Wozy chińskie nie skrzypią jak mongolskie lub burjackie arby, choć są z konstrukcji bardzo do nich podobne. Koło chińskie obraca się wraz z osią, a jest zbudowane z kawałków drzewa, zbitych na płask i okutych ogromnemi gwoździmi. Łebki gwoździ, przystając do siebie, tworzą obręcz. Wóz chiński trzęsie niemiłosiernie, jest ciężki, niezgrabny, ale mocny, da się łatwo reparować i dla dróg tutejszych, haniebnych dróg, jedyny. Jaki pan, taki kram!

Na takich wozach przelatywały mimo nas cwałem całe gromady wesoło śmiejących się Chińczyków. W ładniejszych i starannie zakrytych budkach wozów widziałem malowane Chinki z dziećmi i pierzynami. Z niektórych wyglądał otyły kupiec lub wyschła twarz urzędnika. Zresztą urzędnicy jechali przeważnie wierzchem, na pięknych mułach, które tu są stanowczo ładniejsze i roślejsze od koni. Jakichś trzech młodych zuchów próbowało się nawet ścigać z jednym z kozaków, którego gorący, źle objeżdżony koń ciągle ponosił. Lecz byli sromotnie zwyciężeni; poniósł również osieł na drodze jakiegoś poważnego profesora w okularach, który jechał

zamyślony ze zwojem papierów w ręku; zaryczał i ruszył z kopyta za nami, ku wielkiej uciesze tłumu.

Chińczycy jeżdżą wybornie. Wogóle nie jest to lud bynajmniej śmieszny lub niezgrabny; zwykła ich odzież nie jest zbyt długa i nie krępuje ruchów, a warkocz... do warkocza trzeba się przyzwyczaić. Jest on niedogodny jedynie dla swego posiadacza, który, nawet kładąc się do snu, musi o nim pamiętać i, aby go nie pognieść, przekłada na drugą stronę drewnianej poduszki lub nawet opuszcza z łoża na dół. Dlatego to Chińczycy śpią zwykle głową ku krawędzi łóżka. Powiadają, że chunchuzi, wdarłszy się do oberży lub domu, wiążą przedewszystkim śpiących razem za warkocze, a następnie dyktują warunki. Byłem w czasie nocnych rewizji w kilku domach chińskich i istotnie widziałem na krawędzi ogólnej pryczy rzędy głów chińskich ze zwieszonemi ku ziemi warkoczami. Śpią Chińczycy zupełnie nago; ubranie kładą z boku i w nogach, a pod materac nieodzowną fajeczkę, kapciuch i torebkę z krzesiwem lub zapałkami; kołdry mają watowane, poduszki — drewniane podstawki lub plecione z bambusu elastyczne wałki. Na te podstawki zamożniejsi kładą małe pierzane lub włosiane poduszeczki.

Na znacznej jeszcze odległości od miasta wiatr przywiał nam fatalny odór martwicy. Myślałem w pierwszej chwili, że spadnę z konia, spazmy ścisnęły mi gardło. Po kwadransie jednak oswoiłem się z tym trochę i wśród tumanów kurzu dostrzegłem przyczyny zapachu, małe stożkowate kupki

mogił chińskich, nieprzejrzane ich pola, otaczające ścisłym wiankiem każde miasto chińskie. Na niektórych stały nagrobki — małe słupki kamienne, lecz większość nie miała żadnych znaków. Chińczycy nie kopią wcale dołów, lub kopią nadzwyczaj płytkie. Trumnę z wierzchu zasypują gliną. Nie widziałem żadnych szczególnych oznak poszanowania dla tych mogił. Wiele z nich wiatr rozwiał, inne rozmyły deszcze, a trumny przegniłe i rozbite sterczały na wierzchu. Widać było nieboszczyków; odzież ich i piszczele wystawały nazewnątrz, wiatr szarpał je... Psy, świnie, szczury i wrony gospodarowały wśród mogił, wcale nie zwracając uwagi na gwarny tłum, idący drogą.

Wśród tych pól śmierci, które ciągnęły się daleko, jak okiem sięgnąć, one były wyłącznemi gospodarzami. Ani jednej ludzkiej postaci nie dostrzegłem wśród samotnych pagórków. W jednym tylko miejscu ukazała się idąca z miasta procesja biało ubranych ludzi, niosących nieboszczyka.

Chińskie miasta, otoczone zębatym murem z rogatemi basztami i wysokiemi bramami, zwykle zdaleka już widać na widnokręgu, niby mglisty rysunek na starej, zmierzchłej porcelanie. Ale Cycykar od strony kolei zakryty jest drzewami i wzgórkami. Niepostrzeżenie znaleźliśmy się przed pierwszą bramą miasta u świątyni Spotkania. Jest to piękna świątynia poważnego bóstwa Caj-szou z długiemi wąsami i zwie się Caj-imm-mjao. Po lewej ręce ma bóstwo w osobnym ołtarzu „żonę“, piękną chińską panią, po prawej jakiegoś sędziwego pana z siwą brodą...

Nie jest to świątynia buddyjska, ale jaka? — nie mogłem się dowiedzieć. Widziałem następnie w Cycykarze kilka świątyń, poświęconych temu bóstwu: były zupełnie do siebie podobne. Świątynia u Wrót Północnych różniła się od nich jedynie obfitością ślicznych drzew na dziedzińcu i za tylną ścianą.

Przed świątynią, bokiem do wjazdu, stały kamienne pomniki; jeden w kształcie bramy o trzech odrzwiach: „Phaj-lo“, postawiony cnotliwej wdowie, drugi w kształcie niszy z wysokim w głębi kamieniem, pokrytym napisami: „Phei-i“, pomnik cnotliwego dziań-dziunia (wielkorządcy). Szczególnie ładny był pierwszy pomnik, ozdobiony oryginalnemi rzeźbami. Na cokóle jego siedziały po rogach zadumane małpki, objąwszy rękoma kolana. Pomników takich jest kilka w Cycykarze. Stawiane są na rozkaz bogdochana wdowom, które przez lat dziesięć dochowały wierności nieboszczykom, lub takim, które dobrowolnie zapragnęły umrzeć, aby się z niemi połączyć. Taka wdowa desperatka bardzo jest honorowana: dygnitarze ją odwiedzają i wyprawiają jej sutą ucztę przed zgonem... W końcu uczty musi połknąć złotą gałkę, która ją dusi... Bywały jednak wypadki, że w ostatniej chwili takie uhonorowane ofiary się cofały i wychodziły szczęśliwie za mąż za jednego z poznanych przy tej okazji dygnitarzy...

O drugim „Phaj-lo“, który stoi w mieście u bramy wewnętrznej, opowiadano mi ciekawą historję.

— Ten pomnik niedawno, bo zeszłego roku, postawiono pewnemu urzędnikowi, jednemu z pomoc-

ników (Si) cycykarskiego dziań-dziunia, który przewidział, do czego doprowadzi wojna, i opierał się jej wszystkiemi siłami. Dziań-dziuń nie mógł sobie dać z nim rady, posłał go więc z takim zleceniem do innego miasta, że urzędnik tego zlecenia nie mógł spełnić. Wtedy go uwięziono, majątek zabrano, pozbawiono stopni naukowych. Wielce poniżony umarł w więzieniu. Dopiero, kiedy wybuchła wojna i miasto wzięto, przypomniano sobie nieszczęśliwego „Si“, wrócono mu cześć i postawiono pomnik... Powinien ci się jego pomnik podobać, gdyż ten „Si“ był przyjacielem Rosjan!

Pomnik istotnie był ładny, choć nie miał zadumanych małpek na cokóle, lecz srogie lwy. Na nieszczęście, po sprawdzeniu, okazało się, że nie jest pomnikiem cnotliwego urzędnika, lecz cnotliwej wdowy.

Nie mogłem się nawet dowiedzieć, czy istniał ów zdecydowany przeciwnik wojny, czy też historja była wymyślona naprędce dla przekonania mnie o wielkiej lojalności mieszkańców miasta Cycykaru...

Choć Cycykar sam się poddał, ale... wzięto go szturmem, gdyż, podobno, strzelano z jego murów kilka razy z armat i karabinów do nadchodzących wojsk. Co się tu działo, nie mogłem się dopytać, ale nieraz w głuchych ulicach rzucano na mnie piaskiem, skórkami od pomarańczy, nawet kamykami, takie na mnie z tłumu padało spojrzenie, że mrowie brało. Pozornie jednak stosunki były jaknajlepsze.

W dzień chodziłem po ulicach z tłómaczem, na-

wet sam, i zaglądałem do odległych, pustych zaułków — nie spotkało mię nic złego; widziałem na targu i na ulicach samotnie chodzących Europejczyków, nawet kobiety europejskie... lecz gdym wracał skądkolwiek w nocy, z urzędu dodawano mi... dwuch kozaków.

Następujący wypadek zdarzył się w czasie mojego pobytu. W środku miasta, niedaleko nawet od mieszkania wojennego komisarza, gromada Chińczyków złapała dwuch przybyłych niedawno do miasta Rosjan, zawlokła ich do pustego domu i, związawszy, zaczęła dręczyć, podsmalać płonącym papierem, ranić, wymagając okupu. Dręczeni wysłali list na stację Cycykar z prośbą o pieniądze. Zabrawszy im pieniądze, zegarki, odzież, porzucono ich związanych. Jęki nieszczęśliwych usłyszał ront wojskowy, patrolujący ulice. Oswobodzono uwięzionych, a uwięziono Chińczyków, na których ślady naprowadziły sprzedane rzeczy i zegarek. Właśnie sąd konsularny z władzami chińskiemi roztrząsał tę sprawę, gdym odwiedził cycykarskiego konsula.

Miasto Cycykar nie jest piękne. Nie posiada wcale ogrodów, ani w śródmieściu, ani w okolicy, z wyjątkiem małego ilmowego gaju za południowo-zachodnią bramą koło starego cmentarza znakomitych Mandżurów. Cycykar uważany jest za miasto mandżurskie; istotnie dużo Mandżurów tam mieszka, lecz wyznaję, że nie mogłem ich odróżnić od Chińczyków, mimo pewnego doświadczenia, nabranego w Chajlarze. Odzież ich i obyczaje stały się zupełnie chińskiemi. Chińska myśl i chińska mimika uro-

biła nawet twarze ich na chińską modłę; krzyżowanie w małżeństwach do reszty zaciera różnice.

Tu, w Cycykarze, wyrabiają się i stąd rozchodzą się po stepach te wszystkie przedmioty potrzeby, zbytku i czci religijnej, jakich nie mogłem nabyć ani u koczowników, ani w Chajlarze. Tu kazano mi ich szukać i tu je znalazłem. Nie znalazłem tylko szamańskich *ongonów*, kawałków płótna ze srebrnym księżycem i złotym słońcem, naszytemi po rogach, z trzema figurkami złotemi i dwiema srebrnemi pośrodku, z kawałkami futra nad niemi i rysunkiem lisa u dołu. Skłamał więc koczownik Daur, u którego znalazłem ich aż 12 w ołtarzu domowej kapliczki (stała poza ogrodzeniem domu na rogu i była zupełnie podobna do buddyjskich, nawet obrazki buddyjskie wisiały na ścianach, chociaż właściciel jej był szamanistą).

Jeden jedyny malarz obrazów świętych, którego w Cycykarze odszukałem, był buddystą i malował na zawołanie z pamięci wszystkich buddyjskich i nawet niebuddyjskich świętych: należało mu tylko wymienić nazwę; ale ongonów malować nie umiał. Miał pewne artystyczne zacięcie, i kupiłem od niego ładny szkic bohatera, wielkości prawie naturalnej, który wisiał w pracowni na ścianie. Oddał go za r u b l a.

Ruch na ulicach Cycykaru ogromny. Szczególnie zrana, kiedy napływają wieśniacy z okolicy, przetłoczyć się niepodobna przez błękitno ubraną ciżbę pieszych z nosidłami na plecach, oraz woźniców, prowadzących bawoły za kółka w nosie lub muły na lejcach. Gwar, krzyk, wymyślanie, gdyż prostak

chiński nie może żadnej sprawy ulicznej załatwić bez przekleństw. Przekleństwa chińskie zdrożnością i wymysłem nie ustępują rosyjskim. Rozbrzmiewają nawoływania przekupniów, dzwonią dzwoneczki balwierzy, stukają młotki trawiarzy, mędlujących pod ścianami słynną trawę „uła", która „chroni nogi od ran w najdalszej drodze". Istotnie: wyborna trawa do opakunków. Wieśniacy mandżurscy owijają nią nogi, a na wierzch nadziewają skórzane ciżmy „uła", obuwie nieznane w Chinach. Nad tłumem powiewają w powietrzu i iskrzą się w słońcu barwne, często złocone znaki handlowe. Odrzwia sklepów i gzymsy nad niemi również malowane jaskrawo: czerwono, niebiesko, zielono, co na szarych ścianach, pod czarnemi i szaremi dachami wcale ładnie wygląda.

Na straganach po obu stronach ulicy wystawione najrozmaitsze towary, poczynając od włoszczyzny i jarzyn, a kończąc na mięsie. Wszystko to nie przykryte kurzy się i brudzi w obłokach pyłu, wzdymanego przez wiatr i ruch tłumu. Do wyrobów miejscowych należą: wyroby z krwawnika, agatu i opalu, które z nad Amuru z gór przynoszą koczownicy. Tutaj wyrabiają z nich pierścienie, breloki, gałki do czapek, flakoniki do tabaki, guziki, oraz inne drobiazgi, nieraz bardzo ładne, ale zawsze bardzo drogie. Zauważyłem zresztą, że dla mnie, t. j. wogóle dla Europejczyków, istniała wszędzie w Chinach inna cena, przewyższająca niekiedy w trójnasób ceny dla tubylców.

— Ty kupisz u nas raz tylko, a oni wciąż ku-

pują — tłómaczyli mi kupcy. — Gdy będziesz kupował często i dla ciebie cena zmaleje!...

W zasobniejszych sklepach zapraszano mię do małego pokoiku za sklepem, podawano mi zaraz herbatę, pokazywano próbki towarów, oraz fotografje nie zawsze... przyzwoite. Uderzyło mnie to, że nawet w porządnych sklepach te fotografje, oraz odpowiednie rysunki wisiały zupełnie otwarcie obok luster, bukietów ze sztucznych kwiatów, wazonów porcelanowych i innych ozdób, nieraz nawet w sąsiedztwie ołtarzy opiekuńczych duchów.

Dowiedziałem się następnie, że często w dzień Nowego Roku przyjaciele posyłają sobie wzajemnie podobne rysunki z życzeniami. Nikt nie uważa tego za rzecz zdrożną, nie kryje się z tym, ani wstydzi. Kobiety i dzieci patrzą na to zupełnie spokojnie, gdy tymczasem Chinka spłonie ze wstydu, gdy obcy mężczyzna zobaczy u niej gołą stopę, a Chińczyk miesza się, gdy go ktoś o żonę zagadnie. Przypuszczam, że rysunki te nie są oznaką jakiegoś szczególnego zepsucia — nie jest ono większe tu, niż u nas — lecz jest pozostałością starożytnego kultu, który łączył pewne wyobrażenia z pojęciami szczęścia, powodzenia, pomyślności, bogactwa... Stary pasterski i rolniczy kult...

We wszystkich sklepach widziałem ogromną liczbę subjektów; grzeczni, usłużni, nie wyrażali najmniejszego niezadowolenia, gdym, przerzuciwszy ogromną moc towaru, odchodził nic nie kupiwszy. Zato były i takie sklepy, w których mi odmawiano sprzedaży przedmiotów, wystawionych w witrynach. W takich

razach nie odpowiadano mi nic, patrzano na mnie spokojnie, lecz tak obojętnie, jakby w tym miejscu, gdzie stałem, była próżnia.

Wszyscy, którzy mieli trwalsze i dłuższe stosunki z chińskiemi kupcami, nachwalić się nie mogą ich uczciwości, słowności, solidności.

— Chińczyk wytarguje co się da, ale po zawarciu umowy nigdy nie oszuka. Przy spełnianiu zaś zobowiązań względem siebie zawsze weźmie pod uwagę okoliczności łagodzące, i jeśli były słuszne, ustąpi lub poczeka. Czy pan uwierzy, że oni po wojnie zgłaszali się do nas do banku i deklarowali swoje długi, choć wiedzieli, że weksle poginęły i że wielu ksiąg brakowało! Z wyjątkiem Chińczyków nikt tego nie zrobił... Ale na Chińczykach nie straciliśmy nic, chyba na tych, których zabito... — mówił mi dyrektor banku Rosyjsko-Chińskiego.

Kredyt w Chinach bardzo jest rozpowszechniony. Kupcy dają dość znaczne nawet sumy na słowo, bez wekslu. Każda mieścina, nawet wioska większa, ma coś w rodzaju kasy zaliczkowej. Również rozpowszechnione są lombardy, które służą właściwie za składy rzeczy cennych dla mniej zamożnych rodzin. W tych lombardach, na licytacjach, można dostać piękne okazy starej sztuki chińskiej i rzadkie przedmioty.

Cycykar ma około 70.000 mieszkańców. Sam nic nie wytwarza. Jak już wspomniałem, okolica dość jest jałowa, piasek, wymagający dużo nawozu. Sieją przedewszystkim proso wszelkiego gatunku (budę), bób, groch, sadzą kartofle, włoszczyznę. Rzepa do-

rasta ogromnych rozmiarów, ogórki również, czerwona rzodkiewka przeradza się w olbrzymią rzodkiew, marchew jest olbrzymia, ale buraki się nie udają. Nie widziałem ich wcale na targu. Widziałem natomiast dużo pysznej, chrząstkowatej sałaty, którą jedzą na surowo lub gotują z mięsem zamiast słodkiej kapusty. Cycykar jest przedewszystkim punktem tranzytowym: tu krzyżują się drogi z Hirynu, z Mukdenu, z Aziche i Władywostoku, nareszcie z Błagowieszczeńska, dokąd wkrótce ma być przeprowadzona odnoga kolei żelaznej. Taka odnoga połączy również kolej Mandżurską z Hirynem.

Na północ idzie stąd zboże, oleje bobowe i lniane, hanszyn (wódka z prosa), bydło opasowe, wszelka manufaktura, broń, wyroby żelazne, obrazy, siodła, galanterja, garnki, porcelana, wyroby miedziane...

Handel hurtowy z Mongolją i Amurem tu ma swe składy i kantory. Miasto bardzo brudne, zakurzone, wietrzne... Wiatr wieje tu wciąż i wznosi tumany pyłu nawet w kilka godzin po deszczu. Stąd szara barwa miasta, nieba, ludzi, budowli i wątłych, rosnących gdzieniegdzie drzewin. Pośrodku miasta jest rodzaj małej forteczki, otoczonej wysokim murem. Miasto też jest otoczone murem, a prowadzą do niego ogromne bramy, zamykane dawniej o zachodzie słońca, z wielkiemi wieżycami nad sklepieniem. Wchodzi się do bramy, ominąwszy murowany przyczołek. Mury, jak wszędzie w miejskich bramach, bardzo grube i bardzo wysokie, mogły w dawnych czasach służyć za doskonałą obronę przeciw najezdnikom stepowcom. Obecnie żadnej nie mają

wartości. Chińczycy doskonale to rozumieją, i stąd to zaniedbanie murów i ich ruina.

W Cycykarze dużo jest świątyń. Zwiedziłem niektóre z nich. Wszystkie, zarówno buddyjskie, jak i innych wyznań, mają ten sam charakter; nawet meczet mahometański zbudowany jest w tym samym chińskim stylu. Różnica polega jedynie na wewnętrznym urządzeniu. W meczecie niema ani ołtarzy, ani posągów. Jest to obszerna, nizka sala, podparta dwoma szeregami drewnianych lakierowanych słupów; w głębi wisi tablica z napisem z Koranu, i leży Koran na małym stoliczku. Ze stropu zwieszają się lampy. Mahometanie ogromnie się ucieszyli, gdym ich powitał muzułmańskim „salamalej-kum" i pozwolili mi nawet sfotografować wnętrze meczetu. Z pośród obecnych ci tylko nie dali się sfotografować, którzy mieli na głowach białe zawoje. Mahometanie zamieszkują w Cycykarze osobną dzielnicę, zdaje się, południowo-zachodnią. Słyną z odwagi i buntowniczego ducha. Głowę noszą hardo i patrzą śmiało. Do tego stopnia nienawidzą Chińczyków innych wyznań, że sprzyjają nawet cudzoziemcom. Skarżyli mi się, że nie pozwalają im wznieść minaretu.

Świątynie buddyjskie, daurskie, oraz inne zawsze mają w głębi ołtarze. Często świątynia składa się wyłącznie z takiego ołtarza i wielkiego krużganka dla modlących się. Przed ołtarzem stoi stół z kadzielnicami, ze świecznikami, z emblematami, a na ziemi na podstawkach stoją bębny, dzwony, gongi oraz inne instrumenty muzyczne, w ich liczbie nieodzowna, drewniana trupia głowa, czerwono lakierowana.

W świątyni Lisa (Chu) uderzyła mnie przedewszystkim ogromna liczba tablic z napisami; wiszą one w krużganku oraz na murach dokoła. Objaśniono mię, że to są napisy dziękczynne ludzi uzdrowionych lub wspomożonych przez Lisa. W ołtarzu, który, jak i inne, miał trzy przedziały, dostrzegłem te same siedzące poważnie chińskie postacie złocone i malowane, co w świątyni „Szou“ lub „Fo“ (Buddy). Główna figura trzymała w ręku coś w rodzaju ludzkiej piszczeli, co w zestawieniu z upiększeniami narożników w kształcie łbów słonich wskazywało jakby indyjskie pochodzenie kultu. W lewym ołtarzu po lewej ręce bałwana siedziała kobieta, w prawym jakiś sędziwy jegomość. Nigdzie nie znalazłem wizerunku lisa, ale szukając po kątach, spostrzegłem z boku w ścianie naśladowanie nory lisa, przed którym i w którym palono świece i składano ofiary, co widać było z resztek papieru i popiołu.

W świątyni u wrót północnych widziałem osobną kapliczkę na osobnym podwórku, ogrodzonym kamiennym murem, gdzie w małej, drewnianej altance rzeźbionej i jaskrawo czerwono malowanej stała tabliczka ze złotemi hjeroglifami panującego obecnie bogdochana.

Obok tej świątyni mieścił się teatr, w którym od 11-ej zrana do wieczora grała muzyka i aktorowie w maskach i bogatych strojach dawali przedstawienia. Tłum zbity stał tam wciąż, i nie było sposobu się przezeń przedostać. Skorzystałem więc, że pewnego rana nikogo nie było i zwiedziłem teatr. Otwarta scena, wzniesiona na 8—9 stóp nad zie-

mią, nie miała wcale dekoracji. Za kulisy wiodło dwoje drzwi po obu stronach, zakrytych zasłonami. W małym przedziale na prawo mieściła się kuchnia i kipiały imbryki. Jakiś aktor malował pośpiesznie białą farbą afisz dzisiejszego przedstawienia. W sąsiedniej obszernej izbie znalazłem dużo aktorów, zwykłych chińskich prostaków, którzy pili herbatę, głośno rozmawiali i kręcili się po szopie. Przyjęli mnie dość wrogo, i tłómacz ciągnął mię za rękaw, szepcząc: „Chodźmy, to hołota!“

Ale chciałem jeszcze obejrzeć ubrania i broń, które leżały porządnie złożone na półkach. Były to wszystko świetne stroje z taniej materji, szychu i złotego papieru. Cudaczne maski wisiały rzędem na ścianach, a w rogu na ziemi stały instrumenty muzyczne: bębny, gitary, arfy i gongi. Kobiet wcale nie było; powiedziano mi też, że nocować, wogóle spać w budynku teatralnym nie wolno, że aktorzy mieszkają gdzieindziej.

Tego dnia po obiedzie zwiedziłem więzienie. Mieściło się w smutnej, bezludnej ulicy, gdzie szary mur wznosił się wysoko po obu stronach, jak skały wąwozu. Przez małe drzwiczki wszedłem do sieni odwachu. Na prawo było pomieszczenie dla żołnierzy: brudne, zasłane matami, ubogie „kany“. Na ścianach tanie rysunki; zapach opjum, spite i odpychające twarze żołnierzy... Nigdzie nie dostrzegłem broni. Z odwachu przez małe podwórko szło się do właściwego więzienia, zamkniętego mocnemi drewnianemi drzwiami z małym okrągłym okienkiem; na lewo były drugie takie drzwi do kobiecego wię-

zienia. Weszliśmy na dość obszerny, pusty dziedziniec. Kilka wątłych ilm rosło na nim. Znaczną część zajmowało jakieś obszerne rumowisko; w głębi stała nizka murowana szopa, której zewnętrzna, zaklejona papierem ściana zabita była kratą z grubych, dębowych palów. Jeden z więźniów spał na garści słomy, a słońce piekło mu obnażoną głowę i ciało; kilku z nich wyszło na nasze spotkanie. Naczelnik straży więziennej nie chciał mię puścić do wnętrza więzienia i nie chciał mi towarzyszyć. Gdym sam wszedł, ujrzałem szopę czarną, straszną, brudną, cuchnącą, pełną ludzi; stali tłumnie w wązkim przejściu, leżeli na nizkich tapczanach po obu stronach lub siedzieli tam szyjąc, wiążąc coś, pracując... Nie byli zakuci, ale nad głową każdego wisiały kajdany... Skarżyli się, że mało im jeść dają, i prosili o pieniądze. Kilku leżało chorych, zdaje się, na tyfus, oczy im w gorączce płonęły; jeden, skazany na śmierć, siedział koło słupa z głową opartą bezwładnie, z oczyma nawpół przymkniętemi i drżał drobnym ruchem febrycznym. Widocznie osławiona obojętność Chińczyków wobec śmierci nie jest prawem ogólnym.

Większość więźniów byli to ludzie rośli, tędzy, o posępnym spojrzeniu. Długie, stargane włosy, czarne od brudu twarze i strzępy wiszących na ciele łachmanów potęgowały wrażenie odpychające i pełne grozy...

Pan się nad niemi lituje, a to są zbóje, okrutnicy... każdy z nich już niemało pomordował ludzi... — mówił mi tłómacz, gdym się stamtąd wydostał.

Wśród więźniów znalazłem oroczona, którego wieźli z Chajlaru w jednym ze mną pociągu. Miał wówczas skute ręce i nogi, a pilnujący go Mandżur wiódł go za łańcuch, zamknięty obrożą na szyi. Uprowadził podobno 160 koni i spełnił rozmaite gwałty. Skazano go na śmierć, a prawą rękę w czasie badania zupełnie mu opalono i ogołocono z palców. Gdyśmy wychodzili, wielu więźniów powstało i wyszło nazewnątrz; a było ich tu 70 ludzi. Brama była otwarta, straż bezbronna i nieliczna, coś pięciu ludzi; dziwiło mię więc, że ci, nic nie mający do stracenia ludzie nie rzucają się na nas i nie uchodzą. Stali spokojnie, niezadowoleni, że ich fotografujemy. (Chunchuzi nie pozwalają się fotografować z obawy, aby ich nie poznano). Powiedziano mi, że nie zawsze tak bywa, że przed kilku tygodniami 30 zbrodniarzy uciekło z tego więzienia. Dlaczego nie uchodzą wszyscy? — pozostało dla mnie tajemnicą. Przy takim dozorze nasi zbrodniarze europejscy dnia jednego nie zostaliby w więzieniu.

Do żeńskiego oddziału więzienia nie chciano mię puścić. Twierdzono, że tam nikogo niema, lecz... drzwi się zlekka uchyliły, i wyjrzała z poza nich straszna, siwa głowa. Poprosiłem stanowczo, aby mi drzwi otworzono, opierając się na pozwoleniu dziań-dziunia. Znalazłem tam dwie kobiety: starą, nawpół obłąkaną, wyschłą, jak szkielet, która tu już siedziała od niepamiętnych czasów, i młodą, dość przyjemnej powierzchowności kobietę. Była ogromnie wystraszona i zmieszana widokiem tylu obcych mężczyzn. Męża jej podobno zabili chunchuzi, lecz

ponieważ nie było świadków, zapodejrzano ją o udział zamknięto w więzieniu do wyjaśnienia... Za co siedziała stara, nikt nie umiał objaśnić. Bełkotała coś, tocząc po nas wzrokiem błędnym i wylękłym...

Znów siedzę w wagonie, który bądź co bądź, tu, w Mandżurji, jest miejscem wypoczynku dla podróżnika. Noc wietrzna i zimna. Ciemna, słabo sfalowana równina ledwie odrzyna się na bezgwiezdnym, zasępionym niebie. W taką noc przyjemnie jest mieć elektryczne światło nad sobą i siedzieć z książką w ręku na miękkiej, czystej sofie. Podróżnych pełniutko. Jadą Niemcy, Anglicy, Francuzi, znalazłem nawet dwuch Polaków, z któremi los szczęśliwie pomieścił mię w jednym przedziale. Przeklinają kolej za brak wygód i porządku, wymyślają na Mandżurję.

— Piękny kraj, niema co mówić, piękny kraj! Prócz gołego stepu i gór nic nie widzieliśmy dotychczas! Tu, zdaje się, nikt nie mieszka. Nawet ptactwa, z wyjątkiem kawek, nie widać! Gdzież te osławione bażanty?

— Przed wojną było tu ludno. Teraz Chińczycy odsunęli się od kolei, a z Chińczykami odeszły i bażanty. One trzymają się zbóż!

— Aha, rozumiem wybornie i Chińczyków i bażanty. Właściwie poco im ta kolej?

Zaczyna się długa ekonomiczno-polityczna rozmowa.

Trzecia klasa pełna Chińczyków. Przypuszczam,

że nie robią tego przez skąpstwo, lecz unikając... towarzystwa Europejczyków. Widziałem też, jak na jednej stacji jakiegoś bardzo przyzwoitego Chińczyka „dla braku miejsca“ nie puszczono do klasy drugiej, choć miał do niej bilet. Słowem, postąpiono z nim w Chinach, jak z murzynem w Ameryce.

Przestrzeń między Cycykarem a Charbinem uważana jest za niebezpieczną. Na stacjach i miejscami na linji widzę patrole, szczególnie koło mostów na rzekach. Miejscowość tutaj nizka, błotnista, w lecie gęsto porasta szuwarem, gdzie doskonale pono chowają się „chunchuzi“.

Legienda chunchuska ogromnie jest dla wszystkich dogodna. Pociąg się wykoleił — chunchuzi; popełniono śmiały rabunek lub morderstwo, złoczyńcy nie ujęci — chunchuzi; dostawca zatracił gdzieś po drodze towar — chunchuzi: spłonął sklep wysoko zaasekurowany — chunchuzi. Podobno są; pokazywano mi ujętych, ale grasują wyłącznie wśród Chińczyków; są to rabusie i złodzieje o wiele lękliwsi i mniej pomysłowi od europejskich. Pod względem bezpieczeństwa Mandżurja nie jest gorsza od Kaukazu i Syberji.

Za główne źródło przygód i niepowodzeń wszelkiego rodzaju podróżników należy tu, jak wszędzie, uważać nieznajomość języka i obyczajów. Kto umie po chińsku lub ma dobrego tłómacza i dobry w kieszeni rewolwer, śmiało może puszczać się w podróż po Mandżurji do najdalszych nawet jej zakątków. Poznałem ludzi, którzy samotni z towarami docierali do bardzo odległych wsi i miasteczek. Było to

co prawda przed wojną, ale wyprawy te dowodzą, że charakter mieszkańców z gruntu nie był ani okrutny, ani dziki, ani Europejczykom wrogi. Wojna popsuła stosunki.

Znowu wspominam o niej, gdyż w wagonie spotkałem się z cywilnym jej uczestnikiem, który uciekał do granicy z obozem, ściganym przez Chińczyków. Cierpieli chłód, gdyż bali się palić ogni w nocy, aby ich nie wystrzelano; zabrakło im jedzenia i nabojów, padły zwierzęta pociągowe; wlekli się ledwie żywi; byli z niemi starcy, kobiety i dzieci... Kto został, o tym już nikt nigdy nie usłyszał...

— O jednej tylko kobiecie, żonie telegrafisty, ranionej kulą w piersi, doszły potym pogłoski gorsze od śmierci... Chińczycy znaleźli ją umierającą i wyleczyli... Potym ten pierwszy, który wziął ją do niewoli, sprzedał ją drugiemu, tamten po niejakim czasie trzeciemu, i tak przechodziła z rąk do rąk, aż doszła wieść do naszych wojsk już na południu, że jest w niewoli u Chińczyków. Zażądano jej zwrotu — wróciła, aby umrzeć w szpitalu na chorobę straszną, jak trąd... Nie chciała mówić, co się z nią działo; tylko płakała, powtarzając: Pocoście mię wykupili? pocoście mię wykupili? — opowiadał ten pan, zdaje się, nadzorca robót drogowych.

— Ja również nie mogłem zdążyć za taborem, poraniłem sobie nogi, opadłem z sił... Nieopodal płynęła rzeczułka. Dowlokłem się do niej i schowałem w trzcinach. We dnie siedziałem w trzęsawisku, ukryty po szyję, a nocą dążyłem dalej, karmiąc się korzonkami, trawkami, muszelkami, co Bóg dał...

Dobrze nie pamiętam gdzie i jak, gdyż byłem jak bez pamięci, jak w malignie... Raz usłyszałem głosy w pobliżu, a ponieważ we dnie chodzili po drogach ino Chińczycy, więc już em się chciał puścić na wodę, aby lepiej utonąć, niż żywcem w ich wpaść ręce, gdy wtym rozpoznałem mowę ojczystą. Byli to, jak się okazało, tacy sami zbiegowie, jak ja. Krajowcy wytropili ich właśnie w łozinie i zmusili dalej uciekać. Odtąd wędrowaliśmy we trzech. Miał jeden wędkę, więc po kolei łowiliśmy ryby i już bez szczególnych trudów i przygód dowlekliśmy się do swoich... A inżynjerowi, który niebacznie w polu pozostał, Chińczycy ucięli głowę i nie zwrócili jej, że trupa bez głowy powieziono do Petersburga... Wielki był pan, a bez głowy!... — dokończył spokojnie swe straszne opowiadanie.

Rzecz prosta, iż wojna obeszła się najsrożej ze skromnemi biedakami, ale dostało się wszystkim, wszystkim bez wyjątku. Wszyscy cywilni ze sporą dozą ironji mówili o obronie ich rzekomych interesów. Ale nawet rozsądniejsi wojskowi nie zachwycali się tą wyprawą wojenną.

— Co z tego wyniknie, jeszcze niewiadomo. Dotychczas korzyści małe, straty wielkie, a okrucieństwa nieopisane. Dość powiedzieć, że nikt nie brał niewolnika: ani my, ani Chińczycy. Ostatni nabój każdy chował dla siebie — byle nie oddać się żywcem. Gdy brakło prochu, bezbronnych jeńców mordowali żołnierze białą bronią... Okropny widok!... Ale co robić?!... Taboru w takich wojnach

prowadzić z sobą niepodobna, a odsyłać jeńców nie było gdzie i z kim?...

Rozumie się, że był to wykręt jaskiniowców, którym hasło rzucone w Berlinie, rozwiązało pęta. Widziałem zdjęcia fotograficzne zbiorowych egzekucji, rabunków i gwałtów, słyszałem opowiadania, mrożące krew w żyłach... Attyla i Batyj czynili niegdyś to samo, ale myślałem, że wszystko to należy do przeszłości i nigdy nie wróci, że serca ludzkie od owych czasów choć cokolwiek złagodniały... Myliłem się...

— Wszyscy byli okropni! Dość powiedzieć, że w wielu wioskach wojska nie miały wody do picia, gdyż studnie pełne były trupów dziewcząt i kobiet, które powskakiwały tam, szukając śmierci... — mówili mi bezstronni świadkowie tej wojny. — Niemcy w dziki, niesłychanie zwierzęcy sposób mordowali bezbronnych ludzi, nawet dzieci, Rosjanie niszczyli co się trafiło pod rękę, Japończycy, Anglicy i Amerykanie — kradli... Ci choć tyle mieli rozumu, że nie popełniali bezużytecznych okrucieństw! W pałacu cesarskim w Pekinie w tak zwanej „letniej rezydencji“ żołnierze nasi po kostkę brodzili w skorupach drogocennych naczyń porcelanowych. Były tam rzadkości, mające po tysiąc lat. Straty naogół dla sztuki i kultury niewynagrodzone, gdyż dawno już niema i tych miast i fabryk, gdzie je wyrabiano!... Chińczycy ze zdumieniem kiwali głowami: niechby je pokradli, ale poco rozbijać!... — opowiadał mi pewien jenerał, który zresztą przywiózł

sam do Europy porządną kolekcję i sprzedał ją za 50.000 rubli do jednego ze znanych muzeów.

— Co taić: wszyscyśmy się tam popisali. Chiny nigdy tego nie zapomną „rudym barbarzyńcom“. I słusznie! — dodał z westchnieniem. Ze smutkiem dowiedziałem się, że w armji mandżurskiej służyło w czasie wojny dużo naszych rodaków i że zachowywali się nie lepiej od innych.

— Niech mi ksiądz dobrodziej powie, czy oni pojmują, że źle robili, czy choć trochę żałują tego? — spytałem raz katolickiego księdza, który przyjechał spowiadać jeden z miejscowych pułków.

— O tak!... Żałują, rozumie się! Ale co z tego? przy nowej okazji zrobią to samo!...

Z największą wszakże zgrozą wspomina miejscowa ludność kozaków kubańskich. Ci podobno mścili się na Chińczykach za rzeź jednego ze swoich oddziałów. Z 200 składających go ludzi, zostało przy życiu zaledwie 30.

— Gdzie przeciągnęli Kubańczycy, tam, niby kto przeprowadził rozpalonym żelazem! — opowiadał oficer, poznany w wagonie. — Ale i Chińczycy nie żartowali z Kubańczykami. Jak którego złapali, to już miał za swoje. Oto, co zdarzyło się w tej sotni, która operowała razem z naszym oddziałem piechoty. Dwuch kozaków ciężko rannych zostało na placu boju. Towarzysze pożegnali się z niemi, jak z umierającemi, ponieważ kto zostawał, ten niechybnie ginął. Zdarzyło się, że musieliśmy wrócić na opuszczone pozycje i przejść przez spaloną poprzednio wioskę. Szukali kozacy w gruzach ukry-

wających się chunchuzów. Wtym widzę: uciekają z przerażeniem z jednej fanzy. „Co się stało?...“ — pytam. — „Źle!...“ — wołają — „Bies!...“ „Co za bies?... Przyprowadźcie go tutaj!...“ Zawróciłem kozaków, wchodzimy do fanzy. Słyszę: jęczy człowiek, śmieje się, modli i wymyśla głosem straszliwym po małorusku. Zadrżałem od niespodzianki. „Kto tam?“ „Hryćko Siedoj!“ — odpowiada. — „Łże!... Hryćko umarł!... łże bies!...“ — krzyczą kozacy. — Niech się pan nie zbliża, dopóki się nie przeżegna! — „Ach, djabły!... Jakże się przeżegnam, jeżeli mam ręce związane!...“ Zaczął kląć tak, że odrazu poznaliśmy kubańczyka. Rzucili się ku niemu towarzysze, odwiązali go, wyprowadzili z fanzy. Płakał Hryćko, płakali kozacy, płakaliśmy wszyscy. Młody chłopak posiwiał w parę dni, jak gołąb. I tak jakoś dziwacznie — jeden wąs biały, a drugi czarny. Chińczycy zadręczyli mu towarzysza w oczach, i trupa przywiązali doń, musiał siedzieć z gnijącym nieboszczykiem na plecach... Brał udział nieraz jeszcze Hryćko w bitwach z Chińczykami, jak wściekły rzucał się na nich, wprost zmysły tracił...“ — dokończył oficer.

— Potracili zmysły nietylko kozacy!... Potracili zmysły, uczucia ludzkie, honor, sprawiedliwość — wszyscy uczestnicy tej nieszczęsnej wojny... I wiecie, panowie, dla czego? Dla tego, że Chińczycy słaby stawiali opór! A najgorsi byli moi rodacy!... — wtrącił kupiec, Niemiec, który cały czas wojny spędził w Chinach i Mandżurji.

Opowiadać o rzeczach widzianych wówczas nie

zechciał, dodał jedynie z odrazą, że od tej pory czuje „pogardę i nienawiść do ludzkości!“

Biedna ludzkość!

Słuchając tych zwierzeń okrutnych chwilami wydawało się istotnie, że współczucie, dobroć, szlachetność, życzliwość — wszystkie ludzkie uczucia, kształcone z wielkim mozołem wiekami kultury, zamarły i znikły nagle, jak blade nietrwałe znaki, starte krwawą gąbką... Z głębi udręczonego serca wyrywał się krzyk mściwy, aby Bóg sprawiedliwy przeszedł nad zbrodniczym światem wszetecznym z palącym swym piorunem. Ale trwało to zaledwie chwilę, a potym znowu wracały litość i współczucie...

Przelatywaliśmy długi most na skutej lodami Sungari; przez okna wagonów widać liczne, świeżo zbudowane lub budujące się gmachy i domy... Wśród nich uwija się mrowie ludzkie. W oddali słychać łoskot pracujących maszyn, syk pary, gwizdawki. To Charbin, miasto kolejowe, węzeł północnej linji Mandżurskiej, południowej i wschodniej. Tu jest prócz tego wielka przystań na Sungari. Dworzec obszerny, ale brudny i brzydki, natłoczony przejezdnemi. Przed dworcem stoi długi szereg dorożek, ale żaden dorożkarz nie chce jechać, gdyż podejrzewa, że pasażer blizko wysiądzie.

— Niech pan ma litość; za 20 kop. stracę kolej, a tyle czasu czekałem. Niech pan weźmie z końca!

Ale i z końca nie chcą jechać. Nareszcie jeden się zgodził. Śpieszę więc do głównego zarządu kolei, aby zmienić bilety.

Miasto bardzo rozrzucone, niezregulowane, nieporządne. Nie ma wodociągów, ale ma... operę, gdzie w tych dniach miano dawać... Tannhäusera. Łatwiej tu o dobrego szampana, niż o dobrą wodę. Drożyzna niesłychana. Kurz, śmiecie, brud, wapno, cegła, budulec zwalone kupami i pomieszane bezładnie. Zanosi się na coś potężnego, czuć rozmach w planie. Punkt wybrany bardzo umiejętnie.

Za Charbinem pola uprawne już ścielą się nieprzerwaną płachtą. Lód jeszcze miejscami błyska w kałużach, ale wieśniacy już krzątają się na roli, czernieje nawóz, rozłożony niewielkiemi kupkami w szachownicę co kroków kilka. Coraz częściej na dolinie zjawiają się nizkie, szare, z błota budowane wioski, a wspaniałe ilmy wznoszą wysoko nad niemi swe cienkie, węzłowate gałązki. Małe kapliczki, często ubrane kwiatami, bieleją wśród pól.

Coraz częściej też dostrzegam cmentarze rodzinne. Jakże odmienne sprawiają wrażenie od niechlujnych, zaniedbanych miejskich cmentarzy! Są to zazwyczaj grupy małych, odarniowanych pagórków, ocienione drzewami, sosną lub świerkiem — żałobnym drzewem Chińczyków. Miłe, czyste, widocznie troskliwie pielęgnowane — wcale nie zajmują tak dużo miejsca, jak o tym krzyczą Europejczycy. Na każdym działku wieśniaczym jest taki maluchny zakątek umarłych. Rozumiem Chińczyków; przyjemnie myśleć o tym, że się będzie spoczywało po ciężko przepracowanym życiu wśród ukochanych pól, w pobliżu ukochanych istot.

Ciche wzgórki nieboszczyków nabierają szczegól-

nego wdzięku wśród tych niw, uprawionych z tak skrzętną zabiegliwością, wśród tych wychuchanych ogrodów, gdzie cal ziemi nie przepada... Mówią one o jakichś wyższych potrzebach, silniejszych nad biedę i wyrachowanie...

Nie należy sądzić Chińczyków z ich miejskich obyczajów i osobników. Miasto chińskie, nawet najstarsze i najbogatsze, ma zawsze, według zdania Chińczyków, charakter targowiska, zajazdu, jarmarku, chwilowego pobytu człowieka. Jedynie na wsi człowiek pracuje dla przyszłości, pewien, że żaden wysiłek jego nie pójdzie na marne. I pojęcie to odbija się w najmniejszym szczególe wiejskiego i miejskiego życia... Weźmy najzwyklejsze przydrożne drzewo. I w mieście Chińczyk drzewa nie zrąbie, gdyż uważa to za przestępstwo, hańbiące człowieka, lecz nie widać na tych drzewach tej pieczołowitości, co na drzewach wiejskich, zawsze w porę podciętych, oczyszczonych i leczonych, gdy są uszkodzone.

To samo przebija się w innych rzeczach, w ładzie i porządku, jakie widzimy w wioskach, szczególnie na oddzielnych fanzach—folwarkach, i nieładzie, nieporządku i brudzie miejskim, jakie spotykamy nawet w zamożnych domach. Wieś jest ogniskiem chińskiego życia, miasto jest tylko do niego dodatkiem. Europejczyk, przyzwyczajony do wręcz odmiennego porządku, często fałszywie sądzi o chińskich zwyczajach.

Okolica staje się znów górzystą. Mijamy Czentu-fu z jego czerwonemi, poszarpanemi skałami. Wiosna w całej pełni. Górą w błękitach lecą klucze

ptaków przelotnych. Na czerwonych, dymiących się w słońcu polach widać pojedyńcze figury niebiesko odzianych wieśniaków; orzą małemi pługami, lub kopią motykami glębę. W kilku miejscach widziałem nawet siewców (26 marca), siejących rzędem ziarno za pomocą dziurawych tykw. Na drogach szeregi wozów i pieszych podróżnych, niosących na nosidłach ciężary i kosze. Jadą lub wracają z miast, których mgliste kontury rysują się w dali za siatką drzew, za szeregami wiosek. Zdradzają je tylko rogate baszty i pagody, oraz smuga jednostajnie ciemnego muru. Poznać też łatwo po tych dachach rogatych świątynie wioskowe. Domy zwykłych wieśniaków mają dachy płaskie. Przed świątyniami stoją szeregi wysokich żerdzi dla chorągwi; wrota świątyń są czerwono malowane z niebieskim i zielonym gzymsem. Pięknie to odbija na szarym tle wioski i roli. Rogate dachy i smok w ornamencie są tak nieodzowną częścią miejscowych budowli, że dostały się nawet do rosyjskich kolejowych domów i stacji. Trochę zabawnie one tam wyglądają, ale cóż robić, skoro Chińczycy nie wypalają innej dachówki?

Pociąg przebiega tuż koło dużego miasta Tielin nad spławną rzeką Czaj-che. Ma 60.000 mieszkańców. W pobliżu znajdują się kopalnie żelaza, które dały miąstu nazwę: Tie-lin—żelazny. Niegdyś dobywano tu srebro. Tielin prowadzi handel zbożem i drzewem. Widziałem niedaleko stacji kolejowej szereg ogromnych, cylindrycznych, plecionych z trzciny składów gaoljanu (rodzaj prosa). Każda taka budowla miała ze 7 sążni wysokości i ze 3 sąż-

nie w przecięciu. Nakryte były stożkowatemi daszkami. Są to bezwarunkowo prototypy naszych elewatorów. Pociąg leci dalej. Mija na drodze resztki rozbitych niedawno wagonów i lokomotywę, leżącą kołami do góry. Słońce stoi wysoko i rzuca cień krótki. Po obu stronach doliny ciągną się góry, szafirowe pod słońcem i liljowe po stronie przeciwnej. Zauważyłem, że brózdy chińskich pól nie zawsze trzymają się prostej linji, czasami zataczają półkola, nawet zygzaki, zależnie od słońca i spadku wody· Chińczycy nawet cień brózdy wyzyskują i sadzą w nim rośliny, nie lubiące słońca. Na dwie stacje pod Mukdenem musieliśmy czekać godzin kilka, gdyż jakiś dygnitarz kolejowy przejeżdżał i jadł obiad w Mukdenie. Wskutek tego zamiast po południu, dostałem się do Mukdenu o zachodzie słońca.

Tłum Chińczyków rzuca się na mój bagaż i ciągnie ku swym wózkom. Są to słynne japońskie „dzinrykisze", w skróceniu „ryksze", które się przyjęły na całym tutejszym pobrzeżu. Jest to lekki, lakierowany wózek na dwuch kołach, z ceratową budką od deszczu, w który wprzęga się człowiek i wiezie. Wolałem jednak zwykły trzęsący wóz, ciągniony przez konia, uprzejmie mi ofiarowany przez towarzysza podróży — doktora.

Znów fatalny kurz i zapach cmentarzy podmiejskich.

Ale gdym wjechał na główną ulicę Mukdenu, byłem nagrodzony za tę małą przykrość. Słońce już zgasło i zacieniona ulica wyglądała, jak ciemne rojowisko. Ponad tym, w górze, w promieniach zorzy

gorzał słoneczny tuman złoconych znaków kupieckich, rozwiewały się czerwone i żółte chorągwie, kołysały barwne latarnie. A poza tym w dali majaczyły mgliste, rogate wieżyce. Oczu oderwać nie mogłem od tego cudownego, oryginalnego obrazu, nie wiedząc, czemu się przyglądać: czy mierzchnącym szybko deseniom światła w górze, smokom i okapom wygiętym, czy świetnym wystawom sklepowym, czy dziwacznym, jaskrawo ubranym postaciom, przesuwającym się w dole. Jechali i szli, konni, piesi, na wózkach i „rykszach“. Ubrani w jedwabne, powłóczyste stroje, wyszyte bogatemi, barwnemi haftami, przewijali się przez tłum szary i niebieski zwykłych przekupniów i robotników, jak barwny szlak gzymsów w ich świątyni przewija się w zmroku zacienionych pował. Dotychczas nie widziałem jeszcze takich procesji znakomitych, bogatych i wytwornie odzianych Chińczyków. Poczułem, że jestem w jednym z ognisk ich cywilizacji... Mylę się: nie było to ognisko, lecz skarbiec, gdyż myśl i serce Chin, rozdrobnione na miljony cząsteczek, spoczywają i pracują po wsiach. Dlatego to można zawojować i zniszczyć miasta chińskie, ale niepodobna zmienić i zniszczyć Chin.

Za wskazówką doktora udałem się do „Hotelu Mukden“, jedynego w mieście. Była to dziura tak obmierzła, brudna i cuchnąca, że czemprędzej się cofnąłem. Przypuszczam, iż żadna chińska oberża nie byłaby mogła przewyższyć niechlujstwem tego pokoju, który mi pokazano. Innego nie było, gdyż pozostałe trzy zajmowali „artyści“. Wychodząc z ho-

telu, usłyszałem rozmowę, która ostatecznie wyjaśniła mi sytuację.

— Ach, to pan! Myślałam, że pan już nie przyjdzie... Mężczyźni są tak zmienni...

Wojska opuszczały miasto. Wywołało to dużo ruchu i zamętu. Pałac cesarski był już opieczętowany i zwrócony Chińczykom. Aby go zwiedzić, musiałem uzyskać specjalne pozwolenie władz wojskowych i dziań-dziunia (gubernatora).

Nim to nastąpiło, włóczyłem się po rozmaitych dzielnicach miasta, zatrzymywałem przed kupami pomarańcz, od których biła żółta łuna jaskrawa, zaglądałem do warsztatów złotników, gdzie na drżących listkach złota i srebra zręczne ręce chińskie naklejały barwne piórka ptasie, jako śliczną emalję; zachodziłem do kuźni, do warsztatów stolarskich, garbarni, farbiarni, tkalni. Wszędzie proste niezmiernie narzędzia, wielka zręczność i wielka pracowitość robotników. Każdy pracuje w domu; większych zakładów mało. Fabryk nie widziałem wcale. Wiem, że są dwie fabryki porcelany, że są gorzelnie i fabryki broni, widziałem nawet w Cycykarze porzuconą mennicę z wysokim kominem... ale wszystko to dotychczas wcale nie wpływa na charakter pracy i przemysłu Chińczyków. Znalazłem to, o czym wiedziałem oddawna z opisów — Chiny, państwo wieśniacze i rękodzielnicze. Zauważyłem jedynie w wystawach sklepowych bardzo dużo wyrobów europejskich oraz zupełny brak dobrych obrazów, rysunków, przedmiotów sztuki chińskiej... Wszystko skradziono albo wykupiono, zabrano i wywieziono do

Europy. Za pozostały brak przekupnie żądają szalonych sum...

Zwiedziłem znakomite świątynie; między innemi słynną świątynię „Sądu ostatecznego“, gdzie liczne figury wyobrażają losy, oczekujące grzeszników na tamtym świecie. Wydało mi się, że słyszę opis tego „sądu“ w jakimś zapadłym polskim kościołku; płaczą baby, wzdychają chłopi... mimo to grzech uparcie gnieździ się w ich sercach!

Kazałem się zaprowadzić do świątyni „Nieba i ziemi“, zwanej tu „Phy-tha-ten-ty-fo“, ale to nie była ta świątynia, której szukałem. „Daj-miao“, chińska świątynia narodowa, gdzie cesarz odprawia nabożeństwo. Była to zwykła, nawpół rozwalona buddyjska świątynia z olbrzymim, strasznym czerwonym „Gniewnym Buddą“ na ołtarzu. Bóg trzymał w objęciu kobietę i był otulony żółtym płaszczem, który zresztą za kilka groszy zgodził się bonza usunąć. Po obu stronach ołtarza na ziemi stały wielkie drewniane i gliniane malowane figury gienjuszów i demonów. Równolegle z ołtarzem na kilkunastu stopniach stało kilkaset wyobrażeń Buddy. Bonza mówił, że jest ich 1000.

Świątynia była niewielka, niegdyś pewnie ładnie utrzymana i odwiedzana, obecnie zaniedbana; murowane ogrodzenie rozwala się, skrzydła boczne z glinianemi figurami rozpadły się. Pozostały jedynie piękne sosny i bardzo piękny pomnik starożytny, gdzie na marmurowej tablicy, niesionej przez wielkiego, kamiennego żółwia, spisana była cała kronika.

Pomnik, według słów przewodnika i miejscowego bonzy, był postawiony za dynastji Min, jak również piękny pomnik ze lwami i banią na wierzchu, stojący obok świątyni. Pomnik ten bardzo mi kształtem przypomniał mongolskie „obo“. Taki sam pomnik widziałem i bliżej pod miastem. Chińczycy zwą je „tatarskiemi“, a świątynię, którą oglądałem, „mongolską“. Leży ona o dwie wiorsty przeszło za miastem, niedaleko drogi, wiodącej do grobowców cesarskich (bliższych).

Znacznie ciekawszą wydała mi się świątynia „Lisa“ u południowo-wschodnich wrót miejskich, w malowniczym, zacisznym zakątku, gdzie z murów zwieszają się stare drzewa, gdzie niema ani kramów, ani przechodniów, tylko roje dzieci bawią się nad brzegami samotnej sadzawki. I w tej świątyni znalazłem to samo, co w cycykarskiej: na podwórku i w portyku u wrót dużo tablic dziękczynnych. W głębi wyłożonego taflami podwórka, w małym budyneczku, stał ołtarz, przed nim naczynia buddyjskie, lichtarze, emblematy buddyjskie (ale nie wszystkie) i wielka czasza miedziana z popiołem, do wtykania zapalonych świeczek z drzewnego rdzenia. Towarzyszący mi oficer chiński, Ciuj-szań-siań, wcale przyzwoity, miły i ogładzony chłopak, który służył mi za tłómacza, ukląkł przedewszystkim w świątyni, trzykrotnie czołem uderzył przed ołtarzem, poczym wrzucił pieniądze do skrzyneczki, wziął pęczek świeczek, zapalił je, znowu czołem uderzył, przyczym bonza uderzył w bęben; potym bonza podał memu oficerowi naczynie z drewnianemi bierkami. Temi bier-

kami oficer potrząsał, potrząsał, aż wypadła jedna na ziemię. Wtedy, według znajdującego się na niej napisu, bonza odszukał odpowiednią stronicę w zeszytach wyroczni, wiszących koło wejścia na prawo.

— Długo będzie! — powiedział z westchnieniem Ciuj-szań-siań.

Poprzedniej nocy okradli biedaka, i teraz oto chciał się dowiedzieć, jak rzeczy znaleźć. Wyrocznia ciemna, jak przystało, obiecywała dać wskazówki dopiero w lecie.

O Lisie (Chu) Ciuj nic mi nie umiał powiedzieć; twierdził, że to nie buddyjski święty.

— Był sobie taki lis, który nikomu nic złego nie zrobił i za to został człowiekiem — objaśnił mię wreszcie.

Zato pomógł mi Ciuj wyszukać obrazy „Pięciu braci lisów“; były to bardzo poważne osoby z chińskiemi twarzami i w chińskich strojach; z „Lisa“ nie zostało śladu. Choć nie: został drobny ślad; szperając po kątach i zaułkach świątyni, znowu znalazłem z boku w ścianie podobiznę nor lisich, pełnych ofiarnego popiołu.

Podobno w świątyni, leżącej w pobliżu Portu-Artura w Ciń-szou-tin, zachowują jako relikwję czerep zwierzęcia. Są to ciekawe zabytki kultu, niegdyś szeroko rozpowszechnionego w tym kącie Wschodu. Jest on w Korei, jest w Japonji, gdzie w każdej prawie szintoiskiej świątyni można znaleźć kapliczkę „Szooiczi-inari (dziń-sia)“ *) z dwoma co najmniej po-

*) Dziń-sia, świątynia.

sążkami lisa (ki-cu-ne). Czasami jest ich tam bardzo dużo na małym drewnianym ołtarzyku w szafeczce, cały tłum „lisków“ rozmaitej wielkości z porcelany, bronzu, złoconej gliny i drzewa.

Nazajutrz zwiedziłem pałac cesarski, a raczej jego ruiny. Kryty polewaną żółtą dachówką suto ozdobiony laką czerwoną, niebieską, zieloną, złocony, rzeźbiony, ze ścianami wyłożonemi śliczną majoliką, musiał on niegdyś stanowić piękny okaz chińskiej architektury. Obecnie wszystko to opadło, pokruszyło się, poblakło; obszerne dziedzińce gęsto porosły zielskiem kolczastym; lwy kamienne potraciły nosy, majolika połupała się, laka poczerniała. Nawet piękna baszta „Feniksa“ wygląda jedynie jak zrudziały szkic ślicznego pawilonu. Wewnątrz pusto: śmieci, opadłe tynki, kurz. Cenne przedmioty: rękopisy, obrazy, odzież, insygnja i regalja, zamknięte w pudła, spoczywają w szafach, niby w sarkofagach. Nikt z nich nie korzysta, nie widzi ich, tleją zwolna, nie słysząc nawet głosów ludzkich, gdyż nikt tu nie chodzi, z wyjątkiem dziań-dziunia, który z obowiązku to czyni raz na rok. Teraz, na chwilę, wydobyły je nazewnątrz ręce zdobywcy, i znów obecnie opisane i ponumerowane, pokładły się na dawne miejsce umierać w spokoju.

Są tu cenne portrety najstarszych protoplastów panującego obecnie domu, są śliczne naczynia z nefrytu, porcelany, bronzu, albumy starych monet, sięgające niepamiętnych czasów... Bibljoteka pełna ciekawych dzieł, wszystko marnieje bez użytku

w starym pałacu, gdzie zaciekają sufity i walą się ściany. Szczury jedynie mają wielkie używanie.

Smętne myśli przychodzą do głowy, gdy się patrzy na tę byłą wielkość. Gdy wyjrzały na mnie z mroku wspaniałe, złocone smoki Nurchaciego, odtworzyłem sobie w myśli czasy, gdy tu roiło się od dygnitarzy w jedwabiach i złotogłowiu, gdy nici polityczne połowy Azji tu się zbiegały, gdy chińscy władcowie Hań-ciunia prosili o pomoc, nie mogąc sami dać sobie rady z domowemi wrogami, gdy bitne wojsko mandżurskie obradowało na placu „Ośmiu Znamion“ przed okrągłym pałacem. W bibljotece, skąd śliczny otwiera się widok na zamglone miasto, władca naradzał się z mędrcami, pytał o wskazówki, kazał szukać w księgach i mapach. W pałacu „Feniksa“ i w niewielkim, głęboko schowanym ogrodzie, pełnym obecnie zeschłych liści i rumowisk, pod cieniem olbrzymich ilm, po ścieżkach ustrojonych kwiatami, błądziły księżniczki, cały harem bladych i wiotkich piękności... Nie przypuszczały pewnie, że z czasem będzie tu chodził barbarzyńca i myślał o nich, a wokoło będzie ruina, pustka, śmierć... i że śmierć zajrzy w samo serce dynastji.

— Nie chcemy jej — mówił mi z gniewem ukształcony, rozumny Chińczyk — ona gubi nas, sprzeciwia się wszelkim zmianom! Ale cóż? Europejczycy ją podtrzymują. Oni chcą nas w ten sposób zgnębić...

— Wszystko mamy, wszystko! Brak nam jedynie... człowieka! — powiedział mi na rozstaniu poczciwy oficer, Ciuj-szań-siań.

To właśnie jest bolesne w tym zgonie, że lepsi

Chińczycy go odczuwają. Jak zwykle w chwilach rozkładu, nastąpił zupełny upadek cnót obywatelskich. Powiadali mi ludzie, dobrze o tych rzeczach poinformowani, że w Chinach niema obecnie nieprzekupnych dygnitarzy, że sam Li-chuń-czań był nieraz przez rozmaite państwa opłacany, że wprowadzenie reform byłoby powitane przez większość ludu radośnie, ale reform tych nie wprowadzają, a natomiast wprowadzają nowe podatki i nadużycia. Lud, obciążony podatkami, uciemiężony, odzierany przez swoich i obcych, burzy się: patryjoci snują rozpaczliwe plany... powstają co chwila nowe spiski, organizują się częściowe powstania. Potężny naród, zapracowany i zajęty po wsiach, burzy się i kołysze kiedy niekiedy, jak ocean, i jak ocean nie jest zdolny wyjść z brzegów, stworzonych przez własną historję. Zerwać ich niepodobna: trzeba je z mozołem i męką przerobić. Gdyby Chińczycy nie byli zmuszeni podlegać zewnętrznym wpływom, przeróbka taka nie przeraziłaby patryjotów; ojczyzna ich tyle już zniosła zmian, przetrwała burz... ale w takich warunkach słabnie wiara w przyszłość, odwaga i ochota do pracy.

Wogóle Chińczycy przedstawili mi się bardzo sympatycznie, i ze stosunków z niemi wyniosłem dla nich współczucie i szacunek. Lud prosty jest wesoły, życzliwy i sprytny; inteligiencja posiada wysokie wyrobienie towarzyskie, z nadzwyczajną łatwością i subtelnością odczuwa ruchy duszy swego gościa, nawet cudzoziemca, i stara się je uszanować.

Po zwiedzeniu pałacu byłem u pewnego giene-

rała i poznałem całą jego miłą rodzinę. Z całą uprzejmością pozwolił mi zwiedzić swój dom, nawet dalsze podwórza i pokoje, gdzie poza przymkniętemi oknami migały cienie młodych kobiet.

Nazajutrz byłem z wizytą u gienerał-gubernatora (dziań-dziunia). Uprzedzono mię, abym nie zdejmował czapki i paltota. Nie dostrzegłem zresztą żadnych śmiesznych ceremonji, przeciwnie, wszystko odbyło się nadzwyczaj prosto, a te drobne, odmienne szczegóły chińskiej etykiety, jak: własnoręczne podanie herbaty, ukłon z zaciskaniem pięści i t. d., wykonane były z takim wdziękiem i zręcznością, że nie powstydziłaby się ich najbardziej dystyngowana europejska dama. Gdym odchodził, siwy i poważny dygnitarz odprowadził mię nietylko do drzwi, lecz nawet do bramy, choć go usilnie prosiłem, by tego nie robił, a uczynił to z taką uprzejmością, że wyglądało to nie na paradę, lecz na istotną chęć pozostania ze mną i pogawędzenia jak najdłużej. Rozmowa, oczywiście, krążyła dokoła... architektury pałacu, jego starożytności etc.

Żal mi uprzejmego gienerała, gdyż słyszałem, że w Pekinie nie są zadowoleni z jego rządów, szczególnie z przeprowadzenia linji kolejowej koło samego Mukdenu, gdzie są groby cesarskie. Mówili mi Chińczycy w Mukdenie, i potwierdzono to gdzieindziej, że po odejściu wojsk z Mukdenu wezwą go do stolicy, co się nigdy dobrze dla dygnitarzy nie kończy...*)

---

*) W marcu roku 1904 po wypowiedzeniu wojny przez Japonję depesze doniosły, że mukdeński dziań-dziuń zmarł śmiercią gwałtowną, prawdopodobnie otruty.

Pozostały mi jeszcze do zwiedzenia cesarskie grobowce, które, po zwróceniu ich Chińczykom, są, równie jak pałac, niedostępne dla Europejczyków. Leżą one o pięć wiorst na zachód od miasta, w ślicznym lesie sosnowym. W bezleśnej nagiej równinie już samo tak duże zbiorowisko ogromnych drzew robi wspaniałe wrażenie. Gdym się znalazł w długiej alei niebotycznych sosen, zielonych, jak malachitowe kolumny, od porastających je glonów, i gdy doleciał mię mistyczny szum ich wysokich koron, mimowoli zacząłem stąpać ostrożniej po wyłożonej płytami drożynie, prowadzącej ku sarkofagom.

Aleja była długa, zupełnie prosta, jak myśl o śmierci, z wązką nitką błękitu wśród konarów w górze. Na końcu jej stała piękna pagoda, a raczej wrota, mające na rogach rzeźbione dziwacznie obeliski, ukryte w klombach drzew. Stąd szło się w głąb, ku właściwemu mauzoleum. Był to obszerny, starannie brukowany dziedziniec, otoczony grubym, wysokim, zębatym murem, z pięknemi na rogach pagodami, ze śliczną bramą wejściową. Mały, wzniesiony na stopniu budyneczek stał wewnątrz przy ścianie przeciwległej. Budyneczek był zamknięty, i klucz miał dziań-dziuń, który tu co rok przyjeżdża się modlić. Była to kapliczka z tabliczkami cesarskich przodków, podobna do wielu innych. Znacznie ciekawszy był mur z tyłu poza nią, stojący przed otworem katakumb i chroniący je od złych wpływów (fęg-szui), podobnie, jak u żywych chronione są w domach wszelkie drzwi i okna. Ozdobiony prześlicznemi rzeźbami smoków i zwierząt, złoco-

nych i majolikowych, wznosi się on wysoko ponad kapliczkę. Smoki wszystkie były na złotych łańcuchach — ostrożność niezbędna, skoro dwa smoki sąsiadują z sobą.

— Inaczej pobiją się i z tego może wyniknąć wiele klęsk i nieszczęść—objaśnił towarzyszący nam wszędzie Chińczyk.

Po zrujnowanych schodach kamiennych weszliśmy na mur i, idąc wkoło, dostaliśmy się na szczyt właściwego grobowca. Sądzę, że jedynie piramidy przewyższają wspaniałością tę górę ziemi, usypaną nad drobnym ciałem śmiertelnika. Murowany z olbrzymich głazów czworobok, wysoki na 10 prawie sążni, 60 długi i tyleż szeroki, wypełniono ziemią. Na tej podstawie wznosi się równie, jak ona, wysoki kurhan, okrągły, pokryty z wierzchu cementem dla ochrony od deszczów. Na nim rośnie kilka krzywych ilm. Był to kawałek północnego mandżurskiego stepu, wzniesiony wolą władcy nad ziemią i oddzielony od świata — miejsce, usposabiające do dumań i wspomnień o kolebce i namiotach praojców.

Poza grobowcem cesarza, w gaju, ciągnie się łańcuch formalnych wzgórz, lasem porosłych. Wszystko to są sztucznie sypane pagórki i osłaniają półkolem grobowiec.

Od grobowca wróciliśmy znowu do wyjścia, które jest jedno, a stąd poszliśmy do słynnej, marmurowej bramy głównej przez niemniej słynną aleję kamiennych zwierząt: słoni, wielbłądów, koni, renów i dzików.

Pierwsza brama prowadziła za mur. Miała śliczny

dach i śliczne ozdoby ze smoków w kształcie medaljonów majolikowych, płaskorzeźbionych, żółtych, zielonych... Od tej bramy po szerokich schodach szło się na dół ku drugiej bramie marmurowej, całej rzeźbionej w delikatną koronkę. Trudno oddać wrażenie lekkości, powietrzności prawie tej doskonałej budowli, która jakby zapraszała, wabiła przechodnia do wejścia po schodach, wiodących poza nią ku górze, gdzie cicho szumią sosny...

Ile razy dostrzegłem później zamyślonych Chińczyków, owo dziwnie smutne, właściwe im spojrzenie, spojrzenie narodu mądrego, który dużo w swym istnieniu przebolał i przedumał, tyle razy wspominałem tę wytworną, lekką bramę, wiodącą ku wieczności, te pokruszone, strzeżone przez lwy schody i czarne, ciche sosny w górze...

PIĄTA WYSTAWA POWSZECHNA W JAPONJI.

Osaka, gdzie urządzono piątą z kolei powszechną wystawę japońską*), jest jednym z najbardziej przemysłowych miast Japonji. Ma doskonałą komunikację wodną i lądową nietylko z różnemi częściami kraju, lecz i z całym światem, gdyż leży nad śródziemnym Japońskim morzem, przy ujściu rzeki Sodagawy, wypływającej ze słynnego górskiego jeziora Biwa. Miasto, zbudowane na wyspach, przecinają liczne kanały z pięknemi, żelaznemi i murowanemi mostami. Ulice dość wązkie, niebrukowane, makadamizowane, jak wszędzie w Japonji. Mimo to, dzięki starannemu utrzymaniu i ciągłemu polewaniu, niema prawie kurzu. Wozów Japończycy używają rzadko, ciężary i ludzi wożą zwykle na ręcznych wózkach, a tam, gdzie dowóz ciężarów jest większy i stały, budują natychmiast kolej. Z gór dowożą ciężary na jucznych koniach i bawołach.

Według spisu ludności z 1898 roku Osaka posiadała 921.000 mieszkańców i dokonywała obrotów handlowych na 500,000.000 jenów**) rocznie. Miasto

---

*) Pierwsza w 1877 r., druga w 1881 r. i trzecia w 1890 r. odbyły się w Tokio, w parku Ueno, czwarta w Kioto, najstarożytniejszym mieście japońskim.

**) Jen — 98 kop.

składa się z parterowych lub jednopiętrowych zwykłych japońskich domów i, choć ściśle zabudowane, zajmuje ogromną przestrzeń. Gdym z murów starożytnej twierdzy O-sziro spojrzał na miasto, przedstawiło mi się ono jako morze szarych dachów z tysiącami powiewających nad niemi barwnych chorągwi i setkami kominów fabrycznych. Patrząc na te kominy, przez których dym z trudnością przebłyskiwał na widnokręgu błękitno-srebrny pas morza, pomyślałem sobie, że Japonja zadała kłam wszelkim teorjom ekonomicznym i w 50 niespełna lat zrobiła skok od feudalizmu i naturalnego gospodarstwa do kapitalizmu z bajeczną łatwością. Ponieważ znałem już nieco ogromnie rozważny i praktyczny charakter Japończyków, więc zdanie, słyszane w Europie, że Japonja robi to wszystko „przez naśladownictwo“, wydało mi się wysoce zabawnym. Z tego też względu byłem bardzo ciekawy wystawy japońskiej.

Aby dostać się z małego drugorzędnego hotelu „Nippon Kitakama“ na wystawę, musiałem przebyć całe prawie miasto. Porównanie tego drugorzędnego hotelu z naszemi pierwszorzędnemi tak dalece wypadałoby na niekorzyść tych ostatnich, że wolę się w nie nie wdawać. Zaznaczę jedynie, że w Japonji wszyscy codzień się kąpią, i dlatego nawet usmoleni i zabrukani przy pracy ludzie nie robią wrażenia brudasów; czystość panuje wszędzie wzorowa; nawet w ubogich zaułkach, gdzie ciasnota i zajęcie bardzo utrudniają ludności schludność, nie widziałem nigdzie tego obrzydliwego europejskiego brudu, który narasta bez przeszkody warstwami w ciągu

całych lat. Tu miotła i woda wciąż są w robocie, nie zaś sakramentalnie raz na dzień. Gdy tylko kobieta, mężczyzna lub dziecko mają chwilkę wolnego czasu, biorą miotłę i przedewszystkim zmiatają śmiecie, jeżeli je zostawili. Japończycy organicznie nie znoszą śmieci. Następnie nie znalazłem dotychczas ani jednego Japończyka lub Japonki, którzyby nie umieli czytać i pisać (a umyślnie ich o to pytałem). Nawet ten ubogi „dzinriksza“ *), który ciężko pracuje na chleb literalnie dzień cały, gdy ma chwilę wolną, wyciąga z ukrycia gazetę lub książkę i czyta.

Lud prosty, nie mówię już o sferach inteligientnych, jest w obejściu nadzwyczaj grzeczny i miły; tłumy zachowują się nadzwyczaj wzorowo. Widziałem je w czasie wielkiego podniecenia, kiedy przejeżdżał mikado. Lud stał cicho w wielkim porządku. Zdawało się, że niema entuzjazmu, lecz tłum ten od dziewiątej zrana do pierwszej stał cierpliwie pod palącym słońcem, aby tylko swego monarchę zobaczyć... Umyślnie obserwowałem stojących; byli to wciąż ci sami: starcy, dzieci, wieśniacy, kobiety z ludu... Gdy siwowłosy, przyjemnej powierzchowności i wielkiej powagi starzec przejeżdżał z uprzejmym uśmiechem, cichy szmer, jak wielkie westchnienie, przeleciał jedynie nad tłumem...

Policja jest grzeczna, usłużna i uważna. Spytany przeze mnie o drogę lub wskazówkę policjant nietylko starał się odpowiadać jak umiał najdokładniej, lecz często przeszedł całą dzielnicę, aby mię nale-

---

*) Dorożkarz, który jednocześnie jest koniem.

życie skierować. Urzędnicy na kolejach, konduktorowie, kontrolerzy, kasjerzy nie udają wielkich panów, uprzejmie odpowiadają na zapytania, dają krótkie, ścisłe, rozumne informacje i, skoro widzą bezradność pasażera, pomagają mu chętnie. Widziałem, jak robili to nietylko dla cudzoziemców, lecz i dla swoich nieraz ubogich podróżnych z trzeciej klasy.

Przechodzień japoński, spytany o coś, nigdy nie odburknie, choćby się bardzo śpieszył: da najgrzeczniejszą, najściślejszą odpowiedź, na jaką go stać, często napisze na kartce adres lub narysuje plan.

Pociągi nie spóźniają się tu, choć ich jest dużo, i ruch na kolejach po prostu zawrotny. Listy nie giną, rzeczy zafrachtowane w całości dochodzą na miejsce. Nikt nie żąda napiwków, a tam, gdzie nie bywają cudzoziemcy, nie znają ich zupełnie. Zwracano mi nieraz przy rachunku naddatki i pytano: co one znaczą?

Zamiast napiwków daje się tu służbie hotelowej przed wyjazdem obyczajem określone „podarunki“, rodzaj wynagrodzenia za usługę. W miastach portowych oraz w miejscowościach odwiedzanych przez turystów już jest inaczej, lecz wszędzie są taksy, i odpowiedzialność za zepsucie obyczajów całkowicie pada na rozmaitych „globtroter'ów“. W takich miejscowościach „dzinriksza“, w skróceniu „ryksza“, stał się już podobnym trochę do naszego dorożkarza, nie klnie jednak i... nie bije batem pasażera, który mało dał, lecz grzecznie dowodzi, że mu się więcej należy. Nie widziałem dotychczas na ulicach bójki, i choć słyszałem sprzeczki, nie słysza-

łem przekleństw i wymyślania. Zato często dostrzec można miły uśmiech, którym Japończyk stara się i siebie i innych wyprowadzić z kłopotu. Zarzucają im, że są przebiegli, chciwi, samolubni... Oni są bardzo rozsądni, oszczędni i wyrachowani... Ale we wszystkim znają miarę, gdyż cecha ta jest jedną z zasadniczych cech nietylko sztuki japońskiej, lecz i ich życia. Pojęcie o prawach człowieka i sprawiedliwości stoi tu (ile zdołałem zauważyć) o wiele wyżej, niż w Europie. Co zaś do zarzutu samolubstwa, to powiem, że widziałem ofiarne jednostki, lecz nie widziałem ofiarnych ludów. Oby zjawiły się ludy choć... sprawiedliwe!

Wracam do wystawy w Osace.

Wziąłem hotelowego „rykszę“ i za 25 senów (kop.) pojechałem na drugi koniec o pół mili prawie. Dzień był słoneczny i długa, wązka ulica, przez którą jechałem, czarowny przedstawiała widok: tysiące barwnych latarni i chorągwi, przeważnie czerwonych, trzepotało się niewysoko nad nią, zwisając z dachów i balkonów.

Pod tym świetlanym, tęczowym sklepieniem snuł się tłum ludzi, pędziły lekkie „ryksze“, migały wielkie, jasne parasole, jaskrawe sukienki dzieci i dziewcząt, wesołe, uśmiechnięte twarze, ciekawie spoglądające na przejezdnych cudzoziemców. Wystawy sklepowe — otwarte, podobne do naszych kramów— świetne sprawiają wrażenie, gdyż wystawione są w nich wszystkie towary; wszystko to w kolorach jaskrawych, słonecznych, w malowniczych stosach odrzuca barwne odblaski na słoneczną, śmiejącą się,

ogromnie kolorową ulicę. Niebo, dzięki nizkości dachów, sklepia się w górze swobodną, obszerną kopułą; nie ma się wrażenia, jakoby się kończyło tuż za krawędzią posępnej kamienicy.

W miarę, jak zbliżamy się do wystawy, tłum wzrasta. Plac przed wystawą czerni się od ludzi. Na placu tym, od strony stacji kolejowej, stoi wielka brama tryumfalna, odziana z wierzchu, jak suknem, jodłowemi gałązkami; na tym tle zielonym pysznie odbija żółty deseń japoński i cyfry mikada. Tłum wciąż przepływa przez kołowrotki, gdzie kontrolerzy odbierają bilety. Policja stoi gdzieniegdzie, prawie niedostrzegalna, ale porządek mimo to wzorowy: nikt się nie śpieszy, nie szturcha, nie tłoczy, i ta atmosfera spokoju i pewności przyjemnie działa na przybysza, nie znającego języka i zwyczajów. Wmieszałem się w ten tłum i poszedłem z nim.

Wystawa nieduża, ale bardzo miła. Podłużny plac, ozdobiony pośrodku trawnikiem i kwiatami. Z białego pawilonu, oświetlonego wieczorem elektrycznością, lały się wodospady. W dali, na górze, wśród klombów zieleni bielał Pałac sztuki, a przed nim olbrzymia postać Kwannon — bogini miłosierdzia z dziećmi, bawiącemi się u jej stóp. Był to piękny wodotrysk, szczególnie efektownie wyglądający w nocy przy świetle elektrycznym.

Wszystkie budynki wystawowe białe, z gęsto powiewającemi nad niemi białemi japońskiemi chorągwiami z czerwonym „wschodzącym słońcem". W pierwszym gmachu na prawo od wejścia mieścił

się dział rolnictwa, leśnictwa i rybołówstwa, po drugiej stronie naprzeciw pałac przemysłu.

Udałem się tam przedewszystkim. Chciałem sprawdzić to, co mi mówiły o przemyśle japońskim nieprzychylne usta. Nie będę opisywał poszczególnych działów; byłoby to długo, i nudnie, i nadaremno. Powiem jedynie, że najświetniej przedstawiał się dział tkanin. Tkaniny były wogóle piękne, nadzwyczaj tanie, a jedwabie niektóre wprost zadziwiającej piękności. Nie jestem kobietą, a jednak czułem, że mógłbym się zrujnować na te śliczne, wzorzyste, zda się z powietrza i barwy utkane zasłony. Jedwabie japońskie pod względem koloru, rysunku i taniości stanowczo na całym świecie stoją poza konkurencją. Powiadają, że chińskie są lepsze i trwalsze. Być może, ale nie widziałem jeszcze chińskich tak ładnych.

Drugi bardzo poważny dział wystawy był garncarski: porcelany, fajansu, zwykłych glinianych wyrobów, majoliki i nareszcie pysznych „cloisonné“, które już należą do emalji. Już to jednej rzeczy długo starczy japończykom na wywóz, mianowicie artystycznego smaku. Słusznie zwą Japonję „Włochami i Grecją Wschodu“. Mam nadzieję, że Japończycy będą umieli ten skarb swój ustrzec od zepsucia, choć widziałem na wystawie rzeczy o barwach i kształtach już skażonych, trącących tandetą europejską. Zdaje się, że ma ona popyt właśnie wśród Japończyków.

Oglądałem pilnie słynne laki japońskie, których dużo było na wystawie, lecz wyznaję, że piękności

ich nie odczuwam, na trwałości się nie znam — sądzić więc o nich nie mogę.

Najsłabiej reprezentowane jest górnictwo. Wprawdzie dość dużo było okazów kamiennego węgla, koksu, ciosowych kamieni, granitów, marmurów, lecz znać było, że metalów, a więc podstawy współczesnego przemysłu, Japonja ma mało. Żelaza posiada, zdaje się, jedną tylko kopalnię; ruda jest w dobrym gatunku i daje dobry materjał, ale go jest mało.

Dział chemiczny przedstawiał się już o wiele lepiej, i przypuszczam, że Japończycy przy swym sprycie, dokładności i zręczności mogą go utrzymać na wysokim poziomie.

Bardzo ładne były i w dobrym gatunku wyroby papierowe i skórzane, które zadziwiają swą taniością. W tych działach często można zobaczyć rzeczy, należące pięknością formy, barwy i delikatnością wykonania do przedmiotów sztuki. Sławne są wyroby z ciśnionej skóry.

Z działu przemysłu poszedłem do działu szkolnictwa, który stoi tuż obok. Dział jest wybornie ułożony i bardzo bogaty. Dziwił mnie ogromny tłok, jaki tu panował. Przypomniałem sobie, jakiemi pustkami świeci ten dział zwykle na innych wystawach i jak bywa po macoszemu traktowany. Wszędzie na ścianach mapy, tablice, djagramy, na ważniejszych — angielskie napisy. Właściwie cała wystawa miała wychowawczy, domowy charakter. Wszędzie objaśnienia, wszystko ułożone w kolekcje logiczne i mniej więcej zakończone. Krajowcy nie

omieszkali z tego korzystać: wszędzie widziałem dużo osób, szczególnie młodzieńców, skrzętnie zapisujących spostrzeżenia w notesach.

Dział rolnictwa, leśnictwa i rybołówstwa przedstawiał się wspaniale. Ułożony był wprawdzie gieograficznie — wszystkie produkta danej miejscowości razem — co specjalistom utrudnia bardzo porównanie, ale dla publiczności miało o wiele więcej znaczenia. Tłumno też było w tym gmachu; przeważali ludzie prości, kobiety z dziećmi na plecach, wyrostki, uczniowie szkół. Ile tu gatunków zboża! Jaka moc odmian grochów! Jaki piękny ryż—słuszna chluba Japonji, gdyż jest najlepszym na świecie... W dziale rybołówstwa — modele statków, nici, sieci, wędki, konserwy z ryb. Japończycy mało używają mięsa; stąd płynie drożyzna ryb i ciągły ich brak, pomimo obfitości połowu na morzu i rzekach.

Bardzo szczegółowo było przedstawione jedwabnictwo. Wszędzie tablice statystyczne oraz zielniki roślin pożytecznych, roślin szkodliwych, okazy szkodliwych owadów, mikro-organizmów, ptasich i czworonogich szkodników, krótki opis ich życia i sposobów walki z niemi.

Dział machin najmniej imponująco wyglądał. Dział zwierząt domowych, których w Japonji wogóle mało, jeszcze słabiej.

Na wypoczynek poszedłem obejrzeć „Pałac Sztuki“. Nie silę się na oddanie mych artystycznych wrażeń. Widziałem tam płaskie hafty, wyszyte kolorowym jedwabiem tak pięknie, iż myślałem, że ceny

po prostu nie mają. Tymczasem najdroższe, jakie pamiętam, kosztowały 5.000 jenów. Pyszna była głowa lwa, gdzie układ nitek naśladował doskonale układ włosów i grzywy.

Japończycy, wyborni akwareliści, subtelni znawcy linji i koloru, tracą te przymioty z chwilą, gdy biorą do ręki paletę i farby olejne. Te ich olejne obrazy, które widziałem na wystawie, to szereg brudnych, nieudolnych płócien, jakich powstydziłby się każdy uczeń ze szkoły malarskiej. Jakże rażąco odbijają one od takich obrazów, jak widok Fudżijama, wystawiony na schodach, lub choćby od drobiazgu, ocenionego na 50 jenów, a przedstawiającego dziewczynę, patrzącą w zamyśleniu na pająka. A ile tam wśród tych akwarel i haftów ślicznych ryb, zwierząt, kwiatów, wdzięcznych „muś-me“, zabawnych dzieci! jacy rycerze na koniach! jacy natchnieni starcy! jakie krajobrazy! Na co ludziom, którzy umieją tworzyć takie rzeczy i wydobywać wodnemi farbami tak silne efekty, babrać się w oleju i terpentynie?

Kilkakrotnie zwiedzałem Pałac Sztuki i zawsze opuszczałem go ostatni; posługacz, który salę obchodził, już mię znał i, potrząsając swym dzwonkiem, uśmiechał się życzliwie, jak gdyby przepraszając, że nie pozwala mi się dłużej cieszyć arcydziełami swoich rodaków.

Po pięciu dniach musiałem opuścić Osakę i wystawę. Zbyt krótko byłem, abym mógł wypowiedzieć o niej jakiś sąd poważniejszy. Wyniosłem z mego pobytu wrażenie, że Japonja posiada ogromny rynek wewnętrzny, który, słusznie bardzo, jest

głównym przedmiotem troskliwości rządu i społeczeństwa. Wszystko tu rozumnie jest skierowane ku potrzebom, wygodzie, zdrowiu i oświeceniu szerokich mas ludowych. Nie są one dodatkiem i podnóżkiem dla innych sfer, lecz są celem ich istnienia i ich pracy. Japonja dąży rozsądnie do zadowolenia własnemi siłami wszystkich swych potrzeb, stara się więc wszystkie przedmioty, dostarczane jej przez Europę, wyrabiać na miejscu, co z mniej lub więcej dobrym skutkiem dotychczas się jej udaje. Stąd szybki rozwój jej przemysłu. Ale Japonja ma mało metalów, brak jej żelaza i nafty. Dlatego to sfery rządzące dążą do zabrania Korei; stąd płynie, zupełnie zresztą nieuprawniony, strach bankructwa i usiłowania zwiększenia za jakąbądź cenę wywozu. Dotychczas import przewyższa eksport*). Według mnie, jest to oznaką zamożności i zwiększającego się bogactwa ludu, lecz fachowi finansiści inaczej o tym myślą.

Przykre robi wrażenie w Japonji wojowniczość gwałtem wszczepiana ludowi z natury już wojowniczemu. Dzieci w szkołach mustrują się i maszerują, śpiewając hymny wojenne. To wpłynie bezwarunkowo ujemnie na charakter narodowy, lecz Japończycy są pod tym względem tylko pilnemi uczniami Europy.

---

*) Import w 1896 r. 180,035,189, w 1897 r, 261,390.156, w 1898 r. 324,760,910, w 1899 r. 229,058.767, w 1900 roku 313,358.225 jenów.

Eksport w 1896 roku 118,052.631, w 1897 roku 163,574.496, w 1898 r. 166,198.521, w 1899 r. 218,381.970, w 1900 roku 209,562.900 jenów.

Patrząc na małych bębnów, maszerujących z karabinami na ramionach, żal mi było tych duszyczek wesołych, dobrych, łagodnych, zaprawianych do mordów, lecz jednocześnie pomyślałem, że rośnie z nich potęga...

Przy wielkim uświadomieniu, patryjotyzmie i bitności Japończyków, walka z niemi nie byłaby łatwa nawet dla najpotężniejszego mocarstwa. Stanęliby wszyscy, jak jeden mąż...

JAPOŃSKI DRONTHEIM.

Hakodate należy do najpiękniejszych miast, jakie znam. Poważna, spokojna piękność jego lustrzanej zatoki przewyższa nawet uroki czarownej zatoki Nagasakskiej.

Miasto piętrzy się na północnym stoku starego wulkanu „Ha-gin-dzan“ (Spoczywający Byk), który wznosi się wprost z fal morza. Górę od stóp do szczytu porastają gęsto zielone krzewy i gaje leśne, tak, że zdala wydaje się jednolitym kawałem malachitu. Wązki, niziuchny przesmyk łączy ją z górzystym lądem Jesso. Z obu stron przesmyku dwie błękitne zatoki siostrzane to szumią falami, to drzemią spokojnie w promieniach słońca. Lecz jedynie zachodnia przedstawia wygodną i bezpieczną przystań; wschodnia jest płytka i źle osłonięta od wiatrów. Miasto obrzeża półkole zachodniej zatoki, wspina się pod sam szczyt „Spoczywającego Byka“, zajmuje cały przesmyk i przenosi się nawet na ląd, na pochyłości blado-zielonych wzgórz, z poza których daleko na północnym zachodzie wygląda ostry, różowy stożek wulkanu Komaga-daki i ciemne upłazy jego zwietrzałego krateru.

Miasto Hakodate ma zaledwie lat pięćdziesiąt. Przedtym istniała tu mała wieś rybacza. Obecnie liczy ono 100.000 mieszkańców, posiada rządowe

gimnazjum męskie i żeńskie, szkołę handlową, szkołę morską oraz sześć ośmioklasowych szkół miejskich, cztery szkoły prywatne i dwie misyjne. Z Hakodate budują obecnie kolej żelazną do portu Otaru na północy. Będzie ona dalszym ciągiem głównej kolejowej magistrali, przebiegającej przez Tokio - Sendaj-Aomori i łączącej południe z północą japońskiego archipelagu. Ta kolej ogromnie podniesie handlowe znaczenie Hakodate, gdzie powstały już wielkie doki i warsztaty okrętowe. W okolicach miasta trafiono na pokłady kamiennego węgla. W mieście ma siedlisko rząd gubernjalny, zarząd morski, konsulaty rosyjski i angielski, sąd okręgowy i apelacyjny... Wogóle Hakodate już obecnie przedstawia znaczne handlowe i administracyjne ognisko, które wciąż rośnie, upiększa się i zagospodarowuje. Ma doskonałe telegrafy, telefony, oświetlenie elektryczne, elektryczne tramwaje i wyborne wodociągi.

W młodości swojej przeżyło historyczny dramat i zarobiło na bohaterską legiendę.

Kiedy w 1868 roku zostały pobite na południu Japonji wojska ostatniego Szioguna Jokugawy, jego stronnik, młody, tylko co przybyły z Ameryki, gdzie się kształcił, admirał Ino-moto dajmios Matsu, uciekł wraz z całą flotą na wyspę Jesso, zajął ojczyste miasta Hakodate i Fukujama (Matsumaj) i ogłosił na wyspie oraz przyległym jej archipelagu niezależną rzeczpospolitą. Ale wojska Mikada pod wodzą hrabiego Kiroda wylądowały od strony morza na strome, uważane za nieprzystępne wiszary „Spoczywającego Byka“, wciągnęły armaty na szczyt góry, gdzie obec-

nie kryje się strażnicza forteca, i stamtąd rozgromiły nadbrzeżne fortyfikacje Hakodate. Ino-moto zamknął się w zamku Sziro (Goryo-kaku), leżącym na północo-wschodzie od miasta. Przegrawszy walną bitwę pod Ki-kio-no, już zamierzał z 80 najznakomitszemi stronnikami wykonać „harakiri", gdy przybiegł wysłaniec Mikada i ofiarował mu całkowite, pełne względności i dostojności przebaczenie. Z czasem książę Ino-moto oraz niektórzy z jego ówczesnych współtowarzyszy osiągnęli wysokie godności w rządzie Mikada. Sam Ino-moto został mianowany posłem w Petersburgu i skończył swą karjerę służbową w randze pełnego admirała; jego najbliższy doradca O-toki-san był w czasie wojny japońsko-chińskiej ambasadorem w Korei i wszedł do składu Rady Państwa...

W taki sposób zwyciężył Mikado swych ostatnich przeciwników!

Ale polityczna rola Hakodate bynajmniej nie została skończona, zmienił się jedynie jej charakter, cel oraz środki. Główną jej dźwignią stała się... ryba.

Wiadomo, że międzynarodowe uczucia ludów lęgną się i gnieżdżą obecnie w... domach handlowych, że głównemi okrętami wojennemi są nie te, obciążone działami i torpedami, lecz te, rozwożące perkale, pszenicę, ryż, jedwab, herbatę, opjum, bawełnę... i t. d. — Hakodate jest główną giełdą i głównym składem japońskiego rybołówstwa. Nie zapominajmy, że ryby zajmują drugie po ryżu miejsce w kuchni ludu japońskiego. Dzień w dzień ty-

siące statków krążą dokoła brzegów Japonji, szukając tego pokarmu. Wśród nich można spotkać najrozmaitsze, poczynając od małych czółenek, na których pojedyńczy rybak za pomocą wędki kościanej albo bambusowego dzirytu dobywa z głębi co się zdarzy, i kończąc na parowcach, zaopatrzonych w najnowsze wynalazki, sieci, niewody i drągi...

Tak było z dawien dawna, od czasów władcy Dżima, który przywiódł lud swój na północ, na łodziach z wysp Kiu-siu.

Rozumie się, że te nieustanne w ciągu wielu wieków połowy wyczerpały bogactwa rybne przedewszystkim u brzegów południowej Japonji. W miarę posuwania się kolonizacji japońskiej na północ uciekali przed nią nietylko ainosi, lecz również nielitościwie ścigane — ryby.

Według zdania hakodackiego rosyjskiego konsula M. M. Hedenstroma, znającego wybornie te stosunki, w wodach Japonji brak obecnie zupełnie większych odmian, szczególnie łososiowych. Do niedawna łowiono je u brzegów Jesso, lecz niedawno znikły. Zostały śledzie i sardynki. Są wszakże oznaki, wskazujące, że połów ich również dobiegł swego kresu.

Dla zdobycia 1,000.000 koku*) w tym roku pracowało 120.000 rybaków, gdy dziesięć lat temu tę samą ilość poławiało z łatwością 40.000 rybaków. Miljon „koku“ jest ilością przeciętną, dokoła której waha się od roku 1886 połów śledzi w Hokkaido

*) Koku = 380 funtom.

(Jesso). W ciągu ostatnich 17 lat zaledwie cztery razy osiągnięto wyższą liczbę. Najobfitszy połów miał miejsce w 1897 roku i wynosił 1,254.000 koku.

Zapotrzebowanie na ryby wciąż wzrasta nietylko wskutek naturalnego przyrostu ludności, ale również dzięki wprowadzeniu niedawno kompostu rybiego do uprawy ryżu i zasilania drzew morwowych. Popyt na kompost szalenie się zwiększa. Zdaje się, że ten kompost niezbędny jest do otrzymania tych doskonałych odmian ryżu, z jakich słynie Japonja. Prócz tego zwiększa on znacznie wydajność roślin nietylko dlatego, że wypędza większą ilość kłosów, lecz dlatego, że jednocześnie czyni kłos mocniejszym, niełatwo osypującym się, a słomę oporniejszą na wiatr i suszę.

Rzecz prosta, że gdy Japończykom zabrakło drogocennego produktu w domu, poczęli go szukać uporczywie za granicami państwa, skierowali się na północ na Sachalin i Kamczatkę. Odwiedzali oni te kraje z dawien dawna. Istnieją wskazówki, że prowadzili handel z Kamczatką i bywali w niej na wiele wieków wcześniej przed pojawieniem się tam kozaków, a południowy Sachalin został nawet wcielony do ich posiadłości, jako prowincja Kraftu, i ustąpiony Rosji stosunkowo niedawno w zamian za wyspy Kurylskie.

Ale połowy ryb kamczackich i sachalińskich stały się wprost niezbędne dla Japończyków dopiero w czasach ostatnich. Kraje te są z roku na rok odwiedzane coraz liczniej przez rybaków japońskich, i liczba ich będzie gwałtownie wzrastała.

Obroty handlowe miasta Hakodate ściśle zależą od tych połowów, gdyż tutaj organizują się wszystkie wyprawy rybacze, udające się na wody rosyjskie, tutaj robią zakupy przyrządów, sieci, łodzi, lin, tu najmują robotników i majtków. W tutejszym również konsulacie muszą one uzyskać na to pozwolenie.

W jesieni do Hakodate przywożą swój plon rybaczy.

Obroty handlowe miasta wskutek tego szybko wzrastają. W 1897 roku wynosiły 1,688.000 jen, a w 1901 r. dosięgły już 4,751.000 jen *) Cały przywóz rosyjski, który, odliczywszy naftę za 250.000 jen, dostarcza do Japonji wyłącznie suszonej i solonej ryby, dochodził w 1900 roku 2,575.000 jen, a w 1901 roku — 1,905.000 i równał się 0·9 dowozu wszelkich towarów do Hakodate **).

Jest więc Hakodate ogniskiem handlu rosyjsko-japońskiego, a przedmiotem jego są ryby; ryby zaś odgrywają, jak to już wykazaliśmy, pierwszorzędną rolę w ekonomicznym budżecie Japonji.

Ryby przedniejszych gatunków, łososiowate i inne, nie poławiają się już wcale u brzegów Japonji, pod-

---

*) Jena = 98 kop.

Cabinet Imperiale. Bureau de la statistique général. Resumé statistique de l' Empire du Japon. 17 année. Tokio. 36 année de Meiji. 1903 a. pag. 43.

**) Comparative Table of exports and imports port of Hakodate to November 1900—1901.

W 1901 roku dowóz zmniejszył się, mianowicie wynosił 2,324.000 jen., a w 1900 — 2,985.000 jen.

czas gdy zapotrzebowanie na nie wciąż wzrasta i dosięga obecnie 1.500.000 jen rocznie, licząc po cenach hakodackich — 1 jen za 25 kilogramów. Zapotrzebowanie na kompost rybi również rośnie i róść będzie, a wątpliwa rzecz, aby się rychło zwiększył odpowiednio połów ryb na wodach japońskich.

Stąd to płynie, że dla Japonji możność połowu ryb w zatokach Sachalinu, Kamczatki, oraz u wybrzeży korejskich i syberyjskich, jest kwestją pierwszorzędnej wagi. Zatamowanie im tam dostępu może wywołać nieobliczalne, groźne w następstwach zatargi. Tymbardziej, że prawidłowego gospodarstwa rybnego Japonja nie może zaprowadzić bez zakazu połowu ryb u swych brzegów w ciągu co najmniej lat dziesięciu. Z drugiej strony poczynająca się kolonizacja rosyjska w tych miejscowościach również mogłaby czerpać zasoby z tego źródła, o ile wiem, najbogatszego na świecie, dostarczając produkty na rynek japoński.

Chodzi o to, aby tę kwestję rozwiązać w duchu sprawiedliwości i pokojowego sąsiedzkiego pożycia.

Polityczne promienie, przepływające z Tokio do Petersburga, przełamują się bezwarunkowo w Hakodate...

Hakodate, 23 maja 1903 r.

DWIE WYCIECZKI.

I. VOLCANO BAY.

Z Hakodate, jednego z południowych portów wyspy Jesso, do Muororanu, drugiego południowego portu tejże wyspy, parostatek pocztowy odchodzi co wieczór o godzinie dziesiątej. Większe statki zatrzymują się dość daleko od brzegu, skąd widok na miasto prześliczny. Rój świateł miejskich, rozsypanych na stromych zboczach górzystego przylądka, wygląda w ciemnościach, jak stado świetlaków, zapadłych w gęstwinę spiętrzonego lasu. Co chwila od tego roju oddzielają się drobne ogniki i lecą nad słabo połyskującym morzem wśród ciemnych plam śpiących na kotwicach okrętów. Skoro ogniki te wpadną w smugi rzadkich, sączących się z parostatków świateł, widać, że to są latarki sampanów, wiozących ludzi i towary. Umieszczona u rudla latarka ma zielone szkła od strony wody a malinowe od wnętrza łodzi i mieni się przy zwrotach, jak dwuskrzydły motyl. W słabym jej blasku majaczą splątane, bronzowe członki pracujących wioślarzy, migają rękojeści wioseł, bieleją rąbki rozpiętych nad niemi żagli, czerniejących na mrocznym tle nieba,

niby ogromne nietoperze skrzydła, wzniesione i ostre.

Oto jeden z sampanów przybił do naszego parowca. Płachta napiętego żagla obwisła, w dole i w górze zagadali ludzie,zazgrzytały bloki, dźwiękły łańcuchy, zagwizdały sygnałowe świstawki. Wielkie, kwadratowe paki, schwytane szponami parowych dźwigni, bujają u boków okrętu w słabym świetle ogni, bijących z szeregu okrągłych okien kajucianych. Po schodkach tymczasem wstępuje na pokład osobliwa procesja ciemnych postaci. Każda niesie węzełek, parasol i ogromne białe jaje papierowej latarni, rozświetlonej wewnątrz mdłym światełkiem świecy. Na pokładzie latarnie zostają złożone, gasną, a pasażerowie, zrzuciwszy klekocące, drewniane sandały, nikną cicho w jasnych lukach statku.

Jęknął wreszcie dzwon okrętowy, wydzwaniając dziesiątą, zapiszczała rozkazująco na mostku kapitana piszczałka, z pod pokładu na dziobie wyskoczyli majtkowie, zabłysły światła sygnałowych latarni, poderwanych na szczyt masztu z szybkością rakiety. Zasapały głośniej machiny, zawarczał lewar kotwiczny, statek drgnął, i ciemna kita gęstego dymu powiała nad grubym jego kominem. Z sykiem przewinęła się u jego spodu, odjeżdżając, łódź pasażerska. Podniesiono schodki. Z górnego mostku padają coraz częstsze rozkazy. Syrena ryczy ochryple, warkocze lewar, ciągnąc kotwicę. Parowiec zaczyna drgać miarowo i sunie.

Na wschodzie, nad chmurą, ku której płyniemy, stoi sierp młodego miesiąca. Chmura spełzła nad

samo morze i miesza się z falami, z brzegami, z czarną Hakodacką górą. Płyniemy w głęboką ciemność. Parowiec drży coraz silniej, pochyla się, zataczamy półkole. Wlokąca się za nami smuga czarnego dymu w łuk się wygina na niebie, a pod nią wygina się w łuk na morzu biała, fosforyzująca brózda naszej drogi.

Oczu nie mogłem oderwać od splotów tej dziwnej piany. Nie jest to mętna piana mórz północnych. Ta piana żyje! W każdej jej kropli płonie błękitna iskierka, mieni się, gaśnie, znów błyska, niby blaszka świetlanego szronu, miotana wichrem w złotej smudze słońca. Potym światełko zapada gdzieś w głąb i niknie błękitne, wciąż świecąc w przepaścistych, szafirowych odmętach. Tam, wśród zdziwionych ryb i porostów pada wciąż z pod dna naszego parowca cały deszcz takich gwiezdnych skier, sunie nad niemi świetlna chmura i oświetla je przelotną błyskawicą.

Nic więcej nie widać. Śliczne okolice Hakodate pokryte nocą. Migają jedynie na morzu czerwone, żółte i zielone ognie majaków. Miejskie światła szybko gasną, wysoka, zlana z chmurą góra zakrywa je i pożera; zostało ich zaledwie kilka. Nareszcie i te znikły za wyolbrzymiałą do pół nieba skałą. Jedynie skrzą się w niezgłębionym mroku rzadkie ogniki znaków, stróżujących jej niebezpiecznych, ostrych, podwodnych odnoży. Minęliśmy morską latarnię na przylądku Tobec, mrużącą i otwierającą swe żółte oczy z nużącą jednostajnością. Jesteśmy w gardzieli zatoki. Księżyc znalazł gdzieś otwór w obłokach i rzucił plamę srebrnej, drżącej łuski na dalekie wody.

Wiatr gwałtowny powiał nam w twarz. Ogromny parowiec zaczyna się mocno kołysać. Fale z szumem uderzają o jego boki. Wciąż nawracamy na lewo, omijając Hakodacką skałę. Mdłe światło miesiąca zgasło. Nic nie widać. W grubych ciemnościach czuć powiew czegoś potężnego i ruch pełen majestatycznej nocy. Słaba to ledwie pieszczota, a jednak statek po potoczystych falach zlatuje, jak łupina, i gwiżdżą w wietrze liny okrętowe.

Z dzioba okrętu długo wpatrywałem się w wirujące przed nami ciemności. Jużem chciał odejść, wtym zaciekawił mię błysk nagły i dziwny. Tak błyska uchodząca burza. Ale to nie mogła być burza, gdyż błysk słał się zbyt nizko! Więc to może wulkan Osozeran za cieśniną otwiera swą paszczę? Albo reflektor wojennego okrętu łypie, szukając przemytników? Nie, i to nie. Daremnie siliłem się odgadnąć przyczynę zapalających się dość miarowo to tu, to tam połysków. Majtek Japończyk stał nieruchomo na warudze, nie odzywając się, jakby mnie nie widział i nie słyszał... Nie miałem kogo zapytać. Pokład był pusty, wszyscy już spali. Zagadka nęciła mię i trzymała na uwięzi, aż jedna z przewleklejszych błyskawic ukazała mi daleko, daleko, potężne, gnące się w falach roztocze... Zrozumiałem, że to fosforyzuje kołysząca się pierś oceanu. Byliśmy w obliczu Pacyfiku.

Niepodobna prawie uwierzyć, że po tak ciemnej nocy może nastąpić tak jasny i błękitny dzień. Sta-

tek zatrzymał się w porcie. Dokoła błyszczała gładka, jak lustro, zatoka. Wokoło zielone góry i skały brunatne. Tuż przed nami, na opoczystym zboczu wyciągnęło się w kilka rzędów miasto Muororan, płowe, jak codzienny „kirimon“ japoński, z wesołemi tu i owdzie plamkami barwnych ogrodów kwiatowych, znaków handlowych i jaskrawych chorągwi. Na wschodzie, tuż nad morzem, po wązkim gzymsie góry, toczył się kłąb białego dymu: to leciał pociąg w głąb wyspy do Sapporo. Wkrótce przybyła z brzegu łódź zabrała nas na przystań.

Było jeszcze bardzo rano i nie znalazłem na pomoście ani tragarzy, ani „dzinrikszi“. Jakiś chłopak wziął na barki moją walizę i obiecał poprowadzić mię do hotelu „Maru-iczi“, gdzie miałem się spotkać z misterem B. Skorzystał jednak filut z mej nieświadomości i zaprowadził do własnego hotelu. Napis japoński nic mi nie objaśnił, na pytania odpowiadano mi stanowczo, że tu Maru-iczi. O pomyłce dowiedziałem się o wiele później. Zresztą i w tym hotelu było mi niezgorzej. Dano mi śliczny, czyściutki pokoik z widokiem na morze, z pięknym rysunkiem rozigranych ryb i olbrzymim napisem jakiejś filozoficznej sentencji w rzeźbionej ramie. Mebli żadnych, zato pośrodku duża mosiężna fajerka, kunsztownie cyzelowana, którą natychmiast ładna, czysto ubrana „muśme“ napełniła gorącemi węglami. Druga „muśme“ weszła z tacą słodkiego ciasta, uklękła, uderzyła przedemną czołem i zaczęła ustawiać na pięknych, bronzowych spodeczkach wytworne, herbaciane filiżaneczki. Trzecia „muśme“ przyniosła mi

dwa hotelowe „kirimony“, jeden letni jedwabny, drugi również jedwabny, ale watowany. Czwarta „muśme...“ Nie wiem, co zrobiła czwarta „muśme“! Zdaje się, że rozsunęła szeroko papierowe ściany i wpuściła do pokoiku moc powietrza i słońca. Rozumie się, że byłem bez butów, ale to nic, gdyż jużem się był przyzwyczaił do tego, iż mi je zdzierano przy wejściu do każdego porządnego domu. Istotnie niema sensu chodzić w butach po podłogach lakierowanych, jak nasze biurka, lub po czyściuchnych, ryżowych matach, miękkich jak kobierzec. Gorzej mi dokuczał brak krzesła. Klękałem, siadałem po turecku, po tatarsku, wreszcie kładłem się po rzymsku koło mego śniadania. Nie pomagała ani historja, ani etnografja; poczucie krzywdy nie opuszczało mię. Wtedy wyjąłem słownik angielsko-japoński, i zaczęła się rozmowa. Zbiegły się wszystkie hotelowe „muśme“, zeszli się wszyscy słudzy i długo obradowali nad tym, czego potrzeba temu barbarzyńcy, mającemu wszystko, czego tylko może zapragnąć wyobraźnia japońska. Wreszcie z tryumfem przyprowadzono młodego Japończyka, który dość biegle mówił po angielsku. Dostałem niezwłocznie wszystko, czego mi brakowało: stół, krzesło, parę jajek na miękko, kawał białego chleba (europejskiego), trochę masła, porcję befsztyku i... chińskiej herbaty. Gorzka, japońska herbata dobra tylko po obiedzie. Podano mi wszystko z wesołym uśmiechem i miłym wdziękiem...

W parę godzin potym przyjechał mister B., a nazajutrz wczesnym rankiem jużeśmy płynęli po lazu-

rowej „Volcano-bay“ ku tajemniczym, brodatym Ainom.

Z poza zielonych brzegów i dałekich tumanów wysunęły się nagle liczne, kończaste szczyty zagasłych i czynnych „gór ognistych“, okalających zatokę. Kiu-Muororan (stary Muororan) był pierwszą wioszczyną, do której zawinęliśmy w naszej wędrówce. Siedzi on na brzegu morza, wszczepiony w wązką szczelinę, zarosły kędzierzawą roślinnością, gęsto, jak pacha Aina. Tu spędziliśmy dwa dni, podczas których deszcz lał niemiłosiernie. Mierzyłem krajowców, a mister B. grał im na skrzypcach, uczył śpiewać psalmy i żartował sobie ze mnie, wymyślając rozmaite, godne Dickensa, psoty.

Na trzeci dzień, gdy deszcz ustał, przyprowadzono nam konie, i ruszyliśmy dalej. Szeroka, zupełnie przyzwoicie utrzymana droga pięła się początkowo pod górę, przecinając wysoki, lesisty przylądek. Orzechy, dęby, klony i graby, ciemne tuje, sosny i jasna wierzbina, sploty powoju i pnącej się róży, obmyte przez deszcze, lśniące i świeże, mieszały się w gęstwinie przydrożnej, zwieszały gałązki nad samą drogą lub chyliły się w stronę przeciwną, nad głęboką przepaścią, w której płynęła rzeczułka i kryła się porzucona przez nas wioska Muororan. Z grzbietu przełęczy w obie strony błyskała daleko błękitna „Volcano-bay“.

Spuściliśmy się ku błotnistym, zalanym wodą polom, gdzie wieśniacy, w ogromnych, jak parasole, kapeluszach, sadzili flance ryżu. Odtąd droga wciąż biegła wśród pól uprawnych, wśród gęstych krze-

wów czeremchy, traw i ziół rozmaitych i zarośli końskiego szczawiu, wybujałego powyżej głowy jeźdźca. Wśród soczystej zieleni płonęły jaskrawo wielkie kielichy czerwonych tulipanów o podartych, jak płomienie, płatkach, rumieniły się okrągłe czasze karminowych głogów, kupy białych róż bielały, jak śniegi, pyszne spireje strzelały w górę, jak okiście perłowej piany, a miejscami słały się nizko rozkoszne bukiety koralowej, nieokwitłej jeszcze, spóźnionej kamelji. A w dali błękitniało morze, poza nim wznosił się wysoko krater różowy wulkanu „Uso“, jeszcze dalej siniał olbrzymi, ciemny, zgasły „Sziribetsu“, i ciągnął się, stapiając zwolna z niebem, błękitny łańcuch gór.

Wypoczęliśmy w czystym, ładnym, tonącym w zieleni miasteczku „Mombetsu“ i ruszyliśmy dalej. Za miastem sterczał szereg kominów fabrycznych; tłum niebiesko ubranych robotników szedł ku nim. Drut telegraficzny wciąż nam towarzyszył. Mijaliśmy dostatnie obszerne budynki szkolne, gdzie brzęczały wesoło głosy dzieci; spotykani przechodnie uprzejmie uśmiechali się do nas; kobiety w szarych sukniach, w barwnych, opasujących biodra „ obi “, z kwiatami we włosach, niosące na plecach pucołowate dzieci, pośpiesznie ustępowały nam z drogi i czekały cierpliwie, aż je wyminie cały nasz orszak wędrowny, otoczony kłębami kurzu. Biało ubrany policjant z krótka szablą, przechodząc mimo nas, przyjrzał się uważnie, ale nie natrętnie. Wieśniacy, znajomi mister’a B., machali mu z daleka z pól radośnie kapeluszami. A pola rozpościerały się wkoło

jak okiem sięgnąć, coraz lepiej uprawne i coraz rozmaitsze. Długie, nizkie rzędy ciemno - zielonego indyga, starannie opielone i obredlone, ciągnęły się równo, jak ogrodowe grządki; jasny, gęsty i wysoki len już błękitniał od rozpuszczających się pączków, pszenica już żółkła, a jęczmień, miejscami zupełnie jeszcze zielony, miejscami zbielał i szumiał sucho w łagodnym wietrzyku, wołając co rychlej o sierp. Pola nieduże, zmieszane jak z kawałków zszyty kobierzec, wdzierały się wysoko na zbocza, nawet na szczyty pagórków, na których często stały w błękitnym powietrzu barwne figury kobiet i dzieci, pielących chwasty, lub migał żółty, parasolowaty kapelusz wieśniaka. Łany kwitnącego rzepaku, wkropione w to morze sfalowanej zieleni, aż raziły oczy swą jaskrawą w słońcu pozłotą.

Był to, zaiste, złoty pożar, w którego łunie szczególnie pięknie wyglądały drzewa melancholijnego, smukłego „kirinu“ z dużemi, jakby zwarzonemi liśćmi. Rosły one gęsto, umyślnie posadzone na miedzach koło chat i wzdłuż drogi, wysoce cenione dla swego białego, lekkiego drzewa, z którego wyrabiają sandały i... arfy. Koło chat drobnych ale schludnych, przykrytych zazwyczaj słomianemi strzechami, widziałem wszędzie drzewa owocowe i dekoracyjne, kwiaty i ogrody z włoszczyzną. Studnie z daszkami, a przed niemi zwykle mata, aby nie było błota z rozchlapanej wody.

Mosty wszędzie całe lub w toku naprawy, gdy były przez rozlew zerwane. A rozlewy tu bardzo częste i bardzo gwałtowne. W miejscowościach, gdzie

z gór woda deszczowa zbiegała z wielkim impetem, stało drewniane koryto, chroniące drogę i urwiska od rozmycia. Siół nie widziałem; same folwarki. Zazwyczaj chatki stały wśród pól pojedyńczo lub najwyżej po trzy.

Większe skupienia domów znajdowały się jedynie nad morzem; były to po większej części osady rybackie.

Taką była i wioska Uso nad piękną, okrągłą jak staw, szmaragdową zatoczką u stóp ciemnego Uso, ze śpiczastym szczytem z różowej lawy. Wulkan palił sobie dobrodusznie „fajeczkę“, puszczając biały dymek bocznym kraterem, ale mieszkańcy spoglądali nań z pewną trwogą, gdyż parę dni temu zaczął mruczeć i rzucać na ich pola głazy...

II. SACHALIN.

Dzień pogodny, choć zamglony. Morze spokojne gnie się łagodnie w potoczystych, perłowo błyskających falach. Płyniemy cieśniną. Na wschodzie błękitnieje długi ląd Hokkaido (Jesso), na zachodzie ku południowi widać bledszą odeń wyspę Osziri, a ku północy przed nami rozpościera się bezbrzeżne, stalowe u widnokręgu, szafirowe w pobliżu morze. Nasz mały rybacki parostatek, ciężko naładowany, dyszy z wysiłkiem, jak objedzona ryba, i przewala się z boku na bok, prując z trudnością cicho grające tonie.

Na statku sami Japończycy. Ciasna kajuta pełna subjektów handlowych. Mają piwo, wino i wódkę, ale piją umiarkowanie a więcej... czytają. Czyta dużo i nasz „boy“, szczerbaty, rozczochrany, wesoły posługacz, który na wzór lokajów z wielkich okrętów nosi zwiniętą serwetę w bocznej kieszeni żakietu. Serweta jest niezmiernie czysta i świeża, gdyż jej nie używa, stale wycierając naczynia, sprzęty, ręce i nos papierem, który następnie puszcza z fantazją na wiatr. Statek od samego rana jest starannie wy-

myty. Na pokładzie u masztu siedzi na długim sznurku więzień — bury sokół z żółtemi oczyma; opodal w blaszanych pudełkach pływają czerwone czochrate rybki japońskie, złote karpiki, popielate węgorze i jeszcze jakieś dziwaczne morskie mieszkanki z purpurową pręgą wzdłuż ciała. Na dziobie statku widziałem pod ochroną wysokiej szczęki kotwicznej mały gaiczek z kwitnących irysów. Jest to danina marynarzy japońskich, składana ukochanej przez cały ich lud przyrodzie. Czy to majtek wraca ze zmiany, czy palacz wyjdzie na chwilkę z maszynowego piekła, aby ochłodzić głowę, każdy pochyli się nad kwiatkiem, zajrzy do rybek, albo podrażni sokoła. Mężny ptak natychmiast dziób rozdziawi, nadstawi szpony, i majtek odchodzi uszczęśliwiony i pokrzepiony widokiem ptasiej dzielności.

— W niewoli a z długim nosem (dumny)!... — mówili mi, wskazując jeńca z uznaniem.

Płyniemy wciąż koło zębatych gór, porosłych do szczytu kędzierzawemi lasami. Brzeg stromo opada ku morzu. — Nie widać nigdzie ani wsi, ani dróg... Kraj niedawno tknięty kolonizacją i napozór niezamieszkany. Lecz gdziekolwiek opoka ma przyczółek płaskiego brzegu, zaraz na piaskach i głazach widnieją szare, łubiane domki japońskie; czółenko kołysze się na fali lub łódź płynie po morzu pod rozpiętemi, białemi żaglami. A gdzie brzeg mniej spadzisty, gdzie zgadnąć można z kształtu ziemi, że w wądołach biegnie rzeczułka, lub kryje się słodkie jeziorko, tam napewno znajdujemy i zielone schody górskich pól japońskich.

Mijamy wysoki przylądek Motta z prostopadle połupanemi, bazaltowemi skałami. W górze, na ciemnych szczytach bieleją płatki śniegu. Brzeg dziki, skalisty, pełen pieczar i wylizanych bałwanami zaklęśnięć.

Przecinamy dużą zatokę. Ląd poza nami ledwie się odznacza w kształcie mglistej smugi, a przed nami na perłowych rozłogach legła nizko blado-błękitna nić przeciwnego brzegu. W miarę jak zbliżamy się ku niemu, uderzają mię płomienne smugi i siwe dymy, rozrzucone po wiszarach. Myślałem z początku, że to pożar lasu, lecz były to tylko odblaski ukośnych promieni zachodzącego za chmurami słońca.

Parowiec wciąż sapie i dąży z wysiłkiem ku ciemnemu przylądkowi, który wżarł się daleko w jasne, powietrzne i wodne przestworza. Pofałdowany, opoczysty brzeg zdawał się cały skupiać w tym kamiennym rylcu. Oblewa go czerwona łuna zachodzącego słońca, które, zanurzając się w wodzie, zupełnie stało się podobne do znaku malowanego na sztandarze Japonji. Przylądek ma dwa dzioby, jeden z nich kończy się prostopadłym urwiskiem, przed którym już w morzu stoi samotna, podobna do wspiętego niedźwiedzia, skała. Fale rozbijają się o nią i liżą jej boki. Na urwisku widać czerwoną latarnię morską i małą świątynię. Ten cypel to „Kamui-san“, słynny przylądek, poza który do niedawnych czasów nie wolno było przechodzić kobietom japońskim. O nim śpiewają w Hakodate do dziś dnia pieśni, i hakodackie gejsze tańczą taniec, wyrażający

tęsknotę żony do męża, trzymanego połowem ryb za Kamui-sanem...

Skoro nie mogę być razem,
Zbliżę się chociaż troszeczkę,
Stanę na brzeżku u wody,
U stóp Kamui-sana...

Stąd skierowaliśmy się prosto na otwarte morze. W oddali samotny żaglowiec leciał na przełaj z rozpiętemi żaglami. Szare, północne niebo stapiało się tam zupełnie z szarą wodą, i trudno było odróżnić, czy ten uciekający pośpiesznie od ziemi statek płynie po falach, czy jest nikłym, sunącym w powietrzu obrazem. Tam już panował zmrok zapadającej nocy, podczas gdy myśmy krajali jeszcze płachtę miedzianego blasku, rzuconego przez zachodzące słońce na wodę. Było coś bajecznego w mocno wydętych, wyolbrzymiałych płótniskach żaglowca, w ten cichy wieczór, zaledwie słabym owiewany wietrzykiem.

Tak zapewne wyglądał „Latający Holender“ przed wynalezieniem parostatków.

Wkrótce i jego i nas pochłonęły ciemności nocy.

Na parowcu zapalono światło.

Zajrzałem do jednostajnie huczącego, maszynowego przedziału.

Była to głęboka studnia, opatrzona małemi balkonikami i żelaznemi schodkami bez poręczy. Na dnie jej błyszczały polerowane pokrywy tłoków i ochładzaczy, a niżej pod kratą wciąż ruszały się

ze stukiem korby i ekscentryki. Półnadzy Japończycy, palacze, siedzieli na ziemi i, kołysząc głowami, obwiązanemi w białe chusty, śpiewali żałosne, krajowe piosenki. Co jakiś czas jeden z nich wstawał, otwierał drzwiczki ogniska i ciskał w nie nową łopatę miałkiego węgla lub długim pogrzebaczem poprawiał zarzewie. Naówczas czerwona łuna wypełniała całą studnię, barwiła bronzowe twarze ludzi oraz stalowe członki maszyn i buchała na zewnątrz przez otwarte luki. Na pokładzie nie było nikogo, prócz sternika u rudla i pomocnika kapitana na mostku. Z kajuty służbowej na dziobie dolatywał stłumiony śmiech; w jej głębi, tuż u zejścia, grali w maluchne karty marynarze. W kajucie pasażerskiej subjekci, obsiadłszy szczelnie stół, czytali. Dwuch grało w szachy, tym się różniące od naszych, że szachownica ma dziewięć pól, nie ośm, niektóre figury chodzą trochę inaczej i że można przystawiać sobie zabrane przeciwnikowi kostki. Wszystkie kostki są białe, ścięte pochyło w jedną stronę i opatrzone napisem, co która znaczy, a partje kostek różnią się tym jedynie, że stoją pochylone w przeciwne strony.

Wejście moje odwróciło jednak uwagę zebranych od gry i od książek. Zaczęliśmy gawędę o tym i owym, o starych czasach, starych obyczajach i starym orężu. Każdy prawie z obecnych umiał trochę po angielsku, a resztę trudności usunął tłómacz. Dowiedziałem się, że najlepsze brzeszczoty wyrabiali w Bizen, że takie starodawne ostrze kosz-

tuje półtora, nawet dwa tysiące jenów (rubli), że zwie się „kot-too“ i że ich obecnie już nie robią.

— Taką szablę kuł majster lat dziesięć, szczycił się nią i wkładał w nią duszę... Teraz szable inne, ciężkie, nieporęczne... Teraz potrzebna broń ognista... — mówili mi z pewnym żalem.

Ogromnie mi te rozmowy o słynnych orężach, o fechmistrzach, o ich sztukach i podejściach przypominały... pana Gerwazego, Maćka Rózgę i innych... Kilku z obecnych było synami „samurajów“ — dawnej szlachty japońskiej, która nosiła „dwie szable — jedną, długą, na wroga, drugą, krótką, na siebie, aby umrzeć, gdy należało się wstydzić!...“

Mniej waży dziesięć tysięcy gór,
Niźli rozkaz władcy!
I za jeden włos życiem
Można czasem płacić!...

mówi starodawna pieśń samurajska.

Młodzież gorąco broniła obyczaju „harakiri“...

— Są wypadki, po których niepodobna zostać przy życiu...

— Gdybyście wy, Polacy, w swoim czasie postanowili albo zwyciężyć, albo zginąć od „harakiri“ — wszyscy, cały naród — to panbyś teraz nie potrzebował... podróżować pod... cudzą banderą! — powiedział mi z grzecznym uśmiechem zgrabny, elegancki Hirosawa, kontroler parowca.

Na tym urwała się przykra rozmowa.

Potym śpiewaliśmy znaną piosenkę o sercu japońskim:

Sziki szima no
Jamato gokoro wo
Hito towa bo
Asa hini nioo
Jama-zakura hana!

Jeżeli spytasz się
O serc japońskich tajniki,
Wskażę ci wiśni kwitnącej
Kołyszące się w słońcu okiście...
Jasne i wolne są one —
Takim jest serce japońskie!

Rozumie się, że zwykłą rzeczy koleją rozmowa przeszła następnie na miłość, i młodzi ludzie na wyścigi pisali mi wiersze w notatniku:

Umiera noc wiosenna,
Lecz nie umiera ma miłość.
Minął znów wieczór,
Znowu noc nastąpiła głęboka,
I zgasła lampa oliwna,
I leci serce ku Tobie...
O, jakże słodko dźwięczy srebrne „kanzaszi“ w Twej głowie,
Gdy stuka w biegu o ziemię Twoje drewniane obuwie!

kreślił zarządzający gospodarstwem parowca Hirosawa!

— To nie moje wiersze — dodał skromnie — to wiersze słynnego poety!

— Poczekaj, ja ci lepsze napiszę... Też cudze, ale ładne... — przerwał młody samuraj Takimura.

Na spotniałym koniu
I w żelaznej zbroi

Minęła mi wiosna.
Gdym wracał, wiatr jeno
Omiatał twarz z kurzu,
A gdym się upijał,
Śnił mi się nie mędrzec,
Ale śniła mi się
Wciąż piękna kobieta!...

Rozmowa zwolna ześrodkowała się na Japonji. Gdym chwalił piękność ich ojczyzny, trwogą i radością mieniły im się rysy.

— Ach, niechby już była sobie brzydka, taka... do niczego! — przerwał jeden.

— Wy, Europejczycy, tylko chodzicie wszędzie i wypatrujecie!... — wybuchnął drugi.

— I twoja ojczyzna była pewnie i słodka, i ładna... — z delikatnym niedomówieniem dodał Hirosawa.

Przyjazny nastrój rozwiał się, gawęda urwała. Wyszedłem z mocno zadymionej kajuty, aby się orzeźwić.

Czarny nasz parowiec wśród czarnych, cichych wód biegł, drgając miarowo z jednostajnym mamrotem, ku mglistej północy. W kajucie cienkiemi dyszkantami śpiewali Japończycy:

Kimiga jowe czijoni-ja-czijoni,
Sadzarej-iszi no iwaoto narite,
Kokeno musumade...

Niech Dom Twój, Władco, trwa wiecznie,
Aż mały kamyk wyrośnie
W wielką, omszoną opokę...

Nazajutrz obudziło mię wołanie:

— Wstawaj, polski podróżniku! — Góra... północna Fudżijama!

Ubrałem się pośpiesznie i wyszedłem na pokład. Wprost z morza wznosił się wysoko wspaniały, szmaragdowy stożek wulkanu z białemi plamami śniegu na szczycie i szarym miasteczkiem u stóp, u samej sinej wody. Była to wyspa Riszri—ostatni pilon zielonej Japonji. Soja — krańcowy przylądek Jesso — mglisto rysował się w dali. Wkrótce minęliśmy go, a ponieważ wiatr wzmagał się i był pomyślny, napięliśmy żagle.

Ziemia znikła we mgłach. Czarne morze falowało coraz gwałtowniej. Zrobiło się tak zimno, że musiałem włożyć grubszą odzież. Statek nasz chylił się, obsuwał po ślizkich bokach bałwanów i uderzał o ich dno, aż piana wybryzgiwała wysoko z pod niego na pokład. Czasem wodne pagórki wzdymały się wyżej burty, i wówczas światło dnia, przeświecając przez czochrate ich czuby, zamieniało je w śliczne, zmienne grzędy roztopionego opalu i szmaragdu.

Ale pośrodku cieśniny Laperusa, gdzie ścierają się wichry i prądy Wschodu i Zachodu, morze było tak wzburzone, a ryk fal tak dokuczliwy, że już nie mogłem w dostatecznej mierze oceniać wspaniałości obrazu. Trzeba się było mocno trzymać za poręcz i strzec, by wiatr lub czuby fal nie uniosły z głowy kapelusza, idąc zaś, należało więcej patrzeć na taczający się pod nogami pokład, niż na grające morze. Nadomiar złego zaczął mżyć deszcz.

Nie opuścił on już nas od tej pory ani na chwilę... Płynęliśmy wciąż w szarym obłoku i za jedyną rozrywkę służyły nam często pojawiające się stada delfinów, które, ścigając się wzajem, wyskakując z fal i koziołkując, starały się nas koniecznie wyprzedzić.

Pod wieczór we mgłach zarysował się na wschodzie dziki, jednostajnie urwisty brzeg Sachalinu.

Noc ciemna, choć oko wykol; przycichłe morze szumiało łagodnie pod gęstym tumanem.

Japończycy znowu mieli ochotę urządzić literacko-muzykalny wieczór, ale moje serce łaknęło samotności; myślałem o spotkaniu, dla którego przedsięwziąłem tę długą podróż. Do późnej nocy stałem na dziobie oparty o burtę i patrzałem na blade wiry, kotłujące się pod sztabą parowca. Żal bezbrzeżny, jak to nocne morze, dusił mię...

Nazajutrz znów mgła, deszcz, szary poranek i szary dzień. Ale chwilami przez obłoki przeświecało mgliste słońce i rzucało na ołowiane fale ładne, srebrne błyski.

Na wschodzie wciąż ten sam ciemny, opoczysty, nieprzystępny, jak wał forteczny, brzeg Sachalinu bez szczerby, zatoczki, przystani i bez śladu mieszkańców. Czasami czajka przyleciała stamtąd, w milczeniu okrążyła nasz parowiec; czasem sznur czarnych kaczek pomknął nizko nad wodą, ku wyspie. I nic więcej! Morze schłostane wichrem i deszczem, brzegi zasnute tumanem i nasz skołatany parowiec... W nocy znów morze przycichło, jakby przyduszone zsiadłemi opary. Chwilami jedynie pojedyńcza, zbun-

towana fala wzdymała się wysoko i z łoskotem spadała na tył okrętu.

Wcześnie pokładli się spać Japończycy, aby wypocząć dobrze przed pracą, oczekującą ich po przybyciu do Aleksandrowska. Usnąłem wreszcie i ja. Obudziła mię cisza i nieruchomość statku. Nie dyszał już, nie warczał, nie sunął. Dobiegł mię rumor zarzucanej kotwicy. Przez zapocone okno nic nie mogłem zobaczyć, wyjrzałem więc za drzwi. Niedaleko, za siatką dżdżu, czerniał skalisty przylądek, a przed nią, w morzu, jedna za drugą trzy ostre skały, pochylone jak trzech modlących się mnichów. To byli słynni sachalińscy „Trzej bracia“.

Ileż was oglądało już oczu smutnych i znękanych?...

Za skalistym przylądkiem w jednostajnie mglistym, perłowym przestworzu rysowała się podłużna plama lądu, a przed nim w otwartym prawie morzu wznosił się szary, nędzny pomost z drewnianych pali. Fale wciąż tłukły się o niego i pluły pianą do góry. Na prawo od pomostu, wzdłuż brzegu piął się na zbocze drewniany wodociąg, na długich, cienkich, jak u komara nogach, a na lewo w dali szarzało niewyraźnie miasteczko.

Wszystko siekł niemiłosiernie deszcz. Zrozumiałem, że parostatek nieprędko się w tych warunkach dowoła rządowej łodzi z przystani, i chroniąc się od zimna, położyłem się napowrót w ubraniu na posłanie. Nie usnąłem jednak, lecz liczyłem z niecierpliwością wybijane na wancie godziny. Wreszcie usłyszałem charakterystyczne sapanie małej, parowej maszyny,

zabrzmiały dźwięki mowy słowiańskiej... Zerwałem się i skoczyłem do drzwi. Na pomoście stało dwuch ludzi w urzędniczych czapkach z gwiazdkami.

— Nie wiedzą panowie, czy Adam S. już wyjechał?

— Nie jeszcze. Pan pewnie jego brat?! Jestem doktorem S. — przedstawił się jeden z nich.

— Policmajster T. — rzekł drugi, wyciągając rękę.

— Czekają tu na pana z niecierpliwością.

— Panowie mię zabiorą?

— Owszem, z przyjemnością. Ale przedtym musimy załatwić formalności z Japończykami.

Doktór przerzucał papiery okrętowe, policmajster rozglądał się po statku.

W kwadrans potym już siedziałem w łodzi parowej. Z sykiem, w pląsach biegła ona z fali na falę, a moi towarzysze wypytywali mię o rozmaite nowiny ze świata... Nie wiem, com im odpowiadał, lecz przypuszczam, że dowiedzieli się niewiele.

Na przystani doktór przez telefon dał znać bratu, że przyjechałem. Policmajster tymczasem ofiarował mi uprzejmie chwilowy przytułek. Wyszliśmy za wrota pomostu, strzeżone przez odźwiernego w uniformie, i pierwszy obraz, który ujrzały me oczy, był tłum skazańców, pogolonych i zakutych w łańcuchy. Pchali, ignąc w błocie, wagon, naładowany drzewem. Wokoło stał konwój z bagnetami i nabitą bronią. Skazańcy przyglądali mi się posępnie, z podełba, siląc się zapewne odgadnąć z grzeczności policmaj-

stra, co im niosę: nowe cierpienia, czy możność nowych zbrodni?...

W mieszkaniu gościnnego urzędnika znalazłem wszystko, co mi było potrzeba; lecz nie zdążyłem się przebrać, gdy już brat i siostra stali przede mną. Brata ostatni raz widziałem przez małe okienko w chwili, gdy biegł za uwożącą mię karetą; siostry nie widziałem od dzieciństwa... Burze rozrzuciły nas na różne krańce świata...

— Biedni, biedni!... — powtarzałem, ściskając ich gwałtownie.

— Milcz!...

Policmajster patrzał na nas ciekawie, ale ze współczuciem...

Hakodate, 23 lipca 1903 r.

W OBRONIE GIEJSZ.

URYWEK Z POWIEŚCI.

Po jałowych, skalistych wybrzeżach Korei, po brzydkich, płaskich i żółtych mieliznach Chin, jaskrawo-zielona, barwna Japonja wygląda jak śliczny bukiet, rzucony od niechcenia na lazurową toń. Podróżnik czuje się oszołomiony jej pięknością i śpieszy się z nią zapoznać. Ale trudno poznać ten kraj, kryjący pod grzecznym uśmiechem i pełnym wdzięku obejściem duszę otchłanną i stalową wolę. Znajomość więc kilkudniowych turystów ogranicza się zwykle do „rikszy“ i „giejszy“.

„Riksza“, po japońsku „kuruma“, jest to pajęczy wózek na pajęczych kółkach, ciągniony przez człowieka, „gijosza“. Ciężki Europejczyk, siadłszy weń, czuje się panem położenia i niezmiernie pogardza oraz lituje się nad „niewolnikiem“, który, ciężko dysząc, wiezie go, jak koń. Niezmiernie dziwi go następnie, gdy zastanie „niewolnika“, skracającego sobie godziny oczekiwania czytaniem gazety albo ładnej książki. Ale praca „gijoszy“ nie jest gorsza od innych i jest szanowana, jak wogóle praca w Japonji.

Innego rodzaju zawód czeka podróżnika, który się dowiedział o „giejszach“ ze znanej wszędzie operetki. W operetce tej przedstawiony jest inny świat,

który w Japonji zwą „Josziwara“. Ani typy, ani tańce, ani obyczaje, ani nawet ubiory z tej operetki nie są podobne do japońskich. Japoński smak nie znosi krzyczących, błyskotliwych barw, rozwydrzonych ruchów i powierzchownej czułostkowości.

Jedynie kilka dźwięków w piosence „o rybce“ pochodzi w tej operetce istotnie z Japonji, i przyjemną miałem niespodziankę, gdym usłyszał je z ust ślicznej, prawdziwej „giejszy“.

„Giejsze“ są to zawodowe śpiewaczki i tancerki, które kończą specjalne szkoły, zdają specjalne egzaminy i wstępują do specjalnych śpiewaczych towarzystw „kem - ban“. Nie należy sądzić o giejszach z tych okazów, które pokazują turystom w portowych miastach Japonji. Większość giejsz są to mniej lub więcej utalentowane artystki, które na zawołanie do byle kogo nie pójdą, a tymbardziej nie zechcą bawić zachodniego barbarzyńcy... nawet za szczodrze obiecane złoto. Japończycy cenią pieniądze, jako niezbędny obecnie warunek życia wśród ludzi, ale na ogół cześć rzeczy doczesnych rzadko u nich przechodzi w bałwochwalstwo.

Giejsze wyższego rzędu są zwykle bardzo zajęte, i zamawiać je trzeba zawczasu, zamawiać przez znajomych lub rekomendację. Tyczy się to zresztą jedynie Europejczyków. Każdy Japończyk może wezwać giejszę do herbaciarni, albo do własnego domu, aby tańczyła, śpiewała, bawiła go rozmową przy uczcie, i jeżeli on nie jest skończonym „gorodzki“—nicponiem, giejsza przyjdzie i będzie robiła wszystko, do czego obowiązuje ją jej zawód... ale nic więcej. Ko-

biety japońskie w takich przypadkach używają małych, cienkich sztylecików, któremi spinają włosy, ale które sięgają jednak w potrzebie serca... Zresztą próba gwałtu nad giejszą ze strony Japończyka jest zdarzeniem niebywałym, które poruszyłoby i oburzyło niezmiernie całe społeczeństwo; takich rzeczy dopuszczają się jedynie Europejczycy, i dla tego szanująca się artystka, „giejsza“, nie pójdzie na wezwanie nieznanego sobie cudzoziemca.

Na miłość giejszy należy zasłużyć, jak na miłość innych kobiet, a naówczas są one kochankami czułemi i wiernemi, zgodnie z tradycją swej ojczyzny. Są, rozumie się, i pośród giejsz rozwiązłe i sprzedajne istoty, ale... gdzież ich niema?

Instytucja „giejsz“ bardzo starożytnego jest pochodzenia i dostała się do Japonji prawdopodobnie z Indji, pośrednio przez Koreję. Mówiły mi same giejsze, że zawód ich powstał początkowo przy dworze dawnych mikadów i sziogunów, którzy utrzymywali 10 do 12 dziewic szlachetnych, odpowiednio wykształconych, aby tańcem, muzyką, śpiewem i rozmową uprzyjemniały wywczasy domowników i gości. Te dziewice zwały się „kańdzio“ i nigdy nie opuszczały murów pałacu, stając się z biegiem czasu podrzędnemi żonami i nałożnicami książąt krwi i samych monarchów. To samo było i w Korei starożytnej. Ale korejskie „ki-sań“, wyszedłszy poza pałacowe mury, upadły, obecnie są wyzyskiwanemi przez swych właścicieli niewolnicami, istotami pogardzanemi i godnemi litości. Tymczasem „giejsze“ w rycerskich czasach japońskiego średnio-

wiecza wyszlachetniały i dosięgły znacznych wpływów w życiu, polityce i obyczajach.

Porównać je można z heterami greckiemi. Obie stworzyła ta sama nieprzełamana potrzeba czynników kobiecych w zbiorowej umysłowości.

Z rozkwitem feudalizmu, pod wpływem chińszczyzny, zamknięte wyłącznie w kole rodzinnym, znikły ukształcone kobiety z widowni życia japońskiego, zubożał ich duch, utracił wdzięk i polor w zacieniu. Wówczas wysunęły się naprzód kobiety wolne, dowcipne i wykształcone, których zawód pozwalał na swobodne obcowanie z rycerstwem, z mężami stanu, poetami i uczonemi.

Zostać giejszą nie przynosiło ujmy dziewczętom z rodzin szlacheckich i samurajskich. Owszem, wiele z takich niezamożnych rodzin wybierało najładniejszą dzieweczkę w dzieciństwie jeszcze i zaczynało kształcić na tancerkę. Nauka była długa i trudna, gdyż każdy ruch, każdy giest tancerki japońskiej jest właściwie wyrazem, albo frazesem poetycznej opowieści.

Każdy Japończyk zna ten język i odczuwa niedostępną dla Europejczyków rozkosz z plastycznej twórczości tancerek, z niezwykłej kombinacji ruchów lub zobrazowania nowych ich odcieni... Jest to właściwie deklamacja poruszeń, doprowadzona do wysokiego, wyrafinowanego artyzmu, coś bardzo oryginalnego i ujmującego, wobec czego podobny do niego niemiecki „Ueberbrettl“ wydał mi się karczemną parodją.

Aby dać choć słabe pojęcie o tych dziwnych tańcach, przytoczę kilka tytułów:

1) Kanimajo — błądzenie wśród zapachów, wyobraża stan ducha człowieka, upojonego własną tęsknotą i miłą podnietą nieokreślonych wrażeń.

2) Umeno haru — wiosna śliwek. Kwiat śliwek jest symbolem bohaterstwa, waleczności i czczony jest narówni z kwiatem wiśni, kwiatem miłości i poezji.

3) Ame szoba. Deszczyk mży — wesoły taniec-piosenka, opisujący przygody skromnej Japonki, zaskoczonej przez deszcz, oraz figlów, które ulewa wywołuje na ulicach miasta.

4) Kapory. Daję nurka! — wesoła piosenka kąpielowa.

5) Takini naritaja. Jakżebym chciała zostać wiotkim bambusem!—taniec-piosenka zakochanej dziewczyny, zazdroszczącej bambusowi, że rośnie bez troski i smutku.

6) Gambena tane makö. Sieroca taniec-piosenka o chłopie i kłótni jego z wroną, która wydziobywała mu zasiane ziarno. Wtór tej piosenki brzmi bardzo zabawnie: kara syna chodzikurro dzimbala! dzimbala!

Są tańce-piosenki: poważne, pouczające, wojownicze, bohaterskie, nawet polityczne, jak n. p. Nisyn-dam-pan: japońsko - chińskie przymierze. Są wreszcie tańce - pieśni religijne, n. p. słynny taniec „kaguro“ z wachlarzem, tańczony przez kapłanki w świątyniach Nikko, albo długi taniec „ciri-kicune“ — powieszony lis, w którym opisana jest znana

historja słońca Amaterasu, wywabionego ze skały przez tańczącą Ü-su-me.

Owych pieśni-tańców istnieje mnóstwo, i każda może być wykonaną mniej lub więcej artystycznie, zależnie od zdolności tancerek. Stąd niektóre z nich słyną po całym kraju, jako wielkie artystki; taniec ich ściąga do miast ich rodzinnych tłumy miłośników, daje im dostatek i poważanie.

Tańce wesołe, żywe, w których często odsłaniane bywają nogi i obnażane wyciągane ramiona, są tańczone wyłącznie przez młodziutkie dziewczyny do lat piętnastu, szesnastu, zwane „majko“. Starsze giejsze tańczą tylko tańce poważne. Zazwyczaj jednak nie biorą udziału w tańcu, lecz siedzą szeregiem z boku tanecznic i śpiewają podczas tańca chórem, przygrywając na gitarach (samuseń), bębenkach i kastanjetach.

Podczas uroczystości religijnych albo patryjotycznych manifestacji występują całe procesje „giejsz“. W 500-letni jubileusz głównej świątyni w Kjoto, w 1903 roku, brało udział tysiąc biało odzianych giejsz ze ślicznemi wachlarzami.

Podczas miejskich uroczystości w Nagasaki widziałem znowu zbiorowy taniec bohaterski: „Napad nocny“.

Ale wyznaję, że największy urok dla mnie miały te prywatne zebrania z giejszami w herbaciarniach, kryjących się w głębi wiecznie kwitnących ogrodów lub w domach prywatnych. Takie artystyczne zabawy dość drogo kosztują. Wymagają one zastawy obiadu lub śniadania, grono giejsz nie powinno być

zbyt małe, gdyż jedynie w większej ich liczbie wytwarza się atmosfera poetycznego współzawodnictwa w piękności i dowcipie. Piękniejsze tańce również wymagają liczniejszego udziału tancerek. Giejsze mogą być zaproszone jedynie za pośrednictwem swego biura „kem—ban“, które odlicza sobie pewien procent na swe utrzymanie, na różne wspólne wydatki stowarzyszenia oraz do kasy wzajemnej pomocy giejsz. Nie można zaprosić giejsz na krócej niż na 3 godziny i, choćby kto słuchał ich tylko 10 minut, płaci za cały czas. Każda giejsza bierze za te pierwsze trzy godziny od 2—3 „jenów“ (rubli), a za następne trzy godziny już drożej, 4—5 jenów. Prócz tego zapraszający opłaca „riksze“, które przywiozły i odwiozą tancerki do domów, opłaca służbę herbaciarni i t. d. Skromny wieczór z kilku giejszami kosztuje co najmniej sto rubli, wystawniejszy dochodzi kilkuset rubli, a nietrudno wydać i kilka tysięcy. Samo wynajęcie królewskiej, wspaniałej sali, jaką posiada dla takich właśnie zebrań każde miasto japońskie, kosztuje drogo. Światła, pochodnie w nocy, drogie naczynia, wytworne kwiaty, wspaniałe ubiory, przedziwne ruchy dystyngowanych giejsz w powłóczystych szatach, wesołe, tryskające dowcipem rozmowy, urywane piosenki—wszystko składa się na śliczny obraz, oprawny w cudne ramy bajecznej przyrody japońskiej, równie czarownej przy świetle księżyca, jak słońca. Urok tych uczt polega jeszcze na zupełnej nieobecności służby; piękne panie biorą z ich rąk półmiski jeszcze na progu i niosą je same, niektóre potrawy

przyrządzają w sali na wytwornych kuchenkach bronzowych, słowem zachowują się jak gospodynie domu, podejmujące mile widzianych gości.

Ale Japończycy, wytrawni artyści, wybornie rozumieją, że bogactwo tła nie jest nieodzownym warunkiem wzruszeń artystycznych i często, jakby dla kontrastu, zmieniają i upraszczają niesłychanie warunki rozkoszy.

Byłem raz zaproszony przez japońskiego bogacza z miasta H. do jego willi zamiejskiej na śniadanie z giejszami. Jużem widział kilkakrotnie wspaniałe przedstawienia tancerek i oczekiwałem tego samego wytwornego przepychu. Wszakże oczekiwania moje były niezmiernie mile zawiedzione prostotą rozrywki. Willa stała pośrodku maluchnego chińskiego ogrodu, który zlewał się z dużym, nawpół dzikim parkiem japońskim, pełnym omszonych, olbrzymich widłaków, złotoigłych modrzewi, czerwonolistnych klonów, malowniczych skał i głuchych, zapadłych zakątków. Ściany willi były rozsunięte, i przesłonecznione powietrze napełniało ją całą. Na macie pośrodku siedział rój dziewcząt w barwnych, letnich szatach i pasach. Oblężony przez nie gospodarz, spostrzegłszy nas, wyszedł ku nam na spotkanie, a one śladem podbiegły i otoczyły nas wdzięcznym, rozbawionym kołem. Znaliśmy już niektóre z nich, i te witały nas z serdecznością, właściwą Japończykom w poufnym kółku. Gawędząc przy pomocy jednego z gości, który uprzejmie zgodził się służyć nam za tłómacza, lub używając mieszaniny giestów, uśmiechów i kilku znajomych nam japoń-

skich wyrazów, obeszliśmy ogród i park śmiejącą się, wesołą gromadą i weszliśmy pod wielki namiot płócienny, gdzie gospodarz, namiętny miłośnik kwiatów, hodował pojedyńcze peonje. Stanąłem oczarowany: była tam ich cała kwatera najrozmaitszej barwy i wielkości. Delikatniuchne, nietrwałe płatki kwiatów przeświecały w stłumionym przez płótno blasku słońca, jak droga porcelana, powietrze nad niemi pełne było łuny ich barw, która przesiąkała, przenikała wszystko, zamieniając się w kolorowaną mgłę, wśród której wesoło przesuwały się piękne dziewczęta w odzieżach barwnych, jak kwiaty, a w dali na wsze strony odkrywał się z pod podniesionych boków namiotu wązki pas rozległego widoku na miasto, leżące w dole, na lazurowe morze, na skały i góry dalekie i na dalsze od nich przedziwne niebo japońskie ze srebrnemi chmurami. Giejsze wyszukiwały najpiękniejsze z kwiatów, wołały nas na wyścigi do tej lub owej rabaty, wskazywały rzadkie odmiany, piękne pochylenia kielichów, pieszcząc główki ulubionych peonji małemi rączkami. Bo giejsza z zawodu musi mieć rączkę małą i zgrabną o długich, zwężających się palcach i ładnych paznogciach. Musi mieć miły, grzeczny uśmiech, wdzięczną prostotę obejścia bez nadmiernej poufałości, ale i bez śladu... trwożliwości. Musi ufać, a zarazem czarować, musi pociągać i wstrzymywać, aby wciąż czuć było granicę, której przekroczyć nie wolno... Japończycy, którzy nie znają wcale balów, rautów, wieczorów, stworzyli zamiast nich urocze artystyczne zebrania, gdzie obcowanie z kobietami wytwornemi,

wyzute z grubych, zmysłowych czynników, dostarcza wzruszeń towarzyskich wyższego rzędu. W tej dziedzinie giejsza jest tym, czym jest „tanka“ albo „chaj-kaj“, niedomówienie w literaturze nadobnej— jedna z najulubieńszych form literackich Japonji.

Giejsze wszakże mają jedną wielką wadę... że są tylko dla... mężczyzn. Kobiety japońskie są pozbawione w życiu równego równoważnika. W miarę jak współczesna kobieta japońska zyskuje prawa i staje w jednym szeregu z mężczyzną, jako obywatelka i pracownica, w miarę tego, jak wzrastają punkty styczne kobiet i mężczyzn japońskich poza domem, w szkołach, uniwersytetach, na politycznych, społecznych i artystycznych zebraniach, znika potrzeba giejsz, szlachetniejsze i utalentowane dziewczęta wolą szukać innych zawodów.

I blednie piękny miraż dawnej rycerskiej Japonji, ustępując przed Japonją nową, równie głęboką, tajemniczą i ponętną.

KAWAŁEK JAPONJI.

(WYJĄTEK Z DZIENNIKA).

19 września 1903 r.

„Pochlebstwo przyjemne, lecz
prawda stokroć cenniejsza“.

Nie zażyłem rozkoszy w Hokkaido. Japończycy uważali naszą podróż za wojenną, wywiadowczą wyprawę, dokuczali nam, i koniec końców musiałem przed czasem przerwać moje studja.*)

Ale... człowiek nienawidzi wyrazu: *nigdy*.

Gdy ruszyliśmy i śliczna Hakodacka zatoka zaczęła mi blednąć w oczach i zasnuwać się zakrętami gór, serce dziwnie mi się ścisnęło. Z chciwością niepoprawnego włóczęgi zacząłem wchłaniać widoki tych bladozielonych, wyniosłych brzegów, cudnie malowanych na błękicie nieba i morza. Tyle razy zachwycałem się niemi i nigdy nie miałem ich za wiele. Tymczasem amfiteatr miasta, rozsypany na stokach skały „Spoczywającego Byka“, szybko malał. Już małe domki

---

*) Ekspedycja składała się ze mnie, Bronisława Piłsudskiego, wybornego znawcy życia Ainów i mówiącego dość biegle po aińsku, oraz z sachalińskiego aina Toroncjego, który umiał czytać i pisać po japońsku i służył nam za japońskiego tłómacza.

japońskie wyglądały jak gniazda jaskółcze, już dachy ich niknęły wśród zieleni ogrodów, podobne do drobnych, jasnych tafli, już jaskrawe, czerwono-żółte flagi, miotające się tu i owdzie nad niemi, zmalały do wielkości skrzydeł motylich. Liljowa gaza odległości przysłaniała wszystko. Sieć masztów okrętowych w porcie stała się podobna do pajęczyny. Jedynie biała iglica kościoła protestanckiego strzelała wyraźnie ku niebu na lewym boku groźnej skały, a na prawym wznosił się wspaniały zrąb cyprysowy świeżo zbudowanej, szintojskiej świątyni. Byłem na jej poświęceniu. Dokoła rzeźbionych, zaledwie postawionych słupów, kapłani w zielonych i żółtych szatach oprowadzali z kwiatami w rękach biało odziane dziewice, przepasane wzorzystemi „obi".

Był śliczny dzień majowy, tłum barwną ścianą oblegał miejsce uroczystości, wieszał się na pomnikach sąsiedniego cmentarza, na dachach sąsiednich budowli... Miarowo huczał dzwon, grały bębny i samujseny. Rzeka chorągwi żółtych, czerwonych, zielonych, niebieskich, wyciętych w kształcie ryb, wężów, smoków, popstrzonych dziwacznemi znakami, przelewała się nad miastem, opustoszałym na chwilę...

Z obu stron miasta dwie błękitne, gładko wcięte zatoki z łagodnym szumem wyrzucały białe, wężowe sznury pian...

W środku lata widziałem znowu otwarcie doków hakodackich i zdumiony byłem dekoracyjnemi zdolnościami Japończyków. Z kilku brudnych, szarych żagli, z czerwonych tułowi odnawianych statków, z jodłowych gałęzi, z całego obłoku powiewnych

skrawków jedwabnych, baniastych, kolorowych latarni, migotliwych strzępów złotego i srebrnego papieru, stworzyli oni tak malowniczy obraz, że pewny jestem, iż na jego widok Pankiewicz mrugnąłby z zadowolenia okiem, a Jacek Malczewski usiadłby i złożył ręce.

Ba! Mieli za tło południowym słońcem nasycone, przeczyste powietrze lazurowe i morze!

Teraz była jesień, dzień chmurniejszy, barwy bledsze; miasto, nieubrane jakoby, żegnało się ze mną w rzewnym zamyśleniu...

„Co przyniesie mi twój pobyt, cudzoziemcze?! Czy aby mię nie skrzywdzisz?“

Zawracamy gwałtownie. Dwa łuki spienionych fal biegną za naszym parowcem, krzyżują się i, bielejąc w zapasach, wspinają do góry. Porwane przez nie po drodze małe czółno rybacze kołysze się, jak łupina: goły rybak ledwie wiosła w dłoniach utrzymać może, czerwony pływak portowy, rzucony w lazur zatoki, niby oderwany kwiat granatu, to ginie wśród zwojów bałwanów, to znowu się wynurza.

Miasto już znikło, w głębokim wcięciu zatoki bieleją jedynie na zboczach zacienionych gór domki wiosek, widać długą, czarną sylwetkę więzienia i zalotne budowle zakładu kąpielowego Iunokawy, gdzie mają zwyczaj kąpać się razem wesołe „giejsze“ i miejscy dandysi. Już nic nie widać, jeno zielonawo-płowy wnęk wyniosłego brzegu, nad perłowym wody roztoczem i na rogach jego z jednej strony strome, malachitowe wiszary „Spoczywającego Byka“, za które schowało się miasto, a z drugiej z poza

gór, wygląda różowy, niezrównany w swych linjach i cieniach krater „Komagatakie“. Fale tłuką się o spadające wprost do wody głazy „Spoczywającego Byka“, zaś wydrążony stożek Komagatakie, rysując się wyraźnie na błękitnym niebie, ginie spodem, śród mgieł liljowych. Oba wyglądają tak uroczo, a jednak oba kryją pioruny. Komagatakie wybuchał w 1856 r.; zaś na wygładzonym wierzchołku „Spoczywającego Byka“ uważne oko dostrzeże bez trudu ślady ludzkiej ręki. Samotne słupy telegraficzne, wybiegłszy na krawędzie skał, ostrzegają, że tam czuwają zatajeni ludzie, że proste linje wiszarów — to brzegi blanków i szańców. Zresztą każdy wie, że tam jest groźna forteca, uzbrojona w ciężkie działa, że cała zatoka podminowana jest torpedami i parowiec nasz płynie po ludzkim, zalanym wodą wulkanie. Forteca stoi na tym samym miejscu, skąd w roku 1868 działa zwycięskiego mikada, z wielką zręcznością i wysiłkiem wciągnięte z nieprzystępnej strony na wierzchołek góry, zgromiły twierdzę zbuntowanego dajmiosa Ino-moto. Twierdza stała wówczas na dole, tam, gdzie obecnie doki, i broniła wejścia do portu.

Obecnie znów wojna wisi nad wyspą i serce boleśnie zamiera, przysłuchując się głuchemu biciu fortecznych armat, strzelających do celu. Jakoś umysł nie chce wierzyć, aby w tej czarownej okolicy mogła płynąć krew, aby pułki walczących ludzi znów paliły domy, poniewierały wdzięczne kobiety z kwiatkiem we włosach, mordowały skrzętnych, zabiegliwych pracowników.

Statek nasz wybiegł na środek cieśniny, i długie, majestatyczne fale oceanu Spokojnego zaczęły go mocno kołysać. Mżył deszcz przy słabym ale zimnym wietrze. Schroniłem się do kajuty. Wkrótce przyszedł mnie odwiedzić Amerykanin, z którym zaznajomiłem się w Sapporo. Miał tylko jedną nogę, ale dawał sobie dzielnie radę z kulami nawet na obślizgłym i kołyszącym się pomoście. Szukał przez trzy lata nafty na Hokkaido, ale znalazł jej zbyt mało, by przedstawiała „business“. Choć źródła nafty na Hokkaido należą do rzeczy mniej fantastycznych niż na Sachalinie, lecz dotychczas nie znaleziono jej wytrysków. Są jednak obfite jej ślady, gdy tymczasem mówiono mi, że na Sachalinie trzeba dla pocieszenia akcjonarjuszów nalewać do wierconych dziur nafty, kupionej w miejskich składach. Praktyczny, kulawy Amerykanin pogodził się w porę ze stratą i wycofał z interesu, zostawiając odkrycie trafowi.

Deszcz padał coraz większy. Szaruga zasnuła zupełnie brzeg przeciwny, i nie widziałem na odjezdnym olbrzymiego „Osoresan'a“ — „Góry Przerażenia“.

W Aomori cztery godziny spędziłem w hotelu w towarzystwie Japończyka, którego dwa okręty były właśnie schwytane przez okręt wojenny rosyjski na morzu Ochockim i skonfiskowane. Twierdził, że niesłusznie, że miał wykupione świadectwa, że miał wszystkie papiery w porządku. Pochodził z południowej Japonji, z Kang, gdzie posiadał dom, ziemię, gdzie mieszkali jego rodzice i krewni. Ale sam przeniósł się już był dla interesów do Hakodate

z żoną i dziećmi i prowadził rybołówstwo w szerokich rozmiarach na Hokkaido i Sachalinie. Mówił o swej stracie — a oceniał ją na 20.000 jenów — bez goryczy, jak mówi się o pożarze, gradobiciu, powodzi. Otaczał mnie uprzejmą opieką, choć miał mię za Rosjanina.

Wogóle Japończycy znają tylko „polityczne“ narodowości oraz najbliższych swoich sąsiadów. Wszystkie narody romańskie: Włochów, Hiszpanów, Rumunów, Portugalczyków uważają za Francuzów; Szwedów, Duńczyków, Szwajcarów—za Niemców; wszystkich Słowian — za Rosjan. Ale jednocześnie rozróżniają Amerykanów od Anglików, oraz wiedzą coś niecoś o Holendrach, ponieważ ci w dawnych czasach uważani byli za wasalów Japonji i na tej wyłącznie zasadzie dopuszczani do handlu z Japończykami.

Spotykałem wprawdzie wykształconych Japończyków, którzy wiedzieli coś niecoś z historji Polski, lecz takich bardzo mało. Nie istniejemy w wyobraźni tego ludu, i zawsze miałem na poczcie kłopot z listami rekomendowanemi do Warszawy, których nie chciano przyjmować, gdyż „takiego miasta niema“. Dopiero mozolne poszukiwania w grubej księdze „pocztowego żywota“ i wykrycie, że istnieje tam pewne miasto, zapisane jako „Warschau“, dawało mi broń do ręki, choć znowu musiałem staczać walkę, aby nie pisano „Germany“, gdyż we wszelkich spisach i tablicach na Dalekim Wschodzie Niemcy zabrali nas już sobie zupełnie, a przedewszystkim Łódź i Warszawę.

Okropnie zabiegliwy naród!

W Aomori zaczyna się kolej żelazna.

Byłem znużony i wyznaję, że bałem się już jakichkolwiek zajść, zatargów i nieporozumień, a nawet styczności z ludnością z północnych prowincji, podrażnionych grozą wiszącej w powietrzu wojny. Nie wszyscy są tu tacy uprzejmi, jak ten kupiec z Kang. Wziąłem więc bilet pierwszej klasy, miejsce sypialne i ruszyłem pociągiem nocnym. Wagony japońskie są nieduże, ale bardzo starannie utrzymane, przyzwoite i dość wygodne. Nasz wagon podzielony był na dwie części: jedna miała posłania, druga była salonikiem czyściuchnym, skromnym, ale gustownie urządzonym. Do niego przylegał bufet, gdzie za trzydzieści kilka kopiejek dostałem wyborną europejską wieczerzę z leguminą i deserem.

W Japonji pierwszą klasą jeżdżą wyłącznie cudzoziemcy, oraz miejscowa arystokracja, dygnitarze lub wyżsi urzędnicy. Nawet bogaci kupcy i przemysłowcy nie odważają się wsiadać do tych wagonów, nietyle przez oszczędność, co, prawdopodobnie, ze zwyczaju, pozostałego z niedawnej przeszłości, kiedy nawet materjał i forma odzieży była dla rozmaitych klas prawem przepisana, i podział był pilnie przestrzegany.

W przedziale zastałem jakiegoś Japończyka, który pośpiesznie zdzierał z siebie europejskie ubranie, aby wciągnąć lekkie, powiewne japońskie „kimono". Gdybym miał takie, sam byłbym wdział. W głębi wyspy wciąż je nosiłem, gdyż jest to odzież bardzo prosta i wybornie zastosowana do tutejszego gorą-

cego, wilgotnego klimatu. „Kimono“ jest wcale przyzwoitym strojem, choć człowiek czuje się w nim, jakby cokolwiek „nieubranym“. Zszyty jest z prostych, całych sztuk materji, której wcale nie tknęły nożyczki. Zwieszające się, kwadratowe rękawy przedstawiają małe woreczki, które wybornie zastępują kieszenie. Nosiłem w nich nawet rewolwer. Piękne panie trzymają w tych rękawach chusteczki do nosa, wachlarze, flakoniki, łakocie, słowem, cały buduar. Taki rękaw ma jeszcze tę wielką dogodność, że bardzo łatwo wciągnąć w jego otwór rękę, pogrzać palce pod pachą, gdy zmarzły, lub złapać jakiego dokuczliwego owada, których moc w tym kraju, błogosławionym dla wszystkiego, co żyje.

Lud prosty nie nosi w lecie nic, prócz „kimono“ i... wąziutkiego pasa wstydliwości. Kobiety, zamiast tego pasa, owijają dokoła bioder sztukę czerwonej tkaniny. Bogaci wdziewają na ciało krótką koszulkę i obszerną spódnicę, zszytą pośrodku w kształcie szarawarów. Jest to ubiór galowy; szarawary znaczą tyle, co u nas frak. Niegdyś na dworach cesarskich oraz u dajmiosów używano długich, niezwykle sutych szarawarów, których końce wlokły się daleko po ziemi. „Kimono“ opasuje się pasem, za którym noszą Japończycy zegarki, notesy, portmonetki, papierośnice i nie gubią ich nigdy. Kobiety mają dwa pasy, jeden wązki dla podtrzymania odzieży, drugi dla ozdoby, zawsze ładny, malowniczy, szeroki, zadzierzgnięty na plecach w wielką, ukośną kokardę bez końców. Zwie się on „obi“ i stanowi główną

chlubę i troskę japońskiej strojnisi. Na nogach drewniane sandały na wysokich podstawach.

Ubranie Japończyków jednostajne, zazwyczaj ciemne, krojem i kolorem wcale się nie różni w rozmaitych okolicach kraju.

Mój towarzysz podróży nosił europejskie obuwie i bieliznę. Idąc spać, zrzucił wszystko i wdział jedynie jasne, nocne „kimono". Robił to zupełnie otwarcie przy mnie, gdyż w Japonji na nagość inaczej się zapatrują, niż u nas.

Pamiętam, jak raz w Omaba, zwiedzając siarczane kąpiele, wszedłem wypadkiem do żeńskiego przedziału i znalazłem się wśród grona młodych „jo" i „muśme", pozbawionych nawet figowego listka. Okazało się, że tylko ja sam się zmieszałem; one, nawet nie mrugnąwszy okiem, ubierały się dalej. Na brzegu tymczasem policjant spędzał opryskliwie gołych, muskularnych gentlemanów, którzy wyszli z łaźni pogapić się na nasz parowiec. Jestem pewny, że zrobił to na żądanie szczapowatych Angielek, które były przyjechały ze mną.

Choć byłem bardzo zmęczony, nie mogłem długo zasnąć. Pociąg rzucał się, kołysał, trząsł na zakrętach i zjazdach, jak wściekły, gdyż Japończycy jeżdżą szybko, a koleje mają pobudowane po takich wertepach, jakie znaleźć można jedynie we Włoszech lub Szwajcarji.

Myślałem wciąż jednak z rosnącą radością, że z każdą wiorstą przebytą jestem bliżej kraju...

---

20 września 1903 r.

Szaro-zielony brzask przedarł się przez spuszczone story wagonu i obudził mię. Był szary od dżdżu, zielony od niesłychanie bujnej roślinności, pokrywającej przebiegane przez nas okolice. Już co prawda, to prawda, że roślinom chyba najlepiej w Japonji: mają słońca i wilgoci pod dostatkiem. Stąd pewnie płynie wielka sława tutejszych ogrodników, którzy przesadzają drzewa i duże i małe bez żadnej ceremonji, kaleczą je, gną, wykręcają bezkarnie... Ale w tym cudownym powietrzu można z drzewami robić, co się chce, a one nie umrą. Tu pozostały gatunki, które już dawno wyginęły lub scherlały na całym świecie. Patrząc na potworne drzewa kamforowe, na olbrzymie, jak skały, pnie widłaków, przedstawiamy sobie dopiero, czym były lasy przedpotopowe. Łatwo w nich było błądzić mamutom, bo wyglądały jak myszy!

Północną część Niponu, słynną ze stad koni i bydła, których dostarcza dla całej nieledwie Japonji, przebyliśmy w nocy. Są tam obszary, wywłaszczone przez rząd na pastwiska dla stadnin rządowych, koło Sambongi, Koma, Szimboda. Przelecie-

liśmy moc długich i krótkich tunelów i jeden niezwykle wielki koło „Iczi-no-hi“, z którego wylotu otwiera się śliczny widok na górę „Szju-no-matsu-jama“, unieśmiertelnioną w zwrotce japońskiego poety:

Kto, ślubując kochać wiecznie,	Czigiriki na
Obiecuje kochać,	Katami ni sode wo
Póki grzywy morskiej fali	Szibori tsutsu
Nie przepłyną Szju-no-matsu,	Szju-no-matsu jama
Ten ślubuje kochać wiecznie...	Nami, konasai to wa...

Znałem tę drogę, gdyż, jadąc do Hokkaido, przebywałem ją we dnie. Chętniebym jednak obejrzał po raz wtóry. Pamiętam, że uderzyła mię naówczas wielka ilość drewnianych dachów na palach i szop, zbudowanych dla ochrony linji kolejowej od śnieżnych zawałów. Pociąg leciał szybko, mijając pomniejsze stacje. Gdym siadł do śniadania, konduktor wywołał „Sendaj“, wielkie miasto, leżące na pół drogi do Tokjo, stolicę prowincji Rikuzen, niegdyś siedlisko najpotężniejszych na północy dajmiosów, Dajt Mutsu-no-Kami. Sendajczycy słyną z wierności, są uważani za dobrych urzędników i żołnierzy. W Sendaj jest dużo chrześcijan, przeważnie prawosławnych.

Gdy pociąg ruszył dalej, z żalem patrzałem na piękne, ciekawe miasto, w którego okolicach znajduje się słynna świątynia „Żywego Lisa“, pragnąłem i postanowiłem ją zwiedzić, ale nie mogłem tego zrobić teraz wskutek „zmienionych okoliczności“...

Pola ryżowe bez końca — bure od dojrzewają-

cych kłosów, żółte już, dojrzałe i jeszcze zupełnie zielone. Każde oramione ciemnym szlakiem bobu, albo innej rośliny ogrodowej. Niektóre gęste, aż się pokładły od ulew i ciężkiego ziarna. Mówią, że ten rok dla ryżu urodzajny. Na rzadszych niwach, z pod lasu zbóż przebłyskują ukryte wody. Czasami, zamiast bobu, opasują pola szeregi wysokich, trzcinowatych „kibi“, rodzaju prosa — „czarnego ryżu“, jak mi go nazwał Japończyk. Dużo też pól porasta kukurydzą, i coraz częściej przesuwają się przed lecącym pociągiem plantacje młodej jedwabnicy.

Wjeżdżamy w okrąg Fukiszima, ognisko jedwabnictwa. A ot, i samo miasto Fukiszima ze starym zamkiem rodziny Itakura i wulkanem Azumajama w oddali. Wulkan wybuchał niedawno, w 1893 r., zabił i pokaleczył około 80 górników, pracujących w kopalniach siarki, przysypał też popiołem na 5 stóp wysokości okolicę na odległość półtorej mili. Dajmiosi, dawniej również bardzo wybuchowi, stali się o wiele mniej groźni. Mieszkają przeważnie wszyscy w Tokjo, gdzie odcinają spokojnie kupony od obligacji, otrzymanych za swe przywileje. Siedliska ich dymią się obecnie nie od ogni obozowych, lecz od kominów fabrycznych, których liczba szybko wzrasta i bardzo szpeci piękne krajobrazy Japonji.

Fukiszima należy do takich zadymionych miast, których już od samego Tokjo ciągną się całe szeregi. Fabryki są to przeważnie przędzalnie jedwabiu. Z pomiędzy nich miasteczko Akabane wydało mi się najbardziej fabrycznym.

Pociąg biegł, zatrzymując się tylko na znacz-

niejszych stacjach. Robiło się ciepło, parno... Czuć było, że biegniemy szybko na południe. Znać to było i po roślinności coraz rozmaitszej i rozkoszniejszej. Wśród jasnych pól ryżowych, koło białych i szarych domków kupiły się całe kępy drzew owocowych, gruszek, jabłek, słodkich kasztanów, orzechów, granatów, fikusów oraz tuj ciemnych, wspaniałych widłaków, cisów i cyprysów japońskich. Wszędzie piął się bluszcz, a na skałach rosły ogromne, ażurowe paprocie. Wkrótce okolice przeistoczyły się w jeden śliczny, dobrze uprawny ogród, gdzie mieszały się z sobą winnice i plantacje brzoskwini oraz moreli, rozpiętych szeroko na altanowatych rusztowaniach. Do kwater jakichś nieznanych mi, łopianowatych roślin jadalnych wcisnęły się działki równie szerokolistnych, wybujałych lotosów, dla kwiatów hodowanych na sprzedaż. Widziałem również dużo kawonów, melonów i wreszcie masę rzodkwi i olbrzymiej, pysznej cebuli. Koło domów, z za ogrodzeń strzelały wysoko w górę ogromne, jasno-zielone, podłużne liście bananów i ciemne, wielopalczaste wachlarze palm, coraz częściej wysuwających się z kup wzorzysto przetykanej gęstwiny ogrodów. Gdzie zaś czernił się gaj starych, krzywych sosen, tam napewno stał rząd „tori“, a w głębi ślicznie rzeźbiona, z dachem wygiętym, jak damski kapelusik, buddyjska lub szintojska świątynia. Często również widziałem wśród pól małe, dobrze mi znane kapliczki „Lisa“, opiekuna pól ryżowych i władcy obłąkanych. Gdym się bliżej przyjrzał życiu wieśniaków

japońskich, zrozumiałem, dla czego go tak czczą i tak się lękają...

Ten lud nerwowy i wrażliwy łatwo podpada obłędowi, ryż zaś jest dlań wszystkim, i sprawiedliwie zwą się sami Japończycy „ludem z granic dojrzewania ryżu“. Stąd to tak gwałtownie pchają się Japończycy do Korei i na Filipiny, choć mają mało zaludnione, śliczne Hokkaido z klimatem Europy środkowej. Lecz łatwiej nawet wyemigrować, niż zmienić sposoby gospodarowania: do tego potrzebne nietylko pieniądze, ale i wiedza, która nawet wyłożona w szkole, nie może zastąpić rutyny zaczerpniętej w dzieciństwie przez pracę na roli, razem z rodzicami.

Tu nic nie pomogą żadne rozumowania: wieśniak japoński pragnie i umie uprawiać jedynie ryż, a pszenicę, jęczmień i żyto ledwie poznawać zaczyna. Obszar pól ryżowych nie może być już zwiększony we właściwej Japonji, kultura jego posunięta została do ostatnich granic... Pola ryżowe w Hokkaido z wielkim mozołem i stratą czasu trzeba zdobywać z pod osuszonych moczarów... Tymczasem ludność wzrasta, a choć Japończyk bardzo niechętnie porzuca na zawsze ojczyznę, lecz musi, bo mu tu za ciasno. Rzecz więc zrozumiała, że pcha się do sąsiedniej Korei, zbliżonej klimatem i posiadającej wyborne, nie wyzyskane jeszcze pola ryżowe. I nie tyle może nawet chodzi Japończykom o te pola ryżowe, co o sam ryż, o żelazo, o złoto korejskie, t. j. o możność wymiany ich na własne towary. Oto źródło kwestji korejskiej, z powodu

której ważą się teraz losy wielu ludzi żywych, a na śmierć skazanych...

Ta kwestja ma jeszcze inną stronę.

— „Ktokolwiek weźmie Koreję, chwyci nas za gardło! — mówią zupełnie słusznie Japończycy. — Żaden nasz okręt nie będzie mógł przemknąć się obok półwyspu bez pozwolenia jego władców, a przecież... my tyleż prawie mieszkamy na morzu, co na lądzie!"

To prawda. Dość przepłynąć kilka razy o wschodzie słońca wzdłuż brzegów Japonji, dość widzieć tę armję białych żaglowców, ten wieniec setek tysięcy statków, łodzi, łódeczek, odbijających codzień od wysp archipelagu, aby zrozumieć, że są oni istotnie ludem ziemno-wodnym, i swoboda żeglowania jest dla nich warunkiem życia lub śmierci... Ryba, ryż i handel morski — są to trzy najważniejsze ostoje ekonomiczne tego ludu...

Dodam, że Japończycy lękają się niezmiernie... nieustannej ekspansji rosyjskiej.

— Zabierze Rosja Koreję, zechce wziąć Japonję!... — dowodzili mi stale.

Nie pomagały dowodzenia, że to rzecz bardzo wątpliwa, że z Japonją miałaby Rosja jedynie wielki kłopot. Wyliczali cały szereg przesunięć granicy rosyjskiej w czasach ostatnich.

— O, nie!... Nie zgodzimy się za żadną cenę na zabór Korei. Póki wargi całe, póty zęby całe!... — słyszałem, jak odpowiadali rozmaici działacze japońscy na pokojowe zapewnienia konsula hakodackiego.

21 września. Tokjo.

Miasto ogromne, z ulicami tak szerokiemi, jak gdyby chodzić po nich mieli nie mali Japończycy, lecz potomkowie cyklopów i oceanid... Kanały pełne cuchnącej wody morskiej, na nich rój łodzi, wielkich statków i parowców. Nie będę opisywał Tokjo... Ciągły deszcz. Brzydko. Wrócę tu jeszcze 3 października, na święto Chryzantem i opowiem, co wtedy zobaczę.

---

22 września.

W drodze z Tokjo do Nagasaki.

Tym razem pojechałem drugą klasą. Wolę jeździć drugą klasą: tu więcej życia i... Wschodu. Jeździłem już trzecią, ale tam już tego... Wschodu za dużo, w dodatku często się trafiają pijani europejscy majtkowie. Stąd zwady, w których i spokojny podróżny może coś oberwać. Przyznać muszę, że nieszczególnych europejskich przedstawicieli poznaje szeroki ogół Wschodu.

W wagonie było pełniutko. Miejsce dostałem złe i noc spędziłem niewygodnie, pół drzemiąc, przytulony w kącie. Japończycy jednak spali wybornie. Przyzwyczajeni do ciasnoty swych małych domków, do ciągłego podwijania pod siebie nóg, gdyż krzeseł nie mają i siedzą na ziemi, na matach, umieją jakoś skręcać się w kłębek i zajmować niezwykle mało przestrzeni. Naprzeciwko siedziała Japonka z dzieckiem i sługą. One nóg prawie nie spuszczały z siedzenia, załatwiając wszystko na wąziutkiej, kolejowej ławce: jadły, piły, spały, przebierały się. Malec biegał od matki do niańki i, choć miał już lat ze cztery, widziałem, jak ssał pierś matczyną,

kąsał ją i całował ze śmiechem, wywołując wyraz błogości na twarzy Japonki. Wcale nie krępowała się obecnością mężczyzn, choć była dość młoda i ładna; sądząc z ubioru i obejścia, należała do klasy zamożnej i musiała być „postępowa“, gdyż nie miała uczernionych zębów. Jedynie od mojej strony naciągała cokolwiek „kirimon“ na obnażone ciało. Malec też, spotkawszy się wzrokiem ze mną, marszczył brwi i śmiać się przestawał. W jego dziecięcym spojrzeniu czytałem ten sam wyraz oburzenia i niepokoju, jaki nieraz zauważyłem w głuchych kątach Japonji u dorosłych i który znaczył mniej więcej:

— Co to jest? Ten barbarzyńca śmie wędrować po naszej świętej ziemi japońskiej i uchodzi mu to cało? Koniec świata!

Należy pamiętać, że cała Japonja otwarta została dla cudzoziemców zaledwie kilka lat temu, a przez wieki nie wpuszczała ich w swe granice pod grozą śmierci. Wtenczas każdemu wolno było bezkarnie zabić białego. Strach przed niemi i nienawiść ku nim, wpajana przez księgi i kapłanów, wżarła się tak głęboko w duszę Japończyka, że nawet stłumiona przez wykształcenie i pobyt w Europie, śpi na dnie serca w postaci głębokiej nieufności i łatwo przechodzi w odrazę. Niech ukształceni Japończycy nie przeczą temu, bo tak jest; niech będą szczerzy, tymbardziej, że myślę o tym bez gniewu, lecz z ubolewaniem, gdyż to czują prawie wszystkie ludy względem siebie i jest to wielką etniczną przeszkodą w zbrataniu się ludów.

Ale w drobiazgach Japończycy są z Europejczykami bardzo „grzeczni“, więcej nawet, niż między sobą. I tym razem w wagonie znalazł się jakiś młody Japończyk, doskonale mówiący po angielsku, który wziął mię pod swoją opiekę. Był to inżynjer; skończył uniwersytet w Ameryce i mówił, że tu w Japonji jego interesem jest węgiel. On słyszał o Polakach i zauważyłem, że tłómaczył moje pochodzenie otoczeniu, uważającemu, jak wogóle Japończycy, wszystkich Słowian za Rosjan... Jego obszerne opowiadania o Polsce były poniekąd koniecznym wytłómaczeniem okazywanej mi sympatji. Zauważyłem wszakże, że większość te opowieści traktuje dość sceptycznie...

. . . .

Na kilka dni przedtym, dnia 17 września, odbyło się w Sendaj narodowe zgromadzenie — wiec, poprzedzony następującym, powtórzonym przez wszystkie gazety wezwaniem:

„Od chwili, gdyśmy oddali Sachalin za wyspy Kurylskie, doświadczyła Japonja ze strony Rosji nieprzeliczonego szeregu zuchwalstw i nadużyć.

Gdy po wojnie 27—28 r. Mejidżi rząd chiński zgodził się ustąpić nam prawnie zawojowane ziemie, Rosja doradziła nam zwrócić Pekinowi półwysep Laoduński w interesach pokoju na Wschodzie (równowagi). Miłościwy nasz cesarz raczył uwzględnić rady Rosji; lecz naówczas ona sama zajęła opuszczone przez nas terytorjum, jako wieczystą dzierżawę, wywołując w ten sposób rozruchy na Wschodzie. W czasie chińskich rozruchów w 32 r.

wszystkie mocarstwa zgodnie zabiegały o przywrócenie spokoju, z wyjątkiem Rosji, która własne przeprowadzała zamiary, zajęła część Mandżurji i w ten sposób zapoczątkowała podział Chin. Ona zawsze zachowywała się tak, jak gdyby poza nią nikt nie istniał na świecie. Obowiązek sprawiedliwości nie pozwala dłużej godzić się z takim postępowaniem. Chociaż Rosja obiecała innym państwom opuścić Mandżurję, nie uczyniła jednak tego, owszem wzmacnia tam i gromadzi obecnie swoje morskie i lądowe siły. Nie odpowiada na nasze pytania, uchyla się, kręci, a Pekinowi proponuje coraz inne projekty przymierzy. Co za oszustwo!?... Co za niesłychane zuchwalstwo!... Nasze państwo nie powinno dłużej znosić podobnego stanu rzeczy ze względu na wspomniany powyżej wieczny pokój Wschodu, ze względu na honor i interesy naszego państwa. Dla tego postanowiliśmy zwołać zebranie północno-wschodniej sekcji związku „Tajro-Dosikaj“ i przedstawiamy mu do obrad następujące rezolucje:

1) Obecne postępowanie Rosji nie jest niczym innym, jak milczącym wypowiedzeniem wojny. Ustępstwa cesarstwa japońskiego i tym razem zagrożą silnie równowadze pokojowej na Wschodzie i okażą się niezmiernie szkodliwe dla czci i spraw samego cesarstwa. Rząd powinien niezwłocznie przedsięwziąć stanowcze i ostateczne środki.

2) Uznajemy działalność związku „Tajro-Dosikaj“ za pożyteczną i właściwą i będziemy popierali ją całemi siłami“.

Na wiec przybyły deputacje prowincji północno-

wschodnich (Mijaki, Fukiszima, Jamagata, Akita, Ywade, Aomori), należących do stowarzyszenia „Tajro-Dosikaj“. To stowarzyszenie powstało niedawno w Tokjo: składają je głównie stronnicy partji politycznej „Sinpo-to“; przewodniczy im p. Okuma oraz inni stronnicy księcia Konoj. Jest ono gałęzią stowarzyszenia „Domej-kaj“ i ma na celu utrzymanie niezawisłości Korei, nietykalności Chin i wzmocnienie samoistnego bytu cesarstwa Japońskiego.

Na zebraniu tym było obecnych ogółem przeszło 3000 osób; wygłoszono cały szereg mów, o których charakterze można sądzić z następującego urywku, zaczerpniętego z dziennikarskich sprawozdań:

P. Siratori: Rosja jest złym państwem i jeżeli jej obecnie nie wstrzymamy, zniszczy nas!

P. Macuda-Rikini: Pokój na Wschodzie zależy od Japonji. Nienawidzimy Rosji, jako wroga wschodniego pokoju. Jeżeli mamy uchylić się obecnie od walki z nią, to pytam: po co w takim razie utrzymujemy flotę o pojemności 250.000 ton oraz 13 dywizji wojska?

P. Sakuraj: Musimy bronić całości Chin!

P. Nomoto: (bardzo namiętnie) Nie czas gadać, pora działać. Dla czego rząd zwleka nieoględnie!?

P. Kuronaga: Wojna z Rosją!

P. Sato: Nie potrzebujemy żadnych ostatecznych decyzji!... Powinniśmy wprost ukrócić nadużycia Rosji!

P. Forij: Jeżeli nie zniszczymy Rosjan, to oni zniszczą nas!... Historja poucza, że zawsze narody północne gnębiły południowych sąsiadów. Należy

bronić się od ludów północnych!... Konieczność zmusza nas uciec się do środków stanowczych!

P. Saawa-Rajtaro: Związek „Tajro-Dosikaj“ jest odłamem klubu „Kokumin-Domejkaj“ (klub księcia Konoj), a więc dąży do zachowania niepodległości Korei oraz nietykalności Chin; do wzmocnienia samoistnego rozwoju Japonji... Ostatnie czyny Rosji grożą całości Korei i Chin. Cały naród japoński powinien pośpieszyć z pomocą państwu!

P. Kudo-Kokan: Żądamy środków ostatecznych!

W końcu zebrania nadeszła depesza od księcia Konoj:

„Wyrażam uznanie Sendajskiemu zebraniu za energję, z jaką wypowiedziało usilne żądanie ludu i pewien jestem, że będzie to miało wielki wpływ w kwestji Wschodniej“.

Członkowie partji „Sej-ju-kwaj“ markiza Ito nie uczestniczyli w zebraniu.

Podobne zebranie, tylko o wiele liczniejsze, ma odbyć się w Tokjo 6 października, w dzień naznaczony przez Rosję dla wycofania wojsk z Mandżurji, w terminie powszechnie tu przypuszczalnego... wypowiedzenia wojny.

23 września.

Po nieprzespanej nocy pocieszył mię śliczny poranek. Minęliśmy wielkie miasta Kjoto, Osaka. W Kobe zmiana pociągów. Dostałem się do pięknego, widnego wagonu, lecz ciasno zapełnionego podróżnemi. Do tego wagonu weszła także bardzo ładna i młoda Angielka z chorym ojcem. Zajęła niewygodne miejsce, ale nie chciała go zamienić na proponowane przeze mnie. Widziałem pewne zdziwienie na twarzach Japończyków, którzy zrozumieli treść naszej rozmowy. Zwłaszcza dziwił się mój sąsiad, kupiec jedwabiu z Osaka, który zdążył się już ze mną zapoznać i „wprawiał“ się w te kilka angielskich wyrazów, które umiał. Wyglądało to dosyć zabawnie, gdyż najczęściej powtarzał pytanie: „do you speak english?“ ponieważ wymawiał je najlepiej. Pytał mię, co ja chciałem od tej młodej kobiety i czy ją znam. Zauważyłem, że Japończycy o wiele są uprzejmiejsi względem mężczyzn, niż kobiet. Damy japońskie zwykle idą w tyle o jakie pół kroku i więcej za swemi mężami; przy spotkaniu zawsze z drogi ustępuje kobieta. W teatrze one zajmują gorsze miejsca i nigdy nie biorą udziału

w żadnych ucztach i przyjęciach z mężczyznami. Nawet w domu jedzą osobno i to dopiero, jak nakarmią i napoją „koronę stworzenia“. A przecież są o wiele milsze, subtelniejsze, rozumniejsze od tej „korony“. Nawet pewien zażarty nieprzyjaciel Japończyków mówił, że ludzkość nicby nie straciła, gdyby nagle zniknęli wszyscy Japończycy, lecz straciłaby bezwarunkowo, gdyby wraz z niemi zniknęły Japonki. Nie są one ładne, lecz mają dużo wdzięku, są łagodne, spokojne i wyrozumiałe. Do zamążpójścia korzystają z wszelkich swobód, chodzą, gdzie chcą, nawet romansują, co nie przez wszystkich jest uważane za przestępstwo.

— Moja żona miała dwunastu kochanków, ale dzieci miała dopiero ze mną! — mówił zupełnie spokojnie pewien przyzwoity Japończyk w rozmowie o przyczynach płodności lub bezpłodności małżeństw.

Po ślubie wszystko się zmienia; Japonki są bardzo wiernemi żonami. W domu rządzą wszystkim mimo pozorną uległość, okazywaną mężowi. Majątkowo i prawnie nie są od niego bardzo zależne. Mają swoją własność i nie są wobec męża tak bezbronne, jak Francuzka lub Polka. Ale i tu czuć Wschód pod ludzkim poszyciem: za niewierność mąż ma prawo żonę wygnać natychmiast, nawet wsadzić ją do więzienia; kobieta nie ma prawa żądać rozwodu nawet w razie jawnej niewierności męża. Wogóle u Japończyków nie istnieje pojęcie o niewierności mężczyzn, którzy otwarcie nieraz trzymają nałożnice w domu. Wymieniono mi zna-

nego kupca w Hakodate, który w każdym nieledwie mieście, gdzie bywa, ma dom a w nim żonę... W Hakodate zaś, gdzie mieszka stale, ma ich kilka.

— Zazdrosna żona jest gorsza, niż brak żony — powiedział mi wesoło japoński miłośnik kobiet.

— Tak się to już ułożyło, że Japonki (czyż tylko Japonki?!...) patrzą przez szpary na stosunki mężów z giejszami, na ich wycieczki do... Josziwara wszelkiego rodzaju. Dopiero, gdy stosunki te grożą znacznym nadwerężeniem majątku, występują one w obronie bytu swego oraz dzieci i prawo bierze je naówczas pod swą opiekę! — pouczali mię znawcy Japonji.

Z Kobe pociąg biegnie samym brzegiem Śródziemnego Japońskiego morza, które jest ładne, ale nie do tego stopnia, jak je opisuje Kipling. Przepłynąłem je na parowcu, a nawet miałem małą przygodę, gdyż w najwęższym przesmyku o mało okręt jakiś nie wpadł na nasz statek. Ryki ogłuszające syreny, dzwonki, przejmujące sygnały kapitańskiej piszczałki, tupot biegnących nóg, brzęk łańcuchów, drżenie wstrzymanego nagle i cofniętego kontrparą statku, następnie cisza. Wszyscy, rozumie się, wylegliśmy na pokład. Na skałach poblizkich brzegów pełgały czerwone łuny płonących u wody majaków. Gorzał tam cały szereg ogromnych beczek z naftą i wyglądało to wszystko złowrogo, jak pożar. W krwawym zmroku, wśród krwawo połyskujących wód, o kilkanaście zaledwie sążni od nas, kołysał się czarny, wyniosły dziób wielkiego parowca i, chyląc się, łypał na nas szeregiem oświetlonych okien kajuto-

wych. I tam też widać było niepokój: zielone, czerwone i niebieskie światła latarni sygnałowych migały trwożnie na masztach.

Miejsce było wązkie, kręte i statki się nie spostrzegły na zwrocie. Po niejakim czasie ruszyliśmy dalej a winowajca pozostał na kotwicy w cieniu wysokiej góry. Pasażerowie rozeszli się bardzo zadowoleni z niebezpieczeństwa, które już minęło, a którego nawet „nie było“, jak twierdził kapitan. Wnoszę ze słów niektórych, że nie rozumieli całej grozy położenia. Patrząc na spienione fale, bijące w strome oślizgłe skały, na wartki prąd, widziałem jasno, że nikt z nas by stąd cało nie uszedł i długo stałem na pokładzie, myśląc o kraju. W parę tygodni potym przeczytałem w gazetach, że niedaleko od tego miejsca poszedł w podobny sposób na dno japoński parostatek, wiozący kompanję „giejsz“, wracających z Osaka, gdzie tysiąc ich brało udział w religijnej procesji tysiąclecia jednej ze świątyń. Szesnaście dziewcząt i wielu innych podróżnych utonęło i nawet ciał nieszczęśliwych nie znaleziono. Kogo woda nie zalała odrazu, tego bałwany rozbiły o głazy. Prądy tu zdradliwe i skały nieprzystępne. Zato wyglądają bardzo malowniczo. Na wierzchołku jednej z nich, ostrej jak igła, samotnie wznoszącej się wśród zatoki, niedaleko Kobe stoi śliczna, mała latarnia morska, podobna do orlego gniazda.

Kolej wciąż biegnie, mając z jednej strony perłowe morze, a z drugiej pola ryżowe bez końca. Pewnie to już drugi zbiór ryżu, gdyż widziałem na północy łany o wiele dojrzalsze. Ponieważ kompost

rybi staje się coraz droższym, Japończycy próbują zastąpić go inną mierzwą: bobowemi wytłokami oraz zielonym nawozem. W tym celu zasiewają na zimę pola ryżowe koniczyną, którą następnie przyorują. Sadzą też i inne rośliny, ale wszystko to nie może zastąpić śledziowego kompostu, który daje najwyższe gatunki ziarna, najzwięźlejsze, najobfitsze i najmniej obsypujące się kłosy, oraz słomę trwałą, niełatwo pokładającą się od wiatru i deszczu. Ponieważ znaczną ilość takiego kompostu nabywa Japonja od Rosji z Sachalinu, gdzie są nieprzebrane połowy śledziowe, stąd wyłania się nowa strona stosunków rosyjsko-japońskich, pewna ekonomiczna zależność Japonji od Rosji, skłaniająca do zgody i mogąca dać dobre rezultaty dla obu państw, gdyż Japonja przedstawia doskonały rynek dla rosyjskiego rybołówstwa, poczynającego rozwijać się na pobrzeżach oceanu Spokojnego. Lecz czy Rosja zechce się z temi względami liczyć? Japonja zaś jest dość zawziętą, aby, w razie doznanej krzywdy, albo zamknąć swe rynki dla towarów rosyjskich nawet ze szkodą dla siebie... Przecież przez setki lat była niedostępną dla wszystkich cudzoziemców. Albo...

Lecę przez te pola wychuchane, przez te okolice pełne ładu, zamożności i prastarej kultury, mijam porządnie zabudowane miasta, wioski śliczne i oddzielne kolonje, widzę gładkie, równe drogi, wysadzone krzywemi sosnami „matsu“, malowniczo odbijającemi na błękitnym tle morza gmachy szkolne, które tu wszędzie są najokazalszemi budynkami, patrzę na współtowarzyszów podróży, przeważnie

pogrążonych w czytaniu książek i gazet, a znając poszanowanie Japończyków dla prawa i ich chciwość wiedzy, wspominam jednocześnie inne wsie, inne miasta i inne obszary...

Widoki z okien otwierają się coraz piękniejsze. Próbuję niektóre fotografować w biegu. Aparat fotograficzny w rękach cudzoziemca bardzo jest nieprzychylnie widziany przez ludność miejscową. Moje próby wywołują sensację. Stary jegomość z vis-à-vis, z zaplecioną w warkoczyk siwą brodą, bardzo mi się przygląda. Jedynie kupiec z Osaka nadal mię proteguje, skończył jednak na wręczeniu mi adresu swego sklepu w Nagasaki.

Morze to zjawia się, to znika. Czerwone, piaskowe góry, porosłe sośniną, krążą i tańczą dokoła nas. Raz wraz pociąg przeszywa je otworami tunelów. A między górami z obu stron nawodnione pola ryżowe, otoczone wałeczkami gliny. Na tych wałeczkach rośnie zwykle jakaś ciemna roślinność, ostro odrzynająca granice bladych łanów zbożowych. Jesienne, czerwone kwiaty błyskają na grzędach koło zgrabnych domków wieśniaczych, na stokach nasypów kolejowych. Kępy bambusowych zarośli ciemnieją na jasnym od słońca krajobrazie, niby wachlarzowato złożona garść misternej, zielonej koronki. Znów wśród krętych sosen, wśród ciemnych cyprysów i tuj miga ślicznie wywinięty dach świątyni, bieleją kamienie ukwieconych i umajonych, wcale nie smutnych cmentarzy japońskich. Białą wstęgą drogi idzie sznur ludzi w dużych, stożkowatych kapeluszach. Niektórzy dźwigają na nosidłach na ple-

cach lub ramionach ciężary, lecz wielu idzie swobodnie pod wielkim parasolem z naoliwionego, żółtego papieru, z ciemnemi pręcikami, podobnym do skrzeli jakiejś morskiej ryby. Dama z jedwabną liljową parasolką i czerwonym kwiatkiem w czarnych włosach jedzie na leciuchnym, dwukołowym wózku, ciągnionym przez półnagiego kurumę (dorożkarza). Kończłowiek biegnie, zda się, bez wysiłku; jego tęgie, jak z bronzu odlane, słupowate nogi miarowo biją o biały tok drogi. Znów góry rozdarły się i morze błękitne, zamglone morze, zmieszane z zamglonym powietrzem, ukazało się, poplamione ciemnemi przylądkami i dalekiemi, górzystemi wyspami. Białe żagle płyną od nich i ku nim. Wszędzie pracowicie, ludno, ale spokojnie. Na polach pojedyńcze głowy wieśniaków, pielących zboża, wystają ponad kłosy, lecz niewprawne oko łatwoby je mogło wziąć za strachy na ptaki, gęsto rozstawione wśród niw i przebrane w japońskie „kirimony“; ruchy ciągłe, lecz spokojne pracowników ledwie zauważyć się dają i nie świadczą wcale o wysiłku, lecz o pilności.

Na stacjach tłumy, ale niema zamętu. Biegają jedynie posługacze w czerwonych czapkach, pytając o bagaż, oraz przekupnie napojów i jadła, wykrzykujący monotonnie swoje: bento! cza!

Za parę groszy można kupić śliczny gliniany imbryczek z filiżaneczką, pełny gorzkiej, japońskiej „cza“ — herbaty. Herbata-by uszła, lecz Japończycy nie mają pojęcia o przegotowanej wodzie. Według nich niema żadnej różnicy między ciepłą wodą a wrzątkiem, a ponieważ są oszczędni a ciepła woda

mniej kosztuje, więc używają jej wyłącznie. Wskutek tego nie radzę podróżnikom dać się skusić ładnym kształtem miluchnych imbryczków i pić tę japońską herbatę... Skutki mogą być fatalne! Taką herbatę podają też wszędzie w japońskich herbaciarniach, chyba że doświadczony podróżnik każe przy sobie zagotować wodę, o co nietrudno, gdyż fajerka z gorącemi węglami zawsze stoi tuż przed nim.

Z napojami można się jeszcze pogodzić, ale o wiele gorsze są potrawy. Do tych żadną miarą nie mogłem się przyzwyczaić i przypuszczam, że japońską książkę kucharską układał jeden z tych morskich potworów, jakich kawałki stale znajdują się w każdym japońskim daniu. Kilkakrotnie, aby próbę przeprowadzić do końca, nie brałem z sobą żadnych zapasów i kupowałem sprzedawane na stacjach „bento“.

Wygląda ono nadzwyczaj zachęcająco: czyściuchne pudełeczko łubiane z nowego drzewa, cienkiego, jak papier, składa się z dwuch części: dolnej i górnej i jest misternie związane włóknem roślinnym, zadzierzgniętym na misterny kołeczek... Istna bombonjerka! W górnej przegródce — ryż biały, przezroczysty, wyborny ryż... Hm — rzecz wcale niezgorsza, gdyby choć... ziarenko soli lub cukru... Ale bez tego ten niepokalany ryż smakuje jak klajster introligatorski... Otwieramy drugie pudełko: może tam schowana szczypta soli? Cudny widok: jakieś bursztynowe, żółte, czerwone i fijoletowe kompoty, ułożone w bajecznie kolorową mozajkę... Szkoda

ruszyć! Owszem, owszem! Lepiej nawet nie ruszać, gdyż cacka te, włożone do ust, wywołują okrzyk zgrozy i wyciskają łzy z oczu, tak są gorzkie i zjadliwe... Nawet Anglicy z juchtowemi podniebieniami wykrzywiają się od nich. Te bardzo przyjemne dla oczu płody, to zwykła rzepa, rzodkiew, czosnek, cebula, pieprz strączkowy — wszystko odpowiednio umalowane i... umarynowane! Znajdzie ciekawy jeszcze w pudełku kawałek ryby solonej, suchej jak trociny, skrawek macki głowonoga, jakieś wąsy, jakieś skrzela... Wreszcie pierożki grochowe lub kartoflane, także ładnie malowane, lecz mdłe, jak emetyk...

Bywałem na bardzo sutych i wykwintnych ucztach japońskich, lecz i tam to samo: na nieskończonej ilości miseczek lakowych, ślicznie malowanych — ślicznie malowane i gustownie ułożone obrzydliwości... W dodatku Japończycy wszystko jedzą zimne lub półzimne, jedynie wódkę ryżową piją ciepłą. Wszystko jedzą jednocześnie, dziobiąc pałeczkami to w tej, to w innej miseczce... No, stanowczo trudno Europejczykowi zasmakować w tej kuchni!

Na szczęście w pociągach pośpiesznych są wagony restauracyjne z kuchnią europejską. Wchodzę i szukam miejsca. Dość tam o nie trudno. W głębi siedzi ze swym sekretarzem poseł rosyjski baron Rozen, stronnik pokoju, bardzo lubiany i popularny w Japonji, ale niedoceniany w Rosji. Wciąż spodziewa się odwlec i załagodzić gromadzącą się burzę, lecz przeciwnicy jego z tamtej strony Żółtego

Morza psują mu szyki. Niedawno wydali, naprzykład, rozkaz, aby kanonjerki strażnicze topiły bez litości statki japońskie, schwytane na połowie ryb u brzegów rosyjskich. Jedzie właśnie do P. Artura, wezwany, zdaje się, w tej sprawie na naradę przez tamtejszego gienerał-gubernatora admirała Aleksiejewa — stronnika wojny. Kłaniamy się sobie z daleka. W Tokjo musiałem mu się przedstawić. Mój kupiec z Osaka, który też siedzi przy jednym ze stolików, spogląda na mnie bardzo nieżyczliwie. Może żałuje nawet, że dał mi adres swojego sklepu. Nie, prawdopodobnie rozważa, o ile podnieść cenę przypuszczalnie sprzedanych mi towarów. Zręczna usługa japońska, dbała, abym się czekaniem nie znudził, wsuwa mi do ręki spis potraw. Taniość zadziwiająca: filiżanka buljonu, ryba smażona, chleb, masło, rostbef, butelka wody „Hirano“, owoce, herbata, wszystko za cenę sześćdziesięciu kopiejek.

Przez szerokie, kryształowe okna widać cudny krajobraz, sunący z obu stron pociągu. Wiosek, jak nasiał. Rzadko tworzą większe skupienie, jak na północy. Zwykle są rozsypane grupami, po kilka domów, po całej dolinie. Dachów słomianych niema, wszystko pokryte popielatą dachówką. Na zamożnych domach ma ona polewę i biały, ładny deseń wzdłuż krawędzi i na szczycie. Mało też budowli drewnianych, większość z bitej, żółtej gliny. Na polach widać często jakieś budynki na słupach, których znaczenia z początku nie rozumiałem. Potym dopiero spostrzegłem, że pełne są popiołu, że służą

do spalania słomy, chwastów i śmieci na nawóz. Uderzyły mię piękne, murowane śpichrze, zawsze białe, piętrowe, z przewiewnemi asymetrycznie rozmieszczonemi oknami.

Słońce świeci jaskrawo. Woda na polach ryżowych skrzy się w jego blaskach i migoce poprzez gęstą ścierń zboża. Krajobraz nabiera osobliwej eteryczności... Nawet pola na stokach gór zdają się wisieć w błękitach... Pociąg często mknie po wysokim gzymsie urwiska; w dole szumi rzeczułka i ścielą się łany pól aż po sine morze. Widać wioski i miasteczka. A po drugiej stronie, często o wiele wyżej nad pociągiem, też łany ryżowe, drzewa ogrodów, zagony bobu, cebuli, łopuchy japońskich ziemniaków, lotosy, domki i świątynie na stromych, pociętych w stopnie zboczach. Czasami cała góra do szczytu wygląda, jak oparta o niebo „drabina Jakóba", a na wierzchołku wychyla się z zieleni domek zgrabniuchny. Przez otwarte ściany widzę siedzących tam mężczyzn przed wrąbanym w podłogę kwadratowym ogniskiem. Pyzaty imbryk, pełen herbaty, wisi na ruchomym, metalowym wieszaku, a obok klęczy kobieta.

Gorąco. Nizka szerokość gieograficzna daje się czuć dosadnie. Coraz częściej pierzaste, lśniące palmy kędzierzawią się w ogrodach. Są one tu o wiele okazalsze, niż na północ od Tokjo. Ogromne, jasne liście bananów strzelają wysoko ponad dachy chat. W zaroślach, na nizinach przeważa bambus, na górach kręta sosna japońska „matsu", w sadach tuje, widłaki, cisy, granaty, drzewa figowe, klony,

cyprysy japońskie, no i rozumie się, że wszędzie ukochany, lekki i dźwięczny „kirin“ z miękkiemi liśćmi. Ślicznej wierzby japońskiej, ozdoby gajów północnej i środkowej Japonji, oraz tamtejszych dębów, czerwonych sumaków i olchy nie widać. Dość rzadko również spostrzegam plantacje kopulastych krzewów herbacianych i wcale nie widzę szkółek młodej jedwabnicy, podobnej do starej maliny, których oglądałem tak dużo w środkowej Japonji. W budowie domów, w rozkładzie i gatunku roślinności wyczuwać się daje o wiele silniejszy, niż na północy wpływ chińszczyzny. Są to te same, japońskie domki o rozsuwających się ścianach — jasne, przewiewne, schludne, wyłożone żółtemi matami „pudełeczka“, doskonale przystosowane do tutejszego wilgotnego, gorącego klimatu, w którym wszystko łatwo pleśnieje, lecz... w wygięciach dachów, w ozdobach okapów i narożników już niema tej prostoty i swobody układu, co w gładko strzyżonych, ryżowych strzechach Północy i Środka, gdzie wszystko jest niezbędne, zrozumiałe i... proporcjonalne.

Znów duże miasto. To Fukujama, stolica prowincji Bingo, słynąca z wyrobu grubych, żółtych mat, używanych do wykładania podłóg. Plantacje sitowia, służącego do ich plecenia, dostrzegałem często wśród mijanych pól ryżowych. Za miastem, na podgórzu dwa zamki tutejszych dajmiosów, białe, o kilku piętrach i kilku dachach, podobne do pagód chińskiej struktury.

Tracimy z oczu morze. Lecimy wśród gór doliną, na której dnie kręto wije się rzeczka. Widoki

śliczne, ale różniące się między sobą tak drobnemi szczegółami, że opisywać ich niepodobna. Łuk mostu, rzuconego nad potokiem, z gromadką idących przezeń dzieci, mały młyn wodny, cicho klekoczący u drobnego upustu — rzadkość w tym kraju, gdyż ryż nie potrzebuje mielenia. Wiatraków tu wcale nie znają, zarówno jak nie znają nawet na północy kominów w chatach — dym wychodzi przez boczne dymniki w dachach. Palą tu mało i wyłącznie dla potrzeb kulinarnych, a ogrzewają pokoje fajerkami z węglem. Często zato na szczytach domów stoją beczki na wypadek pożaru.

Znów śliczna, zielona kępa bambusów wśród żółtych pól.

Znów miasto nad perłową zatoką. To Onemiczi. Przelatujemy środkiem niego, ocieramy się nieledwie o ściany domów, trącamy o dachy. Na ich szczytach wisi dużo tkanin kolorowych, suszących się na słońcu. Są w Japonji wszędzie prawie na szczytach domów małe rusztowania, na których farbują, odnawiają do odpowiedniego tonu lub bielą barwne, domowe materje. Zwykle na tych małych platformach, otoczonych galeryjkami, gospodarują kobiety. Właśnie jedna z nich schodzi i jest na jednym poziomie z oknami wagonu; zastygła nieruchomo na schodkach z wyciągniętą nóżką w białej pończoszce, kolorowa łuna bije jej na twarz z przyciskanego do piersi stosu kolorowych tkanin, a oczy w zamyśleniu patrzą na lecący pociąg. Poza nią przepaścisty błękit nieba, które tam miesza się z morzem. Po-

wietrze tak czyste, że widać wyraźnie duże szpilki we włosach kobiety.

Brzeg morza zabezpieczony tu jest od zalewu fal wysokim wałem kamiennym, którego grzbietem biegnie czyściuchna, równa jak stół, biała droga... Tu i owdzie krzywe, ciemne sosny ocieniają ją szeregiem, czasem mignie wśród drzew zgrabna figurka Japonki pod jasną parasolką, z motylowym „obi“ wpół pasa. Ślicznie to wszystko wygląda na tle dali, prześwietlonym odblaskiem zatoki.

Wśród pól, na wydartym morzu nadbrzeżu, widzę duże, szare płaszczyzny, podzielone na kwadratowe, płytkie baseny: tu odparowują wodę morską dla wydobycia z niej soli. Nietęga sól japońska: gorzka, czarna, i ryby posolone nią są bardzo niesmaczne.

Na morzu siedzą duże i małe wyspy, często zupełnie podobne do szerokich bukietów zieleni, pływających po lazurze. Koło nich, niby motyle, krążą duże żaglowce...

Wioski, wioski, samotne sadyby, kaplice, rude stożki przeszłorocznej słomy ryżowej, żórawie studni do polewania ogrodów, wieśniacy pod parasolami lub w kapeluszach niemniejszych od parasolów, stukające sandałami i kołyszące się w ruchach dziewczęta, filigranowe ryksze, toczące się bez hałasu, bawoły, objuczone ciężarami, na mijanych stacjach towarowych stosy worków z ryżem, zaszytych w rogoże. Pociąg wdziera się w góry. Ich czerwone fałdy już zakryły wdzięczne miasteczko Mihara. Morze zobaczymy dopiero koło Hiroszimy. Pociąg prze-

rzuca się z boku na bok doliny, pnie się po gzymsach skał, nad parowami strumieni, pieniących się w kaskadach, wśród szarych złomów. Słońce chyli się ku zachodowi, znika za szczytami, pozostawiając za sobą złotą, łagodną, jak stara laka, zorzę i różowy odblask na dalekich, czerwonych szczytach. Dołem pokładły się długie, świeże, wilgotne cienie. Nad wieśniaczemi domkami unoszą się dymy błękitne i gdzieniegdzie migają czerwone skry wieczornych ogni. Krótki zmierzch szybko w mrok przechodzi. Nad urwistym szczytem skały błysnął sierp umierającego miesiąca. Już oko nie rozróżnia kędzierzawych bambusów w zacienionych wnękach gór. Noc ciemna zakrywa krainę przed wzrokiem znużonym, lecz wciąż jeszcze chciwym tych śliczności...

Patrzę w czarny kwadrat otwartego okna, przez które widać właśnie nad zębatemi górami daleką gwiazdę północną, wdycham z rozkoszą chłodne, słonawo - wilgotne, morskie powiewy i rozmyślam o widzianym kraju i ludzie.

Kraj jest bajecznie piękny. Lud, jako „sztafaż“ tego kraju, wiele pozostawia do życzenia.

Japończycy, na ogół, są brzydcy. Mają nieprzyjemną, ziemistą cerę, oczy małe i bez wyrazu, ohydne krzywe i prognatyczne zęby. Ogromnie dużo spotyka się wśród nich chorób skórnych, osobników skrofulicznych, liszajowatych, niedokrwistych, owrzodziałych lub pokrytych szramami, chorych na oczy, ociemniałych... Może to pochodzi z lekkości obyczajów, a może jest rezultatem ich codziennych

wspólnych kąpieli, gdyż wszyscy mieszkańcy tego samego domu, nawet hotelu, zwykli się kąpać w tej samej wodzie. Bardzo to wprawdzie zaoszczędza paliwa, gdyż Japończycy używają niezmiernie gorących kąpieli, lecz koniec końców... w czystej Japonji nie mniej widziałem chorób skórnych, niż w brudnych Chinach.

Japończycy są bardzo wytrwali i dość silni; członki mają muskularne i wyrobione. Ale ustępują znacznie Europejczykom i w sile i w zdolności do nagłego wyładowania energji. Wogóle, robią wrażenie rasy przeżytej, jakiejś starczej, wymagającej koniecznie fizjologicznego odrodzenia. Czują to pewnie sami, gdyż często słyszałem pytanie: „Jak osiągnąć fizyczne odrodzenie narodu?“ Do zakładów szkolnych wprowadzona jest obowiązkowa gimnastyka, młodzież ciągłe odbywa wycieczki, zabawia się w gry angielskie na świeżym powietrzu. Rząd stara się usilnie zaszczepić wszędzie zwyczaj używania krzeseł, gdyż przyjęte przez Japończyków klęczenie w zgiętej pozie w domach źle wpływa, według zdania lekarzy, na rozwój płuc i działalność serca. Mówiono mi, że w związku z tym znajduje się rozpowszechniona wśród Japończyków straszna choroba „beri-beri“.

Przypuszczam jednak, że donioślejsze znaczenie będzie miała zachodząca powoli zmiana w odżywianiu, musowe, wskutek wyczerpania się ryb, zastąpienie ich mięsem, jajami, nabiałem oraz dążenie do większej czystości obyczajów, nad którą usilnie pracuje obecnie publicystyka młodej Japonji.

Co taić? Dziwna, niezrozumiała dla nas rozwiązłość głęboko przenika byt tego ludu i jest traktowana, jako wesoły żart. Sprośne rozmowy bardzo są lubiane we wszystkich sferach. Drastyczne obrazki, książki i rzeźby bardzo rozpowszechnione, choć przyznać należy, że nie zawierają i setnej części tego wyrafinowania i cynizmu, co chińskie. U każdej prawie Japonki, zwłaszcza z warstw średnich i niższych, nietkniętych wpływem europejskim, można i dziś jeszcze znaleźć w jej małym, zgrabnym portfeliku, zatkniętym za pas, nieprzyzwoity obrazek „szjunga", noszony jako talizman „od złych oczu" *). Matki, ciotki, babki, wogóle starsze w rodzinie kobiety niedawno jeszcze wkładały dorastającym dziewczętom do pudełek z noworocznemi podarunkami podobne obrazki, aby je skłonić do prędszego pójścia za mąż i powiadomić o oczekujących je kolejach... Takie obrazki dawała żona mężowi, odjeżdżającemu na wojnę, aby... tęsknił i t. d. To, co u nas już się kryje w ciemnych zaułkach, tu jest jeszcze półjawnym, przyjętym zwyczajem i... wywołuje nie zawstydzenie lub odrazę, lecz śmiech...

Zastanawiałem się wielekroć nad tym zjawiskiem, wprost niepojętym u ludu tak naogół wstrzemięźliwego i skromnego, jak Japończycy. Zrozumiałem go dopiero, gdym wykrył szeroko po całym kraju rozrzucone ślady powszechnego tu do niedawna kultu płodności. Kult ten, dość uniwersalny w dziejach

---

*) Coś podobnego istnieje w południowych Włoszech i było w starożytnym Rzymie.

ludzkości, nigdzie może prócz Indji nie zostawił tak głębokich śladów, jak w Japonji. Obecnie kryje się, gdyż jest ścigany przez rząd, który z zaciekłością, godną lepszych celów, niszczy po barbarzyńsku niezmiernie ciekawe zabytki tej najstarożytniejszej i może najpożyteczniejszej z religji ludzkości. W O-sziwa, w Nagasaki, w gaju drzew kamforowych porąbano i połamano wszystkie sęki i dziupła, wyrzeźbione w kształcie emblematów płodności. Tysiące pokoleń spoglądało na nie bez szkody i zgorszenia... A teraz!... Poobalano i poburzono ogromne falusy kamienne przy drogach. Zamknięto i zrujnowano świątynie płodności w całej Japonji. Zabroniono procesji orgjastycznych mieszkankom Josziwary... Policja ściga, odbiera, niszczy „nieprzyzwoite“ obrazki i amulety... Mimo to kult ten prastary żyje w obyczajach. Niemal na każdym statku rybackim, wypływającym na morze, zwisają z burty święte emblemata, pięknie rzeźbione i starannie malowane, gdyż obiecują one pomyślną podróż i obfity połów. Do ogromnych szczelin skalnych, wyrzeźbionych w kształcie łon niewieścich, jak naprzykład w Kamakura, ciągną tysiące pielgrzymek kobiet bezpłodnych, które następnie z pobożną czcią przechowują w swych domowych ołtarzykach małe, okrągłe kamyki, jakie wytoczyły się w czasie ich modłów z boskiego otworu na dowód wysłuchanej prośby. Zgodnie żyjące małżeństwa przechowują pieczołowicie w zwojach żółtego jedwabiu amulety swego szczęścia domowego — śliczną różową muszlę morską i okrągły kamyk, ogładzony przez wodę...

W Nikko wykryłem wypadkiem poza świątynią Lisa resztki świątyni płodności z wyobrażeniem skręconego węża, z szeregiem potężnych falusów i małą rzeźbioną ślicznie kapliczką, kryjącą święty cud...

Widocznie Japończycy przeżywali i to niezbyt jeszcze dawno okres, gdy walka o byt wymagała licznego potomstwa, a słabo rozwinięte albo też perjodycznie jedynie działające ich instynkta rozrodcze potrzebowały w tym celu ostrej i ciągłej podniety.

Ich uczucia i pojęcia w tej dziedzinie po dziś dzień różnią się od naszych.

Zresztą pozostanie tajemnicą dla Europejczyka na długo, a może na zawsze i wiele innych cech umysłowości i uczuciowości japońskiej. Tajemnicą pozostało, czym się to dzieje, że ci wyborni gospodarze i finansiści, przewidujący i rozumni mężowie stanu, doskonali inżynjerowie i mechanicy, budowniczowie i żeglarze, nieporównani wykonawcy nakreślonych im planów, uczciwi i zdolni urzędnicy są pozornie tacy tępi, tacy umysłowo niemrawi i niepomysłowi. Toć nawet przeciętny Europejczyk ze swoją śmigłą myślą aryjską i ścisłością w mowie i rozumowaniu wydaje się przy nich orłem! Język ich zawiły, wielosłowny, pełen współdźwięcznych wyrazów tak, że w określeniach ścisłych musi się wciąż uciekać do znaków chińskich, które istotnie są kajdanami myśli. Każdy Japończyk traci 5—6 lat w dzieciństwie na wyuczenie się 3000 conajmniej koniecznych dlań znaków. Jest to taki ogromny wysiłek pamięci, że musi ona rozwijać się kosztem in-

nych stron umysłu; nie należy się przeto dziwić, że Japończycy myślą trudno i powoli.

Wiedzą to przywódcy społeczeństwa i radziby zaprowadzić alfabet łaciński, lecz w kraju tak oświeconym jak Japonja, gdzie wszyscy czytają, gdzie książki są w wielkim obrocie, zmiana taka przedstawia niesłychane trudności i pociągnie za sobą znaczne straty w dokonanych już pracach i włożonych w nie kapitałach. Niewiadomo nawet, czy reforma kiedykolwiek nastąpi, gdyż obecnie powstaje przeciw niej podejrzliwość japońska, lękająca się uprzystępnienia „wszelkich tajemnic“ Europejczykom, oraz budząca się narodowa duma, przechodząca chwilami w zarozumiałość:

— Chociaż trudno, ale niech się Europejczycy uczą, jeśli chcą nas poznać! — odpowiadano mi, gdym zwracał uwagę na hjeroglify, jako na jedną z przeszkód do zbliżenia.

Nie tak znowu bardzo ciekawe są dotychczasowe duchowe płody Japończyków, aby dla nich przezwyciężać cały las zagmatwanych znaków. Wszystko, co oni tam mają, już było u Chińczyków i zostało przetłómaczone przez uczonych synologów. A co będzie, przyszłość pokaże!...

Biorąc naogół, Japończycy wydali mi się podobni do tych wysoce nieraz utalentowanych malarzy, którzy wyglądają na ograniczonych, ponieważ dusza ich umie się wyrażać jedynie w linjach i barwach. W przeszłości swej Japończycy nie mieli nawet takich mędrców, jak Konfucjusz i Laotse, których myśl, bądź co bądź, ogarniała bardzo szerokie wid-

nokręgi, nie mieli religijnych reformatorów i marzycieli... Jako naród malarski przedewszystkim dali ludzkości szereg świetnych, niezrównanych akwarelistów. Choć pobożniejsi od Chińczyków, nie są religijni; buddyzm przyszedł do nich w bardzo już pogańskiej formie chińsko-tybetańskiej, chrystjanizm nie krzewi się, szintoizm — religja narodowa — jest zbiorem dziecinnych legiend o bohaterach i wodzach narodowych, podobnym do pierwotnego politeizmu Greków z doryckiego okresu.

— To nawet nie religja! — mówili mi sami Japończycy.

A jednak obserwowałem ich często w hotelach i w ich własnych na wsze strony otwartych domach, jak siedzieli godzinami w głębokiej zadumie.

— O czym oni myślą? — spytałem raz wykształconego Japończyka. — Czy kiedy myślą o życiu przyszłym, o śmierci?

— O nie! to przedmiot zbyt smutny... O tym myśleć należy w starości!

— Więc może myślą o początku rzeczy?

— To strata czasu, gdyż tego nikt nigdy nie pozna...

— Więc może myślą o sobie... o swych uczuciach?...

Japończyk uśmiechnął się sceptycznie.

— Powiem panu prawdę: oni myślą... o interesach!

Przypuszczam, iż tak źle nie jest. Przypominam sobie nawet, że w parę dni po wyjeździe moim z Nikko utopił się w jednym z tamtejszych wspa-

niałych wodospadów student z Tokjo, zostawiwszy na drzewie napis:

„Tu poznałem, że mogę się dowiedzieć jedynie, iż się nigdy niczego nie dowiem!... Odchodzę więc...“

Ale ten chłopak pono zaczerpnął już dobrze z filozofji europejskiej.

Dusza japońska jest z natury nieco oschła i skłonna do pozytywizmu; uczucia ich są blade i powleczone lekką warstwą sceptycyzmu... Opowiadali mi wprawdzie podróżujący po Europie Japończycy o głębiach niezwykłych, ukrytych w zamkniętej duszy japońskiej, lecz wyznaję, że ani mogłem dopatrzeć się ich śladu w czasie krótkiego mego w Japonji pobytu, ani dowiedzieć o nich od kogokolwiek...

Zato byli tacy i było ich niemało, którzy po długim pobycie w Japonji mówili, że tam niema nic!

— Podejrzliwość zabiła w Japonji przyjaźń, a rozpusta miłość — mówili mi oni.

Sami Japończycy przyznawali, że oni wcale nie rozumieją i nie potrzebują tego „udzielania się dusz“, tego „zaglądania na dno serc“, które tyle wdzięku nadają obcowaniu z sobą Europejczyków.

— Mówię panu, że nie pokazują serc, bo nie mają tam co pokazywać: w tych szczelnie zamkniętych pudełeczkach niema nic, oprócz fatałaszków i nieprzebranego egoizmu — twierdził ten sam nieprzyjaciel Japończyków.

To stanowczo jest nieprawdą. Przypuszczam, że wśród rzeczy nadzwyczajnych znajdują się i najzwyklejsze, czasem zbrodnicze, często poziome.

Lecz wśród rzeczy codziennych, nudnych, pospolitych, wśród rozmaitych artystycznych drobiazgów, zasuszonych kwiatów, notatek, wierszyków, wśród czułych wspomnień, malarskich wzruszeń i zwietrzałych cokolwiek filozoficznych refleksji, kryje się jeden cenny, wspaniały klejnot — gorąca miłość ojczyzny i naiwna, wzruszająca wiara w naukę. One wywiodą ukochaną przez swych synów nadewszystko Japonję z sennego, mętnego morza Wschodu na szlaki jasne, wszechludzkie...

Są to jedyne może przedmioty, zdolne wzbudzić zapał w każdym Japończyku. A skoro naród ma choć jedno bóstwo, które kocha ponad życie i pieniądze, to ma zadatki pięknej i bohaterskiej przyszłości.

Japończycy posiadają w dodatku hartowną wolę i pogardę niebezpieczeństw. Są bardzo waleczni i nie znoszą kompromisów. Noga zdobywcy nie stanęła jeszcze nigdy na ziemi japońskiej. Gdy w swoim czasie jeden z Czingishanidów wysłał był do niej swe niezwyciężone hordy, został sromotnie pobity.

— Trzech wróciło, których oszczędziliśmy, aby powiadomili swoich o klęsce — opowiadali z dumą młodzi Japończycy.

Ale sława wojenna ma dwa ostrza i jedno z nich porze własne wnętrzności zwycięzcy.

Serdecznie życzę Japonji, aby ustrzegła się od tego kalectwa, a resztę sił, jakie zdoła zachować w walkach z sąsiadami o niepodległość, niech zużyje na kroczenie po tych drogach, na których wcześniej czy później znajdą się wszyscy ludzie dobrej woli,

a które wiodą do zbratania się ludów w duchu sprawiedliwości i doskonalenia się.

Na tych drogach czeka Japonję wzniosła rola przewodniczki Wschodu. I Europa z tego skorzysta, gdyż nauczy się nareszcie szanować ludzi innej barwy. Co za szkoda, że większość Europejczyków musi być o tym przekonywana uderzeniami pięści!

Żegnaj mi, piękna Japonjo! Staraj się być lepszą od nas!

POLOWANIE NA WIELORYBY.

Bursztynowy świt już rozedniał nad zatoką okrągłą i cichą, jak jezioro. Ale gwiazdy w niebiosach jeszcze nie pobladły; na południu płonął wspaniały Orjon; na północy Wielka Niedźwiedzica ogonem prawie nurzała się w morzu; Wenus, różowa od blasku dalekiego słońca, gorzała, jak rubin, nad blednącym widnokręgiem.

Opuściliśmy tłumnie wielki żelazny parowiec, który był właściwie wielką kuchnią do gotowania wielorybów, i przewiezieni małą łodzią parową, wsiedliśmy na statek myśliwski, norweskiej roboty, 96 stóp zaledwie długi i 18 szeroki, zwięzły, krępy, mocny i zwrotny. Nie posiadał wielkiej szybkości, robił 11 węzłów (11 mil morskich) na godzinę, lecz dla statków tych nietyle ważną jest szybkość biegu, ile sprawność i moc maszyny, wciąż zmieniającej tempo pracy i często gwałtownie szarpanej tam i napowrót.

W godzinę po wyruszeniu już byliśmy na otwartym morzu i płynęliśmy wprost na wschód, gdzie z bladych fal w złotym rozświcie wynurzała się krawędź słońca, jak wzgórek purpurowego żarzewia. Chwilę jeszcze i ogromna ognista kula, podbita przez refrakcję, odskoczyła od widnokręgu, jak piłka, błysła i rozsypała płachtę złotych iskier na majestatycznie kołyszących się wodach.

Dokoła latały białe czajki o załamanych skrzydłach, czarna ostrodzioba wrona morska przyciągnęła wysoko od morza ku opuszczonemu przez nas lądowi.

W prawo o parę stajań płynął drugi parowiec wielorybniczy, należący do tego samego towarzystwa, a na widnokręgu mgliły się lekkie obłoczki dymu z „norweżczyków", którzy przez noc drejfowali w morzu, a teraz już polowali.

Niezadługo byliśmy w tym samym miejscu, gdzie wczoraj zabiliśmy wielkiego pręgowanego wieloryba.

— Wytrysk — wyrzekł spokojnie gruby sternik, Łotysz nadbaltycki.

— Gdzie?

Nim odszukaliśmy lornetę, już znikł, a gołym okiem nikt nie mógł zmierzyć się ze starym „wilkiem północnym".

Statek zwolnił biegu. Stado kaczek poderwało się z pod nas i sznurem pociągnęło ku spiętrzonej, różowo mglistej Korei, przeleciał rój drobnych morskich ptaszków, po których wielorybnicy poznają pastwiska wielorybów. Słońce chyżo szybowało w górę, jak zwykle w nizkich szerokościach; blask jego coraz szerzej złocił sine fale. Wiatr wzmagał się. Znów wytrysk ukazał się w dali. Tym razem wszyscyśmy w porę dostrzegli jego biały zwiewny obłoczek. Majtek pośpiesznie wdarł się po sznurowej drabinie na szczyt masztu do bocianiego gniazda. Strzelec podszedł do stojącej na dziobie okrętu armaty, nabitej harpunem, i oparł się o nią.

Zmieniamy kierunek, mamy teraz wiatr z boku.

„Pełny“ — mówi sternik maszyniście przez tubę. Statek zaczyna drgać, jak w ataku febrycznym. Bałwany ciskają się nań, zalewają pianą i mocno kołyszą. Pędzimy im na przełaj ku spostrzeżonym już dwukrotnie wytryskom.

Z roztańczonych fal znowu bucha wytrysk, już zupełnie blizko. Wtym ogromny bałwan zalewa przód statku, pokrywa strzelca, armatę i zmywa z tarczy zwiniętą w kręgi linę harpunu. Wezwani sygnałem majtkowie biegną po zachlapanym, stającym co chwila dęba pokładzie, aby ją nanowo ułożyć. Strzelec niedbale strzepuje wodę z czapki i kurtki.

— Bardzo rozkołysało bałwany! — mówi sternik. — Źle będzie strzelać!

Nie zmieniamy jednak kierunku i, wspinając się z fali na falę, ścigamy uchodzący przed nami coraz dalej i dalej wytrysk. Znikł, nie widać go nigdzie. Wszyscy wpatrujemy się z natężeniem w siny horyzont, kołyszący się, jak rzucona na wiatr tkanina. I wszędzie bieleją czuby bałwanów. Wiatr zrywa z niektórych pianę i rzuca wysoko do góry; łatwo pomylić się i wziąć je za słupy wody, wyrzucanej przez wieloryby. Wśród tych pian wiją się gromadnie czajki białe, jak piany. Morze granatowe ciska się gniewnie pod niebem, drażniąco jasnym, przesłonecznionym, bez śladu chmur.

Nie będzie pociechy! — mruczy sternik. — Wielorybów ani śladu, gdzieś się pochowały.

Maszyna ledwie drga. Statek z wytkniętym ostrzem harpuna, niby orzeł w chmurach, kołuje i nurza się wśród skotłowanych odmętów, wypatrując zdobyczy.

Chwile wloką się długo, jak godziny. Na mostku cisza.

— Pilnuj! Na prawo! — rozlega się z bocianiego gniazda.

— Pilnuj! Z tyłu! Blizko! — powtarza ten sam głos.

Sternik aż się do podłogi nachylił, obracając koło rudla, wśród pian, wycia wiatru i chlustania bałwanów. Statek, jak fryga, obrócił się prawie na miejscu.

— Pełny! — grzmi przez tubę do maszyn.

Wszystko drga w szalonym pędzie...

„Fale z drogi, wichry z drogi...“

Z niepokojem śledzimy trzy ogromne ssaki, kolejno wynurzające się z wody i ciskające wysoko ku niebu białe fontanny. Brunatne ich grzbiety błyszczą na słońcu, łącząc się z falami w potoczystych linjach.

— Na dno! — mówi ze zniechęceniem kapitan, gdy te potężne grzbiety, zakreśliwszy w powietrzu łuk mocno wygięty, mignęły rozdwojonemi ogonami nad wodą i znikły.

— Jeszcze będzie jeden! — ostrzega sternik. — Nilson, pilnuj!... — woła na strzelca.

Ten już dawno ma się na baczności; nogą odemknął śrubę, tamującą wahadłowe ruchy działa; prawą ręką ujął drewnianą rękojeść, gdzie znajduje się kurek. Ogromny słup rozpylonej wody wzniósł się tuż przed dziobem statku, poczym wypłynął ciemny, błyszczący i wielki, jak mielizna, grzbiet.

Strzelec, pochylony nad działem, wciąż czekał.

Wieloryb był zbyt, według niego, daleko; strzelać do niego można harpunem zaledwie na 20 sążni. Jeszcze kilka silnych obrotów śruby i statek go dopadnie... Lecz potwór też nas dostrzegł i zapadł się z sapnięciem, podobnym do łoskotu staczającej się fali...

— Stop, maszyna! — krzyczy w tubę sternik.

— Proszę do kajuty na śniadanie!... mamy czas... Nie prędko teraz wypłynie!... — zaprasza uprzejmie kapitan.

Po śniadaniu to samo. Statek kołuje wśród sinych, spiętrzonych wód; zalewany przez czuby ich pian i wodną kurzawę, szarpany przez wicher, sili się wciąż, aby wśród tych zawrotów nie stracić z oczu stada ściganych wielorybów. Widać ich dużo na widnokręgu; białe obłoczki wytrysków pękają to tu, to tam, jak małe wulkany. Lecz lepiej ścigać ciągle to samo stado, i sternik bacznie śledzi je wśród krzyżujących się wirów.

Gdy znikają, okręt zwalnia biegu, i zataczając się lub obracając na miejscu, czeka i wypatruje, gdzie się znowu ukażą. Niekiedy sternik odgaduje drogę stworzeń z kierunku ich zapadających się grzbietów, z kolei, w jakiej płyną za sobą, w jakiej rzucają wytryski. Wtedy okręt zatacza półkole i mknie całą siłą pary na miejsce domniemanego ukazania się zdobyczy. Ale wieloryby mogą rozwijać ogromną szybkość ruchów i mogą zostawać pod wodą nawet pół godziny, a przez pół godziny robią z łatwością 10 mil morskich (dwie i pół mile nasze). Następnie często już pod wodą zmieniają kierunek. Stąd po-

chodzi, że nieraz ukazują się z zupełnie innej strony, niż przypuszczają najwytrawniejsi sternicy.

— Dziś szczególnie trudno je śledzić. Grzbiety plączą się z falami — usprawiedliwiał się sternik.

Wiatr wzmagał się, stawał porywczym i zmiennym. Na niebie zjawiły się wysokie, pierzaste obłoki i utworzyły tam piękny mglisty wachlarz z zawiniętemi spiralnie końcami.

— Zwiastuny tajfunu. Jutro, najdalej pojutrze, będzie burza!

— Ale dziś czy zdążymy jeszcze co upolować?

Kapitan odwrócił się w milczeniu.

— Nie należy nawet pytać się o to marynarzy! — ostrzegł mię cicho mój towarzysz.

Fale wielkie, ciężkie, przykre, tłukły się o okręt, który nagle jakby stracił zwinność. Słona wodna kurzawa, zdmuchywana przez wiatr, dolatywała aż na mostek kapitana. Czapka moja i notes pokryły się całe perlistą rosą, wicher nie pozwalał wysunąć twarzy z za żaglowej osłony u burty. Od szumu i kołysania się statku w głowie mi się zlekka mącić zaczęło, a towarzysze moi, wytrawni marynarze, niezdolnemi okazali się w tym razie do współczucia.

Nic więc nie mówiąc, spuściłem się do kajuty, aby się na chwilkę położyć. Spokój i ciepła czapka na głowie — to najlepszy środek na morską chorobę. Wyciągnąłem się na posłaniu skołatany i znużony, gdyż ubiegłej nocy nie spałem prawie: wywoływałem zdjęcia fotograficzne, zrobione na morzu. Ale usnąć nie mogłem, wszystko wkoło mnie brzęczało i latało, stukał jakiś obluzowany lumina-

tor, a przez tubę, wystającą nad łóżkiem kapitana, dolatywała z maszynowego przedziału smętna, monotonna piosenka palaczów i urywane rozkazy:

— Pełny!... Stop!... Wolno!...

Wkrótce i moi towarzysze zeszli z góry do jadalni, gdzie były w porządku przymocowane kołeczkami do stołu talerze, szklanki, butelki, widelce i noże.

Zanim jednak zabraliśmy się do jedzenia, mocne gwizdnięcie wywołało nas na pokład.

— Wieloryb tuż!... — rzekł gburowato sternik.

Nim skończył, morze rozwarło się z łoskotem, słup wody wyleciał wysoko, i brunatny grzbiet wynurzył się z wodnych skrętów.

Płynął ku nam na ukos wielki, jak rafa. Strzelec nachylił się do celu i ścigał go ostrzem harpuna. Potwór zwolna zataczał ponad wodą łuk, dążąc w głębiny; już mała jego pletwa koło ogona błysnęła w powietrzu...

— Spóźnił się, niedołęga! — mruknął sternik.

Jednocześnie w poświstach wiatru buchnął strzał, i czarna błyskawica rozwijającego się sznura przecięła blask morza. Dym prochu zakrył na chwilę pocisk i ofiarę. Strzelec podniósł pytająco do góry głowę.

— W wodę... — odpowiedział mu dozór.

Zmieszany Nilson włożył ręce do kieszeni i odszedł od armaty, po chwili jednak opamiętał się i wrócił pośpiesznie. Majtkowie i sternik już biegli z hałasem, aby natychmiast nabić wystrzelone działo.

— Ostrożnie, bydlęta! oczy chcecie mi wybić? —

krzyczał gniewnie sternik na marynarzy, ciągnących linę.

— Bomba nie pękła! Ostrożnie!

Zarzucili linkę na stukający o burtę długi, żelazny pocisk, na którego końcu przyśrubowana była wielka ostra grusza z surowca, zawierająca dwa funty prochu i zapał piorunujący, przywiązany do skrzydła harpunu. Gdy skrzydła te, szarpnięte przez porażone ciało, otwierają się jak haki zębate, drucik przymocowany przeciera mieszaninę zapalną, bomba pęka i czyni wewnątrz ranionego zwierzęcia straszne spustoszenia.

Chociaż fale wciąż zalewały pracujących, działo szybko zostało nabite i znów żądło jego zaczęło pilnie szukać ofiary wśród odmętów. Lecz wystraszone olbrzymy znikły. I długo kołysaliśmy się i szybowali między krętemi bałwanami, nim dostrzegliśmy na widnokręgu nęcące wytryski.

W pościgu za niemi ubiegła i druga połowa dnia. Słońce nizko opadło, do zachodu została najwyżej godzina. Zniechęceni ludzie już pracowali niemrawo. Strzelec z rękoma w kieszeniach, choć armaty nie opuszczał, patrzał gdzieś w bok niedbale. Jedynie sternik zawzięcie kręcił kołem i parowcem, oraz krzyczał jak przedtym przez tubę:

— Pełny!... Wolno!... Stop!... Nazad!...

Zato wieloryby, jakby poczuły, że mogą mniej sobie nas ważyć, krążyły coraz bliżej i coraz dłużej pozostawały na ciemniejącej powierzchni oceanu. Potworne łuki ich grzbietów wydawały się jeszcze większemi w ukośnych promieniach zachodu. Szcze-

gólnie wyzywająco zachowywała się trójka brunatnych olbrzymów. Raz wynurzyły się z boku statku tak blizko, że plusk ich fontann i łoskot sapania wszystkich poruszył. To ich zgubiło. W myśliwych ożył znowu zapał, i zaczęło się wściekłe polowanie. Wieloryby, ośmielone zapadającym zmrokiem, dworowały sobie z nas, a może, przyzwyczajone łączyć się w gromady, brały też ciemny kadłub naszego okrętu za żołądek jednego ze swych współbraci. Dość, że sternikowi udało się kilkakrotnie dopaść do nich w chwili wynurzania się i przeciąć im drogę. Strzelec na chwilę nie wypuszczał z dłoni rękojeści armaty. Ale i noc zapadła chyżo, i słońce już tykało widnokręgu.

Wreszcie padł strzał...

— Hurra! Trafiony! trafiony!

Dziób parostatku mocno się pochylił, przyciśnięty potężnie do wody. Lina, nawiązana do sznura harpunu, z wężowym szelestem rozwijała się z metalowego bębna i snuła dygocąc przez pokład i łożysko u dzioba w zieloną głębinę.

Tam szybował raniony wieloryb. Wszyscy zbiegli się na przód statku i pochyleni przyglądali się dygocącej linie. Statek, choć szedł całą mocą pary w tył, sunął jednak naprzód z szybkością 6 węzłów (6 mil na godzinę), wleczony przez morskiego tytana.

— Już wybrał 120 sążni!... — zauważył kapitan.

— Niech zahamują linę na chwilę! — rozkazał strzelec, próbując napięcie sznura nogą.

Naciśnięta lewarem lina wolniej zaczęła się z bębna odwijać, ale rychło ją trzeba było popuścić, gdyż

idące z głębi szarpnięcia były jeszcze za silne i mogły albo linę oberwać, albo statek uszkodzić. Nareszcie po długiej gonitwie napięcie liny zwolniało, i szybko przybierać ona zaczęła kierunek poziomy.

— Lada chwila wypłynie!

Istotnie nie minęło i pięciu minut, gdy o ćwierć wiorsty na przodzie statku zakotłowały się fale, buchnęła fontanna, i z zakrwawionych pian ukazał się wieloryb z tkwiącym w grzbiecie żelazem.

Spuszczona ze statku mała szalupa z dwoma wioślarzami, ślizgając się, jak drobna łupina, wśród wielkich wodnych pagórków, biegła ku zdobyczy. Pośrodku szalupy stał sternik z niezmiernie długą dzidą, gotową do uderzeń, zawieszoną poziomo na ramieniu. Wieloryb spostrzegł ich i dał nurka, ale osłabły, już długo pod wodą wytrzymać nie był zdolny i znów po chwili wypłynął, miotając w górę wodę i krew. Morze wkoło niego zabarwiło się purpurowo. Łódź dopadła go w mgnieniu oka, i długa dzida sternika, pchnięta mocno, zagłębiła się, jak igła, w olbrzymie ciało, szukając serca.

Ogromne, ale łagodne stworzenie ciskało się szalenie od bólów, które go zmysłów pozbawiały, tłukło potężnym ogonem po wodzie, rzucało fontanny, rozwierało szeroko paszczę, ale widocznie nie pojmowało, gdzie szukać nieprzyjaciela i co robić, aby się od niego uwolnić. Łódź skakała dokoła niego, jak drobny listek, lecz nie uchodziła, i okropne, zimne żądło z ręki sternika raz wraz zapuszczało się we wnętrzności ofiary. W podobny sposób męczyły wieloryba jedynie czasem staje rekinów, ale

od nich mógł uciec, nawet gdy zdążyły urwać mu pletwę lub wypruć połać sadła. Od tych nowych, nieznanych mu wcale stworzeń biedny potwór uciec nie mógł, coś go trzymało i sprawiało ból tak szalony, że wołał już krążyć na wodzie i poddawać się przejmującym ukłuciom, niż znowu uchodzić w głębię i szarpać obolałe trzewia.

Nareszcie dzida sternika sięgnęła mu serca. Książę morza wspiął się na falach i runął z łoskotem w odmęty.

Łódź szybko uciekała do statku.

Słońce zagasło, złoty zmierzch muskał spienione bałwany, na których już spokojnie kołysało się ogromne, podłużne ciało, błyskając wśród pian atłasowo białym podbrzuszem i ostremi pletwami, wielkiemi jak uszy mamuta.

Na statku szybko warkotał bęben, ciągnąc zdobycz na linie. Trzeba było się śpieszyć, gdyż czasami zabity wieloryb tonie i trudno go wydobyć. W dodatku wzburzone fale mogły przy lada niezręczności urwać linę lub obluzować harpun i... zabrać zdobycz.

— Wieloryb wtedy jest nasz, kiedy w kotle! — rzekł właściciel parowca. — Nawet podwiązany u statku urywa się na wzburzonym morzu i idzie na dno. Każdy z nich przecież waży tyle, co stado wołów: siedmdziesiąt sześć tysięcy funtów tłuszczu i mięsa i dziesięć tysięcy funtów kości. Cały, panie, majątek! W zimie, kiedy można świeże jego mięso przewieźć do Japonji, sprzedajemy go za 2000 rubli. W lecie, kiedy głównie na tran go się przetapia,

dostajemy zaledwie 1200 rubli za sztukę. Mięso wtedy i kości suszymy i mielemy na kompost, to też cena niezła, ale gorsza niż za świeże lub solone mięso. Za świeże mięso Japończycy chętnie płacą w Nagasaki 10—12 kop. za funt, jak za wołowinę. Pociętego wieloryba składamy w kosze i stawiamy na pokładzie w przewiewnym miejscu. Wiatry w zimie wieją chłodne, i w ciągu dwuch dni przejazdu stąd do Japonji mięso się nie psuje. Mięso jest smaczne, podobne smakiem do wieprzowiny. Na targach japońskich bywa w mgnieniu oka rozchwytywane. Interes byłby dobry, gdyby zawsze można odgadnąć, gdzie te szelmy wypłyną. Ale nieraz po kilku dniach upędzania się zaledwie jednego uda się złapać, a wydatki na utrzymanie statków, załogi, urządzenie kuchni pływającej, przenoszą z górą 1000 rubli dziennie. Prawda, że bywają dni, kiedy dwa nasze statki myśliwskie złowią trzy, nawet cztery wieloryby, albo złapią „sinego“ wieloryba, który za cztery starczy i daje za 4000 rubli towaru, ale to zdarza się rzadko. Zwykle liczyć można zaledwie na jedną lub dwie sztuki dziennie. Wieloryby tutejsze są o wiele mniejsze od północnych, których wartość dochodzi do 20.000 rubli, ale zato wciąż je łowić można. Polowanie trwa rok cały, z przerwami, gdy szaleją burze lub śnieżne zamiecie.

— Czyż tu bywają śnieżne zamiecie?

— Panie, tu w zimie na morzu nieraz tak zimno, jak w Syberji; liny tak marzną, że rozwijać się nie chcą, a fala tak samo płócze ludzi, jak dziś. Cóż

robić?... Ciężko, ale zimowa zdobycz cenniejsza, bo ją sprzedać można łatwiej i z większą korzyścią...

W czasie naszej gawędy przyciągnięto wieloryba do parowca i przytroczono go na łańcuchach za ogon do dzioba statku, który, mocno chyląc się na bok pod ciężarem zdobyczy, ruszył wśród ciemnych, ryczących bałwanów ku niewidzialnemu lądowi.

Jakim cudem umiał kapitan znaleźć drogę w tych taczających się wodach, koło raf i skalistych wysepek, w ciemnościach bez majaków i morskich latarni? — to pozostało dla mnie tajemnicą...

Stojąc na mostku kapitana, wpatrywałem się w huczące otchłanie, które znowu wściekle na nas napadły, jakby mszcząc się za zabrane im dziecię. Biały kadłub tego dziecięcia tak wielkiego, że gdyby stanął na ogonie, z łatwością patrzałby na drugie piętro, wlókł się obok statku, mało co mniejszego. Wyglądaliśmy, jak mała czarna mrówka, ciągnąca dużą białą mszycę.

Parowiec ciężko dyszał, walcząc z wiatrem, z prądami i z tym wielkim ciężarem. Posuwaliśmy się wolno. Aby czas skrócić, gadaliśmy o wielorybach.

Okazało się, że o życiu ich wiemy bardzo mało. Pewnym jest jedynie, że żywią się drobnemi mięczakami i że są jedyną wyborną maszyną do przerabiania tych drobnoustrojów na cenne dla człowieka tłuszcze, mięso i fiszbiny. Te fiszbiny są to właściwie filtry, rodzaj wąsów, osadzonych w paszczy, przez które wieloryb przepuszcza nabraną w siebie wodę, zacisnąwszy szczęki, aby przecedzić schwytane wraz z wodą mięczaki. Wody on wcale przez

nozdrza nie wyrzuca, a wytryski pochodzą z wydmuchiwanego przez wodę powietrza, które wyrzuca falę do góry na 15 nieraz sążni wysoko.

Ten ogromny ssak, łagodny i prześladowany, mogący z trudnością przełknąć śledzia i niezdolny nikomu zrobić krzywdy, z wyjątkiem marnych mięczaków, jest jeszcze dość powszechny w wodach koreańskich i dalej na wschodzie i północy. Barbarzyńskie jednak upędzanie się za nim człowieka grozi mu rychłą zagładą; a dotąd nie wypracowano żadnych prawideł, ograniczających polowanie na wieloryby. Wielorybnicy bez wielkiej dla siebie korzyści zabijają cielne matki. Widziałem samice z mlekiem w piersiach.

Wieloryby są bardzo schludne, mają czystą, cienką, delikatną skórę, bez śladu szlamu. Ciało mają zgrabne, cygarowate, zakończone cienkim, wachlarzowatym, potężnym ogonem.

Wyznaję, że było mi żal tych wielkich milczących stworzeń, które karmią się, jak my, piersią matczyną. I wolałbym, aby z czasem człowiek nie mordował ich, lecz pasł na lazurowych toniach, korzystając z ich nabiału, jak od stad lądowych.

Upłynęły ze dwie godziny, nim czarny pas górzystego lądu wyraźnie zarysował się na nocnym niebie, lecz niepodobna jeszcze było dostrzec żadnych szczegółów; chmury zasnuły gwiazdy i zmrok rozświecały jedynie piany fosforyzujących fal. Ale od tego dziwacznego blasku zmrok powietrza wydawał się jeszcze głębszym.

Na szczęście, w zatoce oczekiwano nas, i smugi

elektrycznego reflektora krążyły po okolicy, jak skrzydła świetlanego wiatraka, strzelały wysoko w powietrze lub śmigały po morzu, wskazując nam drogę.

W tajemniczym, sinawym ich świetle wyłaniały się nagle to nagie, dalekie skały, spękane i porosłe krzewami, to płachty hasających, wrzących pian morskich, to skłębione chmury, zawisłe w niebiosach.

Mała czerwona gwiazdka przepłynęła koło nas, i wiatr przyniósł odgłosy smutnej piosenki koreańskich wioślarzy. Spóźnieni, zaskoczeni przez burzę rybacy wracali do domu.

TAKU. — TJENTSIN. — PEKIN. — SZANGHAJ.

Naszym małym, brudnym i niedbale utrzymanym stateczkiem, należącym do kolei Mandżurskiej*) porządnie rzucały fale w nocy 12 listopada przy przejeździe z Portu-Artura do Czi-fu. Dopiero w samej zatoce, w której głębi leży port, zmalały. W oddali mgliły się brzegi czerwone, górzyste, nie tak spiętrzone jak koreańskie, ale równie nagie. Brudno-lazurowe morze kołysało się w ich obszernym wnęku. Daleko na urwisku czerniało miasto a w dole pod nim zarysowywał się jasną plamą wśród tłumu ciemnych statków biały kadłub wojennego okrętu. Mijamy dżonki z wielkiemi bambusowemi żaglami, żółto przeświecającemi pod słońce, mijamy łodzie rybackie z tępemi nosami. Fala naszego parowca zalewa nizkie ich burty i kołysze je gwałtownie. Brudni i oberwani chińscy rybacy patrzą na nas obojętnie. Zarzucamy wreszcie kotwicę w odległości paruset sążni od brzegu i natychmiast oblega nas rój ciężkich, korytokształtnych „sampanów". Przewoźnicy wrzeszczą, biją się i drą ku nam bezładnie, zaczepiwszy bosakami o burtę. Dowiaduję się, że za kilka godzin odchodzi do Tjentsinu angielski parowiec

---

*) Statki te kursują codzień między Port-Arturem i Czi-fu; odchodzą wieczorem.

„Shenkeng“. Stoi nie dalej jak o 100 sążni od nas. Każę się natychmiast przewieźć nań wraz z rzeczami. Ale po bilet muszę się udać do agientury na brzeg. Kapitan uprzejmy, parostatek czyściuchny i elegancki. Zato drogo: ma klasę wyłącznie pierwszą i za półtora-dniowy przejazd 35 dolarów od osoby.

Biuro zamknięte. Otworzą je punkt o dziesiątej, ani minutę później, ani minutę wcześniej. Korzystam z czasu i idę na śniadanie do najlepszego z tutejszych hoteli „Beach Hotel'u“. Brudno, nieuprzejmie i niedbale. Ani porównania choćby z takim drugorzędnym hotelem japońskim, jak „Daibutsu“ w Czemulpo. Ceny jednak wysokie: za liche śniadanie zapłaciłem dolara. Po śniadaniu udaję się do chińskiego miasta. Wązkie uliczki literalnie są zatkane brudnym, cuchnącym, wrzeszczącym i zajętym tłumem. Spokojniej zachowują się jedynie robotnicy u straganów z jadłem. Przysiadszy gromadnie na ziemi lub na nizkich ławeczkach, chciwie pożerają oni z małych miseczek rozlewany przez przekupniów niewybredny pokarm, jakieś makarony w brunatnej zupie. Tymczasem mimo przeciągają całe procesje jucznych mułów, osłów i ludzi, zaczepiając się wzajem i wciąż pokrzykując i swarząc. Wokoło dzikie, nieumyte, bronzowe twarze, ale spojrzenia dość łagodne i wesołe... Nieraz, spotkawszy się ze mną oczami, uśmiechają się, pokazując białe zęby... Zresztą zapracowany tłum mało na mnie zwraca uwagi. Dopiero gdym wszył się daleko w miasto, w mniej odwiedzane zaułki, pojawienie się moje zaczęło wywoływać sensację... Z wąziuchnych drzwi, zakrytych

od podwórza murowanemi lub drewnianemi tarczami, wyskakiwały dzieci, wychodziły kobiety w szerokich, kolorowych rajtuzach z małemi jak kopytka nóżkami. Piękności te używają bardzo dużo różu i bielidła, ale bardzo mało... mydła. Czuć to zdaleka. Każda ma pośrodku ust plamę karminową, im młodsza jest i ładniejsza, tym jaskrawszą. We włosy wpinają sztuczne kwiaty i szpilki z ozdobami z drżących błękitnych piórek sójek, naklejonych na srebro lub złoto. Wszystko to sterczy dość wysoko i chwieje się przy najmniejszym ruchu głowy, gdyż kobieta powinna być zawsze podobną do kwiatu lub motyla!... Lecz żony ubogich prostaków zupełnie są podobne do... swych mężów, nawet z ubioru, i pracują narówni z niemi. Wszystkie jednak mają okaleczone nóżki-kopytka i może dla tego jedynie nie noszą takich ciężarów na plecach i głowie, jak wspaniałe niewiasty koreańskie. Wszystkie Chinki, choć często niemyte, mają starannie zaczesane włosy, równo i pracowicie nawinięte na długie i szerokie deseczki.

Zabrnąłem nareszcie w takie brudne uliczki, że od zaduchu źle mi się robić zaczęło. Pod szaremi, odrapanemi murami grudy śmiecia, nawozu, trupy zdechłych kotów i psów... Wśród tych obrzydliwych kopców kręciły się jakieś podejrzane, oparszywiałe, kołtuniaste ludzkie i zwierzęce postacie. Tu już nie spostrzegałem uśmiechów, lecz niespokojne, błędne spojrzenia śledziły za mną, jak za zdobyczą... Obdartusi zaczęli się zwolna skupiać koło mnie... Wykrzykiwali coś od czasu do czasu, pokazując na

usta, lecz choć brała mię głęboka litość, rozumiałem, iż byłoby bardzo nierozsądnie wyjąć portmonetkę w tym towarzystwie. Cofnąłem się więc, nie zdradzając pośpiechu, znowu ku europejskiej dzielnicy przez kręte, głuche uliczki bez drzwi i okien, podobne do szpar w spękanych skałach... Obdartusi szli wciąż za mną, pokazując na usta.

Znikli dopiero w tłumie handlowej dzielnicy, błyskawicznie podchwyciwszy rzuconą im przezemnie monetę, wystraszeni widokiem chińskiego policjanta z grubym kijem w ręku.

Na „Shenkeng'u“ znalazłem samych Anglików. Było paru Francuzów, ale ci mało się udzielali, kryjąc po swoich kajutach. Były dwie panie, jedna, młoda „lady“, bardzo przystojna, dystyngowana blondynka, jechała z Szanghaju na tydzień do Pekinu. Nikt jej nie towarzyszył w podróży, ale wszyscy otaczali uprzejmą, spokojną, angielską opieką... Druga była siwa już pani, mężnie dotrzymująca kroku podróżującemu widocznie w interesach synowi. W tym towarzystwie był, rozumie się, i nieodzowny „globetrotter“, udający się do Korei na polowanie na bażanty. Pytał mię, czy nie wiem, gdzie tam najodpowiedniejsze do tego miejsce...

— Rozumie się, że w górach, lecz uprzedzam pana, że tam pewnie już spadły śniegi!

Wzruszył ramionami z wyrazem przykrego zdziwienia.

Zapadał wieczór, a malinowe słońce, wielkie, matowe, jak to często bywa w Japonji, skryło się

za dalekie, górzyste, chmurne brzegi. Na niebie wysokie, ślimakowate obłoki wróżyły tajfun...

Istotnie w nocy tak nami kołysało, że mój kuferek, taczając się po kajucie, wpadł aż na mnie i obudził mię. Nie byłem mu wdzięczny, gdyż już nie mogłem usnąć od niezwykłego łoskotu nacierających na statek bałwanów, zamętu wirujących dokoła ścian i bolesnych wstrząśnień śruby, co chwila wynurzającej się z wody i bijącej w puste powietrze. Na szczęście trwało to zaledwie kilka godzin; musnęło nas jedynie skrzydło burzy.

Gdy nazajutrz obudziłem się, słońce już wysoko było wzeszło na niebie i parowiec mknął lekko po sfalowanym, bezbrzeżnym przestworzu, żółtym od żółtych, mętnych fal, jak szata bogdochana. Wkrótce w dali zamajaczyła cieniuchna nitka nizkich, błotnistych brzegów. Podbite z dołu słonecznym blaskiem, zdawały się wisieć w powietrzu, jak sznur oddzielnych kropeczek i kresek. Zwolna kropeczki te rosły, łączyły się, wreszcie utworzyły blado-żółty ląd, najeżony tu i owdzie masztami skupionych koło przystani okrętów... Zarysowały się ciemne kadłuby domów, zabielały czoła zburzonych w czasie ostatniej wojny fortów, służących obecnie za majaki. Na szczytach ich widziałem pikiety chińskie, japońskie i francuskie. Niemcy usadowili się przeważnie dalej wzdłuż kolei...

Wkrótce przybiegł mały parowiec i uprzedził nas, że stan wody w rzece jest nizki i że przejść „baru" niepodobna. Kapitan uwiadomił nas, że będzie tutaj wyładowywał towary, a do Tjentsinu ma nadzieję

dostać się dopiero za dwa dni. Choć więc wszyscy mieliśmy bilety do tego miasta, ruszyliśmy gromadnie dalej koleją. Jest to stanowczo nadużycie parostatków, które, znając stan wody, obiecują mimo to zawieźć na miejsce i, rozumie się, nie zwracają zapłaty. Jedynie na wiosnę i w lecie warto brać bilety wprost do Tjentsinu. W jesieni i w zimie lepiej wysiadać w Taku. To w każdym razie skraca drogę przynajmniej o 5 do 6 godzin.

Na przystani kolejowej gwałt, krzyk, nieporządek... Policjantów aż czterech. Rosłe draby w czarnych zawojach, czarnych opiętych ubraniach z czerwonemi literami na piersiach. Każdy ma w ręku gruby, krótki obuszek. Poco jednak tu stoją, nie wiem, gdyż wcale a wcale nie mieszają się do tego, co się wkoło nich dzieje, i pozostają zupełnie obojętni na prośby i pytania podróżnych. Co za różnica z japońskiemi policjantami, których na takich przystaniach zwykle jest najwyżej dwuch, zato każdy choć trochę rozumie po angielsku i pilnie przestrzega porządku. Ponieważ w Chinach niema taks, więc przybysz jest wciąż narażony na przykrości i nadużycia ze strony tragarzy, woźniców i przewoźników... Zabierają gwałtem jego rzeczy, ciągną go, gdzie chcą, i ani opór, ani protesty, których zresztą nie rozumieją, nic nie pomagają! Wkońcu żądają bajecznego wynagrodzenia, nawet w razie, gdy samowolnie zabrali pakunki i zanieśli je w przeciwną stronę... Szarpią za ubranie, wrzeszczą „money“, wymachują pięściami... Każdy chce „dolara“ za przeniesienie walizki o sto kroków, a żaden z nich, na-

wet rosły i silny, nie weźmie dwuch choćby najmniejszych węzełków. Każdy węzełek wymaga sakramentalnie osobnego tragarza. Znałem już te wszystkie „sposoby“ Chińczyków, więc niewiele sobie robiłem z ich krzyku i zwróciłem się do porządnie ubranego krajowca z zapytaniem, ile im się w istocie należy. Mówił po angielsku, ale mi powiedział jedynie, ile jego rodacy żądają, lecz ile im się należy, powiedzieć nie chciał... Zawsze to samo: zupełna solidarność wszystkich warstw nawet w rzeczach nieładnych względem Europejczyka! I w tym muszę zaznaczyć różnicę z Japończykami, którzy, choć żądają także wyższych cen od cudzoziemców, ale nie pozwalają na nadużycie i wyzysk poszczególnych osób.

Po godzinie mniej więcej oczekiwania stanął nareszcie pociąg przed stacją i podróżni zaczęli wsiadać. I znowu trzeba było płacić za ładowanie pakunków. Nadomiar złego nie wydają na tej kolei biletów na bagaż. Każdy musi swe rzeczy sam wnieść do wagonu i prosić bagażowego o „opiekę“. Chaos, zamieszanie, ale rzeczy podobno nie giną; z moich też nic nie zginęło, choć trzykrotnie zdawałem je na taką „opiekę“. Na każdym pakunku przykleja posługacz kartkę z nazwą miejsca odbioru i... wyciąga rękę... Jest to ruch, który w Chinach wciąż się widzi; nawet przechodzień Chińczyk, skoro dostrzeże, że cudzoziemiec trzyma w ręku portmonetkę, wyciąga rękę... na wszelki wypadek. Doprawdy, nawet Włosi są o wiele skromniejsi. Różnią się jednak Chińczycy od Włochów pod tym względem,

gdyż w Chinach można nic nie dać bez narażenia się na wygwizdanie lub szturchańce, jak w Neapolu lub Wenecji.

Pociąg przebiega w półtorej godziny 45 mil ang., oddzielających Taku od Tjentsinu. Miejscowość wkoło równa, błotnista, pełna sapowisk i solanek. Na stacjach — wojskowe postoje. Trochę dalej od morza pojawiają się coraz gęściej oddzielne fanzy i wioski. Dużo z nich leży jeszcze w gruzach. Sąsiadem moim w wagonie był handlowiec, który tu w czasie wojen służył w milicji jako ochotnik. Mówił mi, że wzdłuż całej tej drogi, aż do Pekinu po przejściu wojsk europejskich wszystko było spalone i pobite. Trupy mężczyzn, kobiet i dzieci leżały gęsto na polach i gęściej jeszcze płynęły na rzece Paj-ho...

— I długo tu było pusto i straszno!... Niby ktoś rękę we krwi umaczał i przeprowadził smugę po ziemi!...

Wierzę bardzo i już wcale się nie dziwię, że chińscy wyrobnicy chcą teraz żywcem każdego Europejczyka z mienia obedrzeć. To im się należy.

Stanęliśmy w Tjentsinie o zmroku. Nauczony doświadczeniem, nie brałem kulisów, lecz oddałem się pod opiekę agienta hotelowego, Chińczyka z ogromną latarnią, na której czarnemi literami umieszczony był napis hotelu. Posadzono mnie do otwartej półkaretki, zaprzężonej w dwa tęgie muły, i ruszyliśmy, roztrącając ludzi, wiozących i niosących ciężary, lektyki, węzełki, latarki... Ten rój światełek, kołyszących się nizko przy ziemi wśród mroku, ku-

rzawy i ludzkich cieniów, nadaje pewien specjalny koloryt ulicom Dalekiego Wschodu... Światełka płyną, zataczając fantastyczne zygzaki. Niewiadomo, kto je niesie i dokąd. Od czasu do czasu tylko mignie w ich blasku ręka, noga, twarz przechodnia, wyłoni się z ciemności tułów ludzki lub koła przelatującej „rykszy“.

Po drewnianym moście, bez poręczy, szerokim zaledwie 2 i pół sążnia, tak natłoczonym ludźmi, że aż się uginał, przebyliśmy mętną Paj-ho i dostaliśmy się do czystej, bogatej dzielnicy europejskiej.

Nazajutrz zwiedzałem miasto. Chińska połowa — brudna, gwarna, ludna — różni się od innych miast chińskich tylko napisami angielskiemi na wielu szyldach oraz obecnością cudzoziemców na ulicach. Najwięcej spotykałem Japończyków i sklepy japońskie widziałem też w chińskiej dzielnicy. Europejski „settlement“ przedstawia piękne, niezupełnie jeszcze zabudowane miasto z szerokiemi ulicami, wysadzonemi drzewami, z piętrowemi, murowanemi domami, wyglądającemi nieraz, jak pałacyki. Przeważa zresztą architektura handlowo-koszarowa, panują składy, sklepy, biura, banki. Nie dostrzegłem śladów oblężenia. Ratusz odnowiony; gruzy z śródmieścia uprzątnięte, pozostały jedynie na brzegu Paj-ho. Znikła też stamtąd wspaniała katedra katolicka, zburzona przez bokserów. Na ulicach pilnują porządku wspaniali „sikhowie“ w kolorowych zawojach oraz najemna chińska policja w mundurach. Każda narodowość ma tu swą pocztę, ale istnieje i poczta

chińska, utrzymywana i prowadzona przez urząd celny pod nadzorem Anglików. Działa bardzo poprawnie, lecz listów w głąb Chin nie wysyła. Tam zostały dawne poczty prywatne, utrzymywane przez domy handlowe, lub spółki kupców chińskich. Codzień z Tjentsinu odchodzi kilka pociągów do Pekinu, ale najdogodniejszy, zdaje się, jest pośpieszny, który idzie wprost z Iń-kou i Szań-haj-guania do granicy mandżurskiej. Do Tjentsinu przybywa on o trzeciej popołudniu. Ma wagon jadalny i komunikację bezpośrednią z Dalnim, gdyż obecnie zbudowano już na rzece Liao-he czasowy most drewniany; można więc dostać się z Warszawy do Pekinu z trzykrotnym zaledwie przesiadaniem, mianowicie: w Moskwie, nad Bajkałem i w Dalnim.

Na stacji zwykły ruch chiński, gwałt, nieporządek, choć przy odejściu asystuje znowu pociągowi policja całego świata. Miałem przyjemność oglądać prócz „sikhów“ i najemników chińskich, małych, eleganckich, japońskich policjantów, oraz niemieckich, francuskich i austrjackich żołnierzy.

Przejazd z Tjentsinu do Pekinu trwa 4 i pół godziny. Było zupełnie ciemno, gdyśmy stanęli na miejscu. Odszukałem agienta poleconego mi hotelu i poszedłem razem z nim odbierać rzeczy. W wagonie bagażowym mrowie Chińczyków, każdy coś ciągnie. Nie wiem, doprawdy, jak się to stało, że swoje rzeczy odebrałem w całości. Kosztowało mię to zaledwie dziesiątkę, przyjętą skwapliwie przez bagażowego. Znowu kilku Chińczyków złapało po jednym pakunku, ale hotelowy zredukował ich na-

tychmiast do dwuch i ruszyliśmy wzdłuż wielkiej, czarnej ściany w ciemnościach ledwie rozświeconych tu i owdzie migającemi ognikami latarni. Przez wielkie wrota sklepione dostaliśmy się do miasta. Od samej stacji trop w trop szedł za nami jakiś jegomość.

— Poco pan do nich idzie? Oni biorą siedem dolarów, a my tylko trzy — mówił łamaną ruszczyzną.

Znowu Niemiec!

Nic mu nie odrzekłem.

— Doprawdy, wyrzucone pieniądze! U nas wcale nie gorzej!...

— Nie wierzę w niemieckie hotele.... Jużem się sparzył!...

— Ależ i tamten niemiecki...

— Taak?....

Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tą okolicznością, gdyż mój przewodnik rzeczy na jedną „rykszę“ był ułożył, a do drugiej gwałtem mnie ciągnął.

Hotel istotnie okazał się niemieckim: poświadczyły to swędzące obrzydliwie lampy, niedbała, nieuprzejma usługa, zła kąpiel, kurz, brud i wiele innych drobnostek, bardzo przykrych dla zmęczonego podróżnika.

W Pekinie Niemcy stanowczo „stanęli mocno“; niemieccy żołnierze, niemieckie koszary, niemieckie napisy i sklepy rzucają się w oczy. Rosyjskich żołnierzy, choć ich o wiele więcej, jakoś nie widać.

Pewien Anglik, który mieszka na Wschodzie już

lat piętnaście, spostrzegłszy u mnie niemiecką mapę z „rejonami wpływów“, uśmiechnął się ironicznie:

— O tak, rozbiór Chin to kwestja czasu! Niemcy wezmą Pekin i Chiny Północne, Rosja — Mongolję i Mandżurję. Japonja — brzeg naprzeciw Formozy... Ale co to? Tutaj koło Kantonu widzę, że napisali Francuzów, tymczasem tam przecie od niepamiętnych czasów siedzą Anglicy... Aha, rozumiem!... Nie śmieli napisać siebie, ale powolutku mają nadzieję zabrać i to, jako terytorjum sporne!... Sprytnie...

Właściwie przy takim podziale dostałyby się Niemcom dwie trzecie Chin, gdyż dla nikogo nie jest tajemnicą, że Mandżurja i Mongolja, zajęte i strzeżone przez żołnierzy rosyjskich, stają się zwolna wielkiemi rynkami niemieckiemi. W Mandżurji, Niuczwangu, Arturze z przyjściem Rosjan znikły istniejące tam przedtym amerykańskie i angielskie domy handlowe, powstały natomiast niemieckie. W Hankou ich liczba szybko wzrasta, skupują fabryki i zakładają sklepy. Ich koncesja uważana jest za najlepszą. Z swoim „billig aber schlecht“ wypierają i biją oni Anglików, nawet w ich własnych kolonjach, gdyż „tandeta“ bardziej odpowiada wymaganiom wschodniego rynku. Sprawiedliwość zresztą przyznać nakazuje, że niemieckie „schlecht“ o wiele jest lepsze od słowiańskiej „doskonałości“ i że dopiero porównanie niemczyzny z angielskiemi wyrobami, uczuciami, pojęciami i obyczajami wykazuje całą bezwzględną ich niższość. Niewątpliwie przypuszczalny rozbiór Chin jest pożądany i korzystny

wyłącznie dla Niemców. Oni też tu zapewne odegrają taką samą rolę, jak przy rozbiorze Polski. Rosja z zajęciem Mandżurji faktycznie już owładła Mongolją. Anglja zadowolona jest z tego, co posiadła i terytorjalnych zaborów nie pożąda. Francuzi jeszcze nie strawili Tonkinu. Dla Japonji rozbiór Chin byłby po prostu klęską. Ona w głębi serca wielbi jeszcze Chińczyków i marzy o sojuszu z Chinami, z Koreą, o olbrzymiej federacji wschodniej, która, zbudowana na modłę europejską, oświecona, bogata, szczęśliwa i wolna, stałaby się nieprzebytą tamą dla nienasyconych barbarzyńców z Zachodu. Mówiono mi, że istnieje nawet wśród młodzieży japońskiej tajne stowarzyszenie, zorganizowane w celu rozpowszechniania tej idei, że członkowie jego pozostają w ciągłych i zażyłych stosunkach z takiemiż stowarzyszeniami Młodych Chin. Chińczycy i Chinki dążą na uniwersytet do Tokjo, gdzie ich chętnie i przyjaźnie przyjmują. W gazetach dość często można czytać wzmianki o chińsko-japońskich zebraniach studenckich, pełnych patryjotyzmu i wynurzeń braterskich.

Krąży nawet legienda, że rewolucyjna młodzież japońska wysłała w swoim czasie bokserom chińskim pomoc w ludziach i orężu, lecz że okręt w drodze zatonął. Obecnie już wielu Japończyków ze sfer rządowych — a w głębi ducha może już wszyscy — przyznają, że wielką omyłką z ich strony był udział w wojnie europejsko-chińskiej.

Aby dokonać bezkarnie rozbioru Chin, trzeba przedewszystkim co rychlej zmiażdżyć Japonję. Stąd

to płynie z jednej strony nieustanne szczucie jej na Rosję, a z drugiej... płomienne mowy i malowanie znanych symbolicznych obrazów, gdzie „żółtego smoka“ mężnie zabija europejski „anioł“...

Dziedziczna polityka krzyżacka!

Spróbujmy jednak choć cośkolwiek odgadnąć z tego, co się dzieje w duszach Chińczyków.

W drodze z Pekinu do Szanghaju spotkałem na obrzydliwym parowcu chińskim „Tai-shun“ trzech austrjackich marynarzy. Jeden był Morawianin i mówił po polsku, Chorwat rozumiał po polsku, trzeci był Niemiec z pod Wiednia. Wszyscy młodzi i dorodni. Morawianin miał zaledwie lat dwadzieścia.

— Dwustu nas jest Austrjaków w Pekinie. Nasz kapitan, Polak ze Lwowa, Radzikowski, dobry pan, Ritter Nikolaus Radzikowski, drugi kapitan też Polak z Krakowa, Bogumił Nowotny, i inżynjer, co buduje ministrowi dom, Polak Kownacki... i żołnierzy dużo Polaków... Dobrzy kamraci, weseli...

— A co wy tam robicie w Pekinie?

— A nic nie robimy. Jemy, pijemy, kurzymy, po dwadzieścia dolarów miesięcznie bieremy, a starsi po sześćdziesiąt, i nic nie robimy... Za wszystko płacą Czinezi... Li-chung-czang płaci... A my im za to jeszcze po karku, po karku dajemy... O jak!...

I opowiedział mi dla przykładu, jak dni temu ze „czterdzieści“ Chińczycy zrobili podkop pod poselstwo angielskie, jak na przekopie załamał się murek, po którym chodził szyldwach, i wszystko się wydało, gdyż ukryci w podziemiu ludzie zaczęli krzyczeć...

— Dwudziestu złapano!... Milczeli, choć im mówić kazano, broń przyłożywszy do głowy... milczeli... Dynamit znaleźli... Jeszcze dwa dni, a wysadziliby wszystkich w powietrze... Od cesarskiego pałacu szedł podkop!...

Nie miałem możności sprawdzić tej opowieści, ale dyszała prawdą. Młody chłopak opowiadał ze wzruszeniem, jak zbudzono go w nocy, jak schwycił „amunicję“ i „gewehr“ i pobiegł z towarzyszami, jak w ciemnej ulicy do nich strzelano i jak kula przebiła mu rękaw.

— Bóg z niemi... z Czinezami!... Zabiją!... A ojciec umarł, matka sama została, prosiła cesarza, aby mię wrócił, więc wracam... Co tu w Pekinie?!... Nic niema, ani muzyki, ani dziewczętów, ani potańczyć gdzie... Czinezki smerdiat i krzywo patrzają... Chodzić samemu nie spieczno!... Przecie precz lubią nas Austrjaków... My im warkoczów nie obcinamy bez potrzeby, jak Niemcy, Francuzi, Taljany i inni ludzie... Ale matka sama została, więc jadę...

I wciąż wracał w rozmowie do kraju, do swoich, a ja myślałem o tych dwudziestu spiskowcach, którzy, kopiąc wązki kanał podziemny pod obozowiskiem wrogów, szukali w tej nierozumnej robocie ujścia dla swych zbolałych uczuć.

— Co im zrobią?

— Komu?... Ach, Czinezom?... Hlawy usiekut!

Żołnierz Niemiec, który słuchał uważnie naszej rozmowy, tłómaczonej mu po włosku przez Chorwata, głową poważnie potakiwał.

— O tym pisano i w „Cajtungu“ i w „Nowinach“ — rozsiewał me wątpliwości Morawianin.

Był to zresztą wypadek tak naturalny, że nawet nie bardzo wątpiłem *). Przypomniałem sobie, jak w Mukdenie w odludnych uliczkach rzucano na mnie łupinami, błotem, piaskiem, no i... tak sobie małemi napomknieniami na duże kamienie. Przypomniałem sobie następnie, z jaką skwapliwością żołnierze chińscy w Pekinie biegli ku mnie z nadstawionemi bagnetami, gdym spróbował zbliżyć się do wrót „Zakazanego Miasta“, z jaką przyjemnością potym mój umorusany ryksza ubolewał nade mną:

— A co? Chińscy żołnierze... Nie puszczają... Nie puszczają chińscy żołnierze!...

Tłum, który się natychmiast koło nas zgromadził, też bardzo był zadowolony z zachowania się żołnierzy. Ci przecie nazbyt się pośpieszyli, gdyż byłem jeszcze bardzo daleko od wzbronionego progu. W ich pośpiechu wyraźnie przebijała gwałtowna potrzeba wynagrodzenia sobie, choć w tak błahy sposób, za niedawne poniewieranie świątyni narodowej. Zresztą ci sami żołnierze w chwilę potym prosili mnie dobrodusznie, abym pozwolił im spojrzeć przez moją lornetkę i, wziąwszy karabiny pod pachę, długo, uważnie patrzyli przez szkła. Żaden z nich pewnie nic nie widział, gdyż była nastawiona dla krótkiego wzroku, lecz każdy, zwracając ją, grzecznie podniósł wielki palec i powiedział:

---

*) Później dowiedziałem się, że o tym istotnie było w gazetach.

— Chao! (dobrze).

W dalszym ciągu przypomniałem sobie, jak poważny i przyzwoicie odziany Chińczyk odskoczył ode mnie i uciekł, oglądając się z dzikim przerażeniem, gdym w wązkim przejściu podniósł zwolna rękę do czapki, prosząc o przepuszczenie. Przypomniałem sobie następnie, jak na przystani w Szanghaju bili po twarzy chińskich wyrobników Europejczycy z „towarzystwa“, ludzie ukształceni, których miałem za gentelmenów.

Pekin, choć brudny, zakurzony, cuchnący, sprawił na mnie wielkie wrażenie. Patrząc na jego potężne mury, na świątynie, pałace, bramy i wieże o poważnych, potężnych linjach, zrozumiałem ów głęboki wpływ, jaki Chiny wywarły na cały Wschód. Były to pamiątki olbrzymiej i doskonale zorganizowanej energji zbiorowej, coś bodaj że większego od budowli Egiptu. Nie dziwiło mię już, że Korea została wierną i ślepą Chin naśladowniczką, a Japonja pilną uczennicą. Wpływy Chin z jednej strony sięgnęły wysp oceanu Spokojnego, z drugiej obiły się aż o brzegi morza Kaspijskiego; starożytne chińskie wyroby widywałem aż hen, nad oceanem Lodowatym.

Teraz olbrzym umiera. Jako starzec widzi jedynie w przeszłości piękno i dobro. Lecz nie chce umrzeć przed czasem i w rzutach przymusowego zgonu nieraz jeszcze wstrząśnie światem.

— Za lat kilka czekają nas tu krwawe niespodzianki! — słyszałem, jak mówił jeden z posłów europejskich.

Do odrodzenia się Wschodu Europa nie dopuści. Zbyt ona głęboko wierzy w jedno z przykazań ubiegłego stulecia: „nie będziesz czcił praw innych nad prawa handlowe!...“

Stałem oparty o kamienną balustradę kanału, otaczającego „Zakazane Miasto“, i patrzyłem na szereg żółtych, wygiętych dachów, wystających z poza wysokich ścian purpurowych, na śliczną, wielopiętrową pagodę narożną, przeglądającą się w wodzie, na „Wzgórek Węglowy“, uwieńczony misternemi kjoskami. Szczególniej jeden z nich, podobny do niebieskiego parasola chińskiego, ukryty wśród krzewów, cudnie grał barwnemi majolikami... Ale nawet zdala widać było, że wszystkie budynki są już zaniedbane, że się chylą do upadku, umierają... Jesienne, bezlistne drzewa, żółte, spłowiałe stoki pagórka, poszczerbione mury, daleko uchodząca, nieskończenie długa perspektywa pałaców, których widać było stąd jedynie złocone okapy, zachodzące słońce — czerwone i bez blasku, wszystko owiane tumanami szarej, niesionej przez wichurę piasczystej kurzawy, składało się na obraz pełen nieokreślonej, bolesnej tęsknoty... Było mi czegoś bardzo żal. Student poblizkiej, wyższej szkoły, który mię oprowadzał po dziedzińcu pałacowym, trącił mię nagle w ramię i wyciągnął rękę:

— Daj!

I natychmiast wyciągnęło się pokornie jeszcze dłoni kilkoro.

Pierwszy pociąg z Pekinu do Tjentsinu wycho-

dzi o 7 rano. Było nieznośnie zimno, gdym wyjeżdżał i wiatr północno-zachodni dmuchał zażarcie.

Pociąg biegł środkiem miasta: teraz dopiero uprzytomniłem sobie ogrom Pekinu. Jak okiem sięgnąć, ciągnął się szeroki, wielki, zębaty mur miejski i ginął we mgłach. Ponad nim strzelały krępe wieżyce bram, ale nic więcej. Nizki rój ulic i domków miejskich z ogrodami i świątyniami krył się bez śladu za potężną, ceglaną ochroną. Z okien pociągu widać było jedynie przedmieścia, podobne zupełnie do śródmieścia, takie same szare, brudne, zakurzone, jeno mniej ludne i bogate. Zaraz za niemi zaczynały się rozległe cmentarze, podobne do wielkich kretowisk — nagie, smutne, bez drzewka i upiększenia. Osławiona synowska miłość wyrażała się tylko w większych rozmiarach wzniesienia, usypanego na postawionych pośród pola trumnach ojców. Bardzo rzadko dostrzec można gaik sosnowy na wzgórku z rodzinnemi grobami, okopanemi zwykle z jednej strony półkolistym wałem. Cmentarze bezpośrednio mieszają się z polami i wioskami, gęsto rozsianemi po okolicy. Dużo samotnych mogił stoi wśród pól, jeżeli tam wróżbita wskazał im miejsca. Dokoła wsi i na miedzach pól ciągną się wszędzie gaje i szpalery drzew, przeważnie wierzbiny, którą rok rocznie strzygą tu na opał, jak owce. Wioski szare są zbudowane z mułu i mułem pokryte. Bardzo rzadko daje się spostrzec dom z wywiniętym, krytym dachówką dachem. Rzadziej jeszcze trafiają się świątynie z czerwonemi wrotami. Na polach zieleniła się posiana w brózdach ozimina i grzędy nie-

zebranej jeszcze w wielu miejscach sałaty, którą Chińczycy kwaszą, jak my kapustę. W wielu miejscach nad zasiewami widziałem ukośnie pochylone tarcze trzcinowe od wiatru. Uprawa gruntów wszędzie wyborna. Na drogach dużo przechodniów, chowających zmarzłe ręce w szerokie rękawy, dużo dwukołowych, krytych biedek, ciągnionych przez osły i muły. Na rolach oracze szli w kłębach kurzu i wichury, odwracając skiby. Na stacjach, pokrzykując, wciąż wsiadali i wysiadali zziębnięci Chińczycy. Tuż koło samego Tjentsinu przyniesiono przed nasz wagon piękną lektykę; urzędnik, z kryształową gałką na czapce, zrobił w niej siedzenie; inny przyczepił do jej boku jakiś znak z piór, poczym ukazał się poważny Chińczyk w malinowej kurmie z koralowym, gieneralskim znaczkiem. Wsiadł, tragarze podnieśli lektykę i ruszyli szybko; za stacją, na drodze, widziałem, że przyłączył się do nich orszak jezdnych i pieszych. Był to znaczny urzędnik, podobno główny inspektor szkół...

— Cywilny... Powiedziano mi, że cywilny!... — rzekł z pewnym zdziwieniem młody niemiecki oficer, który jechał w jednym ze mną przedziale.

W Tjentsinie dowiedziałem się, że wszystkie statki do Szanghaju już odeszły i że nowa okazja będzie dopiero za dwa tygodnie. Pozostawał jedynie chiński parowiec, „Taishun“, należący do towarzystwa „China Merchant“. Agient towarzystwa upewniał mię, że tam czysto i dobrze:

— Zupełnie po europejsku!...

Wierzę nawet, że „China Merchant“ szczerze

pragnęli, aby tak było, ale... między najczystszym Chińczykiem a przeciętnym Europejczykiem widocznie zachodzi taka sama różnica, jak między Anglikiem, który kąpie się codzień, a chłopem polskim, używającym kąpieli raz na parę lat. Nie radzę podróżnikom, wrażliwym na przykre zapachy i trochę „popielate“ sprzęty oraz pokarmy, żeglować na statkach chińskich. Bez względu na kołysanie się, można dostać morskiej choroby od nieznośnego odoru, jaki przenika te parowce od palących opjum pasażerów i załogi okrętu.

Wiedziałem o tym, ale wyboru nie miałem. Przed świtem wyruszyliśmy z Tjentsinu, śpiesząc, aby w południe stanąć w ujściu rzeki i w czasie przypływu przebyć słynny „bar“. Pogłębiono go, ale zawsze zbyt mało i statki morskie przejść go mogą tylko w dużą wodę.

Nasz statek nie był wielki, ale na wązkiej Paj-ho wydawał się potworem. Fala biła odeń wysoko w oba brzegi, łamiąc namarzły w czasie nocy lód. Gwizdawka wciąż była czynna, strasząc łodzie i wielkie „dżonki“, płynące naprzełaj. Paj-ho strasznie się wije. Wodę ma żółtą, i w żółtych, jesiennych brzegach, porosłych żółtemi wierzbami, usianych szaro-żółtemi wioskami w ten złoty dzień listopadowy, wydała mi się doprawdy podobną do lśniącego, żółtego smoka, skłębionego w fantastycznych skrętach na żółtym tle starej chińskiej majoliki, jaką widziałem na pałacach w Mukdenie. Wokoło ściele się płaska równina, gęsto porosła gajami... Z poza drzew wysuwają się w rozmaitych częściach widno-

kręgu ogromne, kończaste żagle „dżonek“, płynących po wtulonej w nizkie brzegi rzece, i zdaje się, że żagle te płyną lasem, roztrącając bezdźwięcznie drzewa.

O ile okolice linji kolejowej są puste, o tyle gęsto zaludnione są brzegi Paj-ho. Miejscami wioski zlewają się prawie w nieprzerwany szereg domów... Rzadko wieś od wsi leży dalej, jak na dwa stajania. Gdyśmy przepływali mimo nich, zawsze wylegał na brzeg tłum niebiesko odzianych wieśniaków, dzieci i kobiet. Mieli czas, była jesień, plony już zostały zebrane. Więc przysiadali na brzegu i gwarzyli pewnie o zamorskim straszydle. Statek nasz siedział zaledwie na 8 stóp w wodzie, mimo to parę razy zaczepiliśmy o dno i wreszcie ugrzęźliśmy na mieliźnie. Siedzieliśmy tam kilka godzin, aż przypływ nas wyzwolił. Z obu stron naszej przymusowej stacji na brzegach były wioski, i łódź, zbita z desek, przewoziła podróżnych. Cały czas tłum nie znikał z wybrzeża; widziałem tam i niewiasty nawet młode, których obecność była zaprzeczeniem takiego już bezwzględnego zamknięcia chińskich kobiet, o jakim piszą w książkach. Młodzi kawalerowie niedaleko od nich wygrywali na fletach dość przyjemne melodje; dzieci bawiły się w kręgle i kamyki.

Do Taku dotarliśmy pod wieczór, ale przedtym przepłynęliśmy mimo ciekawego miasteczka, składającego się z ogromnych pagórków białej soli, usypanych wzdłuż brzegów i starannie pokrytych rogożami a z wierzchu obmazanych gliną. W ten sposób można podobno przechowywać sól lata całe.

W Taku nad rzeką dużo jest przystani i składów europejskich, których nie widać wcale po drodze koleją... O zmroku zarzuciliśmy kotwicę pośrodku limanu, gdyż wyjść na morze i udać się dalej do Szanghaju mogliśmy dopiero z porannym przypływem. Gdym się nazajutrz obudził, brzegi były już daleko i fale miały śliczny, przejrzysty, lazurowy kolor.

Ziemię zobaczyliśmy dopiero w połowie drogi koło Czifu; były to wyspy Miau-tau w cieśninie Peczi-lijskiej. Różowe, nagie, wznosiły się stromo wprost z morza, jak zręby ryfów koralowych. Na jednej bielała morska latarnia, rozumie się, zbudowana przez Anglików. Spienione fale, nawet przy stosunkowo spokojnym morzu, wysoko skakały na strome opoki.

I znowu ziemia znikła i śliczne, błękitne morze, nakryte błękitnym niebem, objęło nas ze wszech stron.

Zmętniało ono i pożółkło dopiero w pobliżu Szanghaju. W dali zarysowały się nizkie, ilaste brzegi. Wkrótce pojawiły się one i na drugiej stronie horyzontu i statek nasz wszedł w szeroką, mętną zatokę, po której dość gęsto snuły się chińskie żaglowe dżonki i krążyły europejskie parowce. Zwolniliśmy biegu, kapitan raz po raz kazał mierzyć głębokość. W ten sposób weszliśmy w ujście Jang-po, strzeżonej aż przez pięć dżonek wojennych i trzy pancerniki. Dżonki wyglądają bardzo malowniczo z czerwonemi dziobami w kształcie rybich głów, z wyłupionemi strasznie oczami rybiemi i wielkiemi żółtemi żaglami. Po bokach mają nieduże działa,

przywiązane do burt, a z tyłu wysoki pomost dla sternika oraz kapitana — zupełnie staro-rzymskie galery.

Stąd już było widać Szanghaj z poza zadrzewionych, pięknie uprawnych brzegów. Szanghaj słynie jako Paryż Dalekiego Wschodu, stolica mód, zbytku i rozkoszy. Istotnie, wygląda on na miasto miljonerów. Ma książęce hotele, oraz banki, kantory, biura i składy, wyglądające jak pałace. Wprawdzie wszystko to jest dość ciężkiej architektury, domy dla chłodu mają okna w głębi werand z wielkiemi zwykle kolumnami, ale we wszystkim czuć potęgę i bogactwo ludzi, którzy je budowali. Strzegą ich na rogach ci sami wspaniali, wysmukli „sikhowie“ z zaplecionemi krótko brodami, poważni, lecz uprzejmi. Wzdłuż brzegu rzeki wyciągnął się piękny ogród miejski. Widziałem tam na klombach moc pięknych złocieni i pokrewnych im astrów w pełnym kwiecie. Dużo pojazdów krąży po ulicach i dużo „ryksz“, a na chodnikach mieszanina ubiorów i ludów. Lektyk w europejskim mieście nie widziałem. Bogaci Chińczycy także jeżdżą powozami.

Najświetniejsze suknie, brylanty, zaprzęgi i konie mają w Szanghaju amerykańskie kokoty, słynne z bogactwa, rozrzutności, wykształcenia i oryginalnej organizacji swych stowarzyszeń.

W sklepach tutejszych można wszystkiego dostać, co wschodnia i zachodnia dusza zamarzy, rozumie się, jeżeli „dusza“ może za to słono zapłacić. Stopa tutejszego życia angielska i pieniądz zaczyna się od... dolara. Miasto bardzo „business“.

Gdym jednego z wieloletnich mieszkańców Szanghaju zapytał, co warto w nim obejrzeć, powiedział mi, że z wyjątkiem „settlement'u" niema co oglądać. Tymczasem dzielnica chińska wydała mi się bardzo ciekawą, pełną pięknych, starych domów o oryginalnej, innej niż na północy architekturze. Miałem mało czasu, ale kazałem się powieźć za miasto, aby obejrzeć okolicę, zwiedzić świątynię buddyjską i śliczną pagodę „Lung-fo". Okolice toną wśród ogrodów, pełnych roślin podzwrotnikowych; draceny w gruncie kwitły właśnie i ogromne stożkowate, białe kiście ich kwiatów pięknie rysowały się w bladym, jesiennym powietrzu... Banany, palmy, bambusy, moc nieznanych mi drzew owocowych, a obok... nasza wierzba złota. Na polach dużo krzaczków bawełnianych, już obranych z waty; w wioskach przydrożnych stukały maszyny, oczyszczające ją z nasion, i gromadki robotników w otwartych szopach witały śmiechem i żartami moje pojawienie się przed ich oknami. Droga wszędzie wyborna — szosowana i utrzymana wzorowo. W pobliżu dużo fabryk, przędzalni oraz innych manufaktur. Wszystkie otoczone murami, z domami zarządzających w głębi wytwornych ogrodów. Wszędzie czystość, porządek, ład... Nawet Chińczycy wydali mi się lepiej wymyci i bardziej zważający na to, gdzie należy wyrzucać śmiecie. Anglicy nie żartują, a cholera każe im dbać i o Chińczyków.

Koło świątyni już czekali na mnie obdartusi, którzy łamaną angielszczyzną ofiarowali swoje usługi. Nie potrzebowałem ich, gdyż pojęcia o niczym nie

mają, ale wiedziałem, że się od nich nie odczepię i pozwoliłem sobie brzęczeć nad uszami, podczas gdym wzrokiem wprost pożerał przepiękne rzeźby na starożytnych gmachach i bramach. Wewnątrz świątynia, jak większość świątyń chińskich, była mniej ciekawą. Zawsze to samo: złocone figury Buddy w rozmaitych wcieleniach, gliniane i tekturowe posągi jego uczniów oraz gienjusze Nieba i Ziemi. W świątyni właśnie odprawiano modlitwy. Rozumie się, musiałem postawić świeczkę Buddzie, co zresztą kosztowało bardzo mało. Gorzej było z mojemi przewodnikami, gdyż do pierwszego przyłączył się jakiś drugi jegomość, a do nich cała gromada dzieci, ale nie chciałem brać na swoje sumienie szczepienia tu włoskich obyczajów i odmówiłem im datku. Protestowali dość umiarkowanie, gdyż podróżnicy rzadko tu bywają i jeszcze nie zdołali ich zepsuć. Coby to było w Pekinie — doprawdy nie wiem! Tam w Żółtej Świątyni Lamajskiej gromada rumianych i dość dostatnio odzianych, małych urwisów o mało nie rozszarpała mego towarzysza, spostrzegszy, że wyjął portmonetkę, a w Świątyni Nieba, którą zwiedziłem sam jeden wczesnym rankiem, zamknięto wrota i nie chciano mię wypuścić, dopóki się nie opłacę. Dopiero ruch w stronę rewolweru rozwarł wrzeciądze... Zresztą, gdym już po wyjściu dał im 20 centów, zuchwali stróże z nizkim ukłonem podnieśli w górę wielkie palce.

Nawet zbóje w Chinach poprzestają na małym!...

— Chao!

SPIS RZECZY.

	Str
NA PROGU	1
ZAMIAST WSTĘPU	3
ZAGRZEBANI W ŚNIEGU	11
WIELKI GOŚCINIEC SYBERYJSKI	31
DROGA ŻELAZNA	51
MANDŻURJA	67
PIĄTA WYSTAWA POWSZECHNA W JAPONJI	136
JAPOŃSKI DRONTHEIM	151
DWIE WYCIECZKI	161
I. VOLCANO BAY	163
II. SACHALIN	173
W OBRONIE GIEJSZ (urywek z powieści)	187
KAWAŁEK JAPONJI (wyjątek z dziennika)	199
POLOWANIE NA WIELORYBY	247
TAKU. — TJENTSIN. — PEKIN. — SZANGHAJ	265